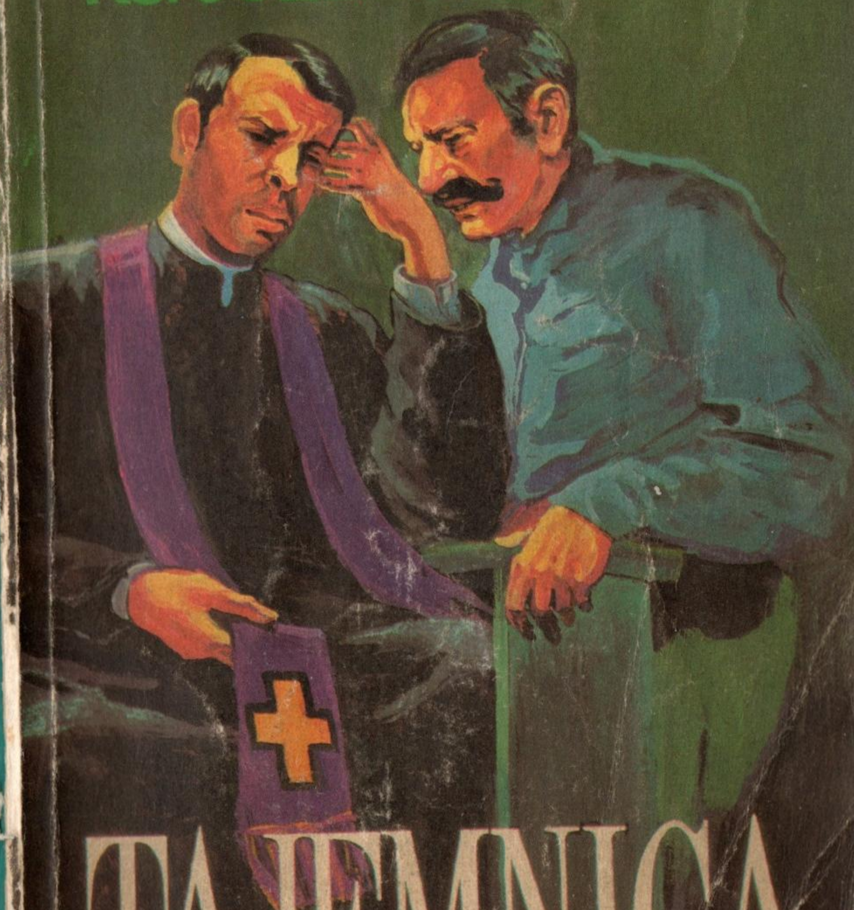
KS. JÓZEF SPILLMANN



TAJEMNICA SPOWIEDZI

TAJEMNICA
SPOWIEDZI

KS. JÓZEF SPILLMANN

TAJEMNICA SPOWIEDZI

POWIEŚĆ



Z niemieckiego przełożyła
Stella K.[ozłowska]

Opracowanie graficzne
Francziszek Otto



Zakłady Graficzne w Toruniu
zam. 1359

ROZDZIAŁ I
Wycieczka do Sainte Victoire.

Mijała zima, a wiosna 1888 roku zaczęła już swój triumfalny pochód do słonecznej Prowansji. Podmuchy ciepłego wiatru dawno stopiły śniegi, które na krótko tylko lekką powłoką pokryły góry i rozległe równiny wokoło Akwizgranu. Soczysta zieleń roztoczyła swe panowanie, niestety tylko na krótko, gdyż bezlitosne, letnie upały zmienić miały nęcący swą świeżością krajobraz na spalone słońcem wzgórza i kurzem pokryte równiny.

Była to pierwsza niedziela postu. Ciepłe, wiosenne powietrze wywabiło z ulic Akwizgranu tłumy spacerujących. Jak wiemy, to starożytne miasto założone zostało przez Rzymian, na sto lat przed narodzeniem Chrystusa, a przyczyną były ciepłe źródła, które się tam znajdowały, a których woda posiada cudowne własności lecznicze. Na drogach i dróżkach wszędzie pojawiły się wesołe gromady akwizgrańczyków. Większość kierowała swe kroki ku ogrodom i winnicom, jakie prawie każdy obywatel miasta posiadał, by spędzić niedzielne popołudnie w chłodzie ogrodowych pawilonów. Prowansalczyk nazywa te domki „bastides”, albo ,,bastidons”.

Są one budowane w najrozmaitszych stylach, zawsze biało otynkowane i zwykle obrośnięte winem. A rozrzucone na pagórkach i dolinach, ożywiały martwy trochę krajobraz. Weseli wycieczkowicze ciągnęli pojedynczo, lub grupami w stronę wzgórz alpejskich, wzdłuż rzeczek i strumyków, które szemrząc wesoło, toczyły z gór ku rzece Arc nadmiar swych wód, pozostałych po obfitych wiosennych opadach. Drogi i trakty, wiodące do Lombese i Peyrolles, roiły się od pieszych, jeźdźców i powozów.

Ulubionym celem przechadzek były skaliste wyniosłości Sainte Victoire, ciągnące się na wschód, o dwie godziny drogi od Akwizgranu, dochodzące do 900 metrów wysokości. Stamtąd roztaczał się wspaniały i rozległy widok na dolinę i niższe nadbrzeżne łańcuchy wzgórz, nawet na szafirowe tonie Morza Śródziemnego. Od strony Akwizgranu wznosi się prostopadłe jasnożółta skała, a na jej szczycie stał olbrzymi „Krzyż Prowansji". Wyciąga on ramiona ku lazurom nieba z „Góry Zwycięstwa", głosząc jakby dookoła, pod jakim znakiem chrześcijanin walczyć chce i zwyciężać. Kto chciałby się wedrzeć na szczyt, wybrać musi stronę północną: tam spadek góry jest nieco łagodniejszy. U stóp tej góry przysiadła wioska. Kamienne domy i murem obwiedzione ogrody stopniami pną się ku górze, a nad nimi wznosi się, niby jakiś zamek, przytulony do górskiej ściany kościół i stary klasztor S-te Victoire.

W tym kierunku udała się z Akwizgranu, zaraz po nabożeństwie i obiedzie, podeszła już w wieku kobieta z dwojgiem dzieci. Mogła już mieć około sześćdziesięciu lat; dobrze posiwiałe włosy wyglądały spod koronkowego czepka. Widać było po jej sympatycznej, wysił-

kiem nieco zarumienionej twarzy, że podróż piechotą sprawia jej więcej trudu, niż sobie może wyobrażała. Istotnie wycieczka była ponad jej siły, ale czegóż nie podejmie się matka z miłości dla swego dziecka, albo swoich wnuków!

— Karolku! Julko! — zawołała do dwojga dzieci. — Jak możecie tak biegać i skakać! Pamiętajcie, że mamy jeszcze godzinę drogi do fermy St. Ferréol, a tam dopiero zaczniemy się piąć ku górze. Ale i ja postępowałam tak samo, kiedy miałam wasze lata, a teraz wam zapewne będzie trudniej doprowadzić mnie, starą kobietę do domu, niż samym tam dojść. Więc, odpoczniemy pod tym drzewem oliwnym.

— Czy jesteś już tak bardzo zmęczona, babciu? — zapytał chłopiec, odgarniając z czoła wijące się ciemne włosy. — Ja mógłbym jeszcze biec daleko, daleko, bez odpoczynku — aż do Arignoles, aż do S-te Baume, do Marsylii, do samego morza! Ach, jakbym chciał kiedyś dojść do morza, potem wsiąść na jakiś duży okręt i popłynąć daleko, daleko, do tych odległych wysp, gdzie rosną kokosowe orzechy i mieszkają ci dzicy ludzie, których misjonarze z niedobrych pogan nawracają na dzielnych chrześcijan. Wuj Franciszek tak nam ślicznie opowiadał o tym ostatnim razem! Wiesz co, babciu, ja muszę zostać takim misjonarzem!

— Ale w takim razie musisz się więcej uczyć i przynosić do domu lepsze stopnie z łaciny, niż ostatnim razem — rzekła trochę złośliwie dziewczynka.

— Co to? Znowu się kłócicie? A przecież obiecywaliście być bardzo grzeczni, jeśli was wezmę do wuja Franciszka.

— Wybacz, babciu, ja wcale tak źle nie myślałam — tłumaczyła się Julka. — Karolku, nie patrz na mnie tak gniewnie, chodź, pomóż mi układać dla wuja pięk-

ny bukiet, a babcia tymczasem wypocznie. Patrz, jakie tam rosną prześliczne kluczyki!

Ułagodzony chłopiec pobiegł za starszą nieco siostrzyczką rwać kwiatki i wkrótce powrócili z pełnymi rękoma do babki, która pomogła im układać wiązankę.

— Zwiędną biedne kwiatki, zanim dojdziemy do S-te Victoire — zauważyła z uśmiechem babka.

— Wuj Franciszek włoży je w te pięknie pozłacane wazony, któreś mu babciu ofiarowała do pierwszej mszy świętej, a w świeżej wodzie kwiatki odżyją. Ślicznie będą wyglądały koło obrazu Matki Boskiej. W zeszłym tygodniu przyniosła do szkoły Nanetka Lecomte, wiesz, babciu, córka ogrodnika z przedmieścia, jeszcze więcej powiędłe kwiaty i przyszły jednak do siebie, jak je siostra Aniela włożyła w świeżą wodę. Ale patrzcie, przecież to pan Le Noir, piekarz, jedzie drogą sam w ślicznym nowym wózku.

— Tak, to jest Le Noir! — zawołał chłopiec, uradowany, na widok przyjaznego człowieka, od którego otrzymywał nieraz słodkie obwarzanki, kiedy przy końcu miesiąca odnosił mu pieniądze za pobrane pieczywo. Z błyszczącymi radośnie oczyma uniósł w górę czapeczkę, pozdrawiając uprzejmego piekarza, którego wypasiony gniadosz wiózł lekkim truchcikiem, krzyczał mu z daleka: „Panie Le Noir, panie Le Noir, dzień dobry i szczęśliwej drogi!”

— Jeśli mnie uszy nie mylą, to jest mój przyjaciel Karolek — rzekł piekarz, nakładając okulary i zatrzymując równocześnie spasłego rumaka. Moje oczy służą mi już mniej dobrze, jak moje uszy — mówił — i umocowawszy na nosie szkła, dodał: — W istocie, to Karolek Jardinier! Czy chcesz jechać ze mną, chłopcze? Ale co ja widzę! Czy to doprawdy pani Montmoulin? I pani odbyła pieszo tak daleką drogę? Zadziwiające, jaka pani krzepka jak na swój wiek! Bodaj, czy ja bym prze-

szedł pieszo połowę tej drogi, a przecież mam z pół tuzina lat mniej, niż pani!

— To prawda, panie Le Noir — odrzekła pani Montmoulin. — Jednak nogi moje nie potrzebują dźwigać tak wielkiego ciężaru, jak pańskie.

— Ha, ha, ha! — zaśmiał się dobrodusznie piekarz. — Zapewne mączny pył jest tego powodem, a może też i inne rzeczy, które co dzień muszę łykać. I gdzie to pani wędruje, sąsiadko, korzystając z pięknego wiosennego dnia?

— Do S-te Victoire, chce odwiedzić swego syna, u którego nie byłam już całą zimę. Korzystam z pięknego popołudnia i zabrałam też na wycieczkę swoje wnuczęta.

— To się doskonale składa! Zabiorę was wszystkich na swój wózek, aż do oberży „Au quatre Bras". Stamtąd już jeden krok do S-te Victoire. Siadajcie prędko, matko Montmoulin, dalej, Karolku, pomóż siostrzyczce dostać się na siedzenie.

Pani Montmoulin próbowała poceremoniować się trochę dla przyzwoitości, ale to nie zdało się na nic. Karol z głośnym „hura" wdrapał się z tyłu na dwukołowy wózek, pociągając za sobą siostrę, więc babcia, przy pomocy uprzejmego piekarza, wsiadła także i zajęła miejsce obok niego, nie omieszkawszy jednak usprawiedliwić się za uczyniony kłopot.

— Niech pani mi nie mówi nic o ambarasie, droga pani Montmoulin — rzekł piekarz, popędzając konia. Dla mnie jest to prawdziwa przyjemność jechać z taką, jak pani kobietą. Ręce stwardniałe w uczciwej pracy cenię wyżej, niż brylanty na palcach i jedwabne suknie. I ja od wczesnej młodości pracować musiałem ciężko, ale że mi Bóg więcej niż innym ludziom pobłogosławił, to jeszcze dlatego nie mam powodu się wynosić.

— A zatem pani wybiera się do S-te Victoire do syna, ks. proboszcza? Bardzo ładnie! Może on być dumny z tak zacnej matki. Ale niech mi pani powie — nie pytam dlatego, żeby się mieszać w domowe sprawy — podobno szanowny ksiądz proboszcz ma teraz niezłe dochody, prawda? Mógłby też przecież uczynić coś dla pani na jej stare lata! Musiało być pani bardzo ciężko zebrać tyle pieniędzy na jego wykształcenie?

Pan Le Noir był bardzo dzielnym i dobrym człowiekiem, nie posiadał jednak subtelności uczuć. Ale pani Montmoulin wiedząc, że nie mówił tego w złej myśli, nie uczuła się dotknięta i odpowiedziała uprzejmie:

— Pomógł mi Bóg i dobrzy ludzie, panie Le Noir, i oprócz małego długu, spłaciłam już do ostatniego sou (sou — francuska moneta zdawkowa) wszystko co musiałam wziąć od kogoś dla mojego Franciszka. A syn mój wynagrodził mi tysiąc razy to, co dla niego uczyniłam, nie złotem, ale swoim przywiązaniem.

— Co pani mówi sąsiadko! Pani ma jeszcze mały dług, zaciągnięty z przyczyny syna? Przecież to już dochodzi osiem czy dziesięć lat, od kiedy syn pani został wyświęcony na kapłana — i przez tak długi czas nie mógł on tyle odłożyć? Widać, że się źle rządzi — przebacz, pani sąsiadko.

— Pod pewnym względem istotnie syn mój źle się rządzi — odrzekła, śmiejąc się pani Montmoulin. Żyje tak skromnie i oszczędnie, jak tylko może, ale ma jedną słabostkę — biednych! Każdy kąsek, który sobie od ust odejmuje, oddaje biednym, a kiedy odwiedzając chorych, spotka gdzieś głód i nędzę, nie omieszka do religijnej pociechy i innej — materialnej dołączyć. Toteż skromna pensyjka, jaką teraz republika wypłaca kapłanom, zbyt prędko topnieje w jego kieszeni.

— Tak, tak, dawne wielkie dochody zniosła i zabrała rewolucja. Ja zawsze myślałem sobie, że dzisiaj być

księdzem, to kiepski interes. Ale sądzę jednak, że księża mają wygodne życie i mogą zawsze odłożyć, rocznie jakieś parę setek. Naturalnie, jeżeli któryś z nich każdego sou oddaje ubogim, to już jego wina. Ale czemuż syn pani nie pozostawi troskę o biednych merowi i gminie?

Ach, drogi panie, jałmużna, jaką panowie urzędnicy wyznaczają ubogim bez współczucia, a często i z ostrymi słowami, znaczy tyle, co pół jałmużny i często więcej zaszkodzi, niż pomoże. Dar, ofiarowany z miłością i delikatnością, balsamem jest dla serca. Nie, nie, co do tego, to przyznaję swemu synowi zupełną rację. Kapłan jest istotnie najbardziej odpowiedni na opiekuna ubogich, jak mi to sam przekonywająco dowodził. W starych, dobrych czasach, majątek kościelny był zarazem majątkiem biednych; kapłani żyli wprawdzie z bogatych dochodów, ale nadmiar ich oddawać mieli biednym i Kościołowi. Do tego i teraz zastosowuje się mój syn, więcej nawet, niż jest do tego zobowiązany.

— Hm, hm, może to i słuszne, pani Montmoulin — rzekł piekarz — objąwszy wzrokiem ubogo, ale czysto przybraną kobietę, jednakże myślę że pierwszym jego obowiązkiem jest pomóc raczej pani, zważywszy na jej podeszły wiek.

— O, dopóki Bóg mi zdrowia użyczy, dam ja sobie radę — mówiła, zarumieniwszy się kobieta. Mały mój sklepik wełnianych towarów ma stałych odbiorców, a palce mam jeszcze dość składne, że i po ciemku mogę robić na drutach. Przy tym mamy nową maszynę, którą moja córka zakupiła z niewielkiego kapitaliku, jaki jej został po nieboszczyku mężu. Na niej robić można prześliczne kaftaniki i różne wełniane wyroby i w krótkim czasie je wykończyć. Toteż, dzięki Bogu, starczy nam, dwóm kobietom i tym dwojgu dzieciom na

nienajgorsze utrzymanie. A żebyś pan nie sądził źle mojego Franciszka, powiem panu jeszcze, że wielokrotnie już prosił mnie, abym zapłaciła komorne jego oszczędnościami. Jest też jego najgorętszym życzeniem, abym się do niego sprowadziła i pod jego dachem przeżyła ostatnie swoje lata. Być może, że dam się do tego nakłonić, gdyż teraz będzie miał dość miejsca.

— Naturalnie, przecież mieszka w klasztorze. A jak ten klasztor jest ślicznie położony! Z okien na wyższym piętrze musi być widok wspaniały. A jakie tam zdrowe powietrze — zupełnie co innego, jak na wąskich ulicach naszego miasta. Mogę tylko powinszować pani, sąsiadko! W tych warunkach odmłodnieje pani! Ale oto już widać piękne S-te Victoire!

Istotnie, dzięki zakrętowi drogi, widać już teraz było klasztor, zakryty dotąd zrębem skały. Ponad sadem śliw i brzoskwiń widniały sympatyczne, białe mury rozległego budynku przytulonego do górskiej ściany.

Od południa u jego stóp, na pochyłości, rozrzucone pomiędzy ogrodami i grupami drzew, leżały domy i chatki wiejskie, a starożytny kościół górował ponad klasztorem. Na drugim planie wznosiła się ku niebu góra, a zbocza jej, przeważnie pozbawione drzew, lśniły teraz delikatną wiosenną roślinnością. Tworzyło to prześliczny krajobraz, którego pełne prostoty linie ożywiał gorący południowy ton.

— S-te Victoire, S-te Victoire! — wołał radośnie Karol który dotąd zajęty był razem z siostrą układaniem coraz to nowych bukietów z fiołków, kluczyków i narcyzów. — Wydaje mi się, że widzę wuja Franciszka. Patrz tylko, otwarte jest okno jego pokoju, to ostatnie tuż przy tym starym drzewie oliwnym. Chłopiec, zdją-

wszy czapeczkę, wywijał nią w stronę klasztoru, a Julia powiewała białą chusteczką.

— Nie dowierzam nawet twoim młodym oczom, Karolu, żebyś ty miał widzieć wuja — rzekł pan Le Noir, zwróciwszy się ku dzieciom. Jednakże z okien klasztoru będziesz mógł dojrzeć mój wózek na szosie, kiedy będę wracał z Briguoles. O godzinie 6-ej uważaj pilnie, a jak go zobaczysz, to przyjdź z babką i Julką do oberży ,,Au quatre Bras", gdzie się pół godzinki zatrzymam. Zabierzecie się ze mną do Akwizgranu.

— Ach, jaki pan dobry, panie Le Noir! Przepysznie! Będziemy mogli zostać u wuja o wiele dłużej i babcia nie zmęczy się drogą! — zawołał Karol, a pani Montmoulin, po krótkim wahaniu, przyjęła uprzejme zaproszenie piekarza.

— Odzwyczaiłam się zupełnie od jeżdżenia — mówiła. — Odkąd zamknął oczy poczciwy Jerzy, nieboszczyk mąż mój, pierwszy raz dzisiaj jadę na spacer. Kiedyś w niedzielne popołudnia Jerzy zaprzęgał do swego wózka i woził mnie wraz z dziećmi do Kehl, albo Molsheim, Illkirch lub gdzie indziej.

— Jeśli mnie uszy nie mylą, to nie są miejscowości francuskie, które pani wymieniła, pani Montmoulin — zauważył zdziwiony pan Le Noir.

— To są miejscowości, leżące w pobliżu Strasburga — odrzekła pani Montmoulin. — Mieszkałam tam z mym ukochanym mężem tak długo, dopóki nieszczęsna wojna nie położyła kresu naszemu szczęściu. Jerzy miał tam skład południowych owoców, a kiedy raz przybył do Prowansji, aby zakupić w Briguoles suszonych śliwek, poznaliśmy się wtedy i pobłogosławiona przez rodziców, udałam się z nim, jako jego żona, nad daleki Ren. Powodziło nam się doskonale dopóty, dopóki nie wybuchła owa straszna wojna. Zanim się

spostrzegliśmy, wojsko niemieckie otoczyło Strasburg. Ach, panie Le Noir, co to były za czasy! Wkrótce granaty niemieckie zaczęły padać, aż w sam środek miasta, a nie było nadziei, że nadejdzie odsiecz, na którą początkowo liczyliśmy, gdyż wojska nasze pobite zostały pod Metzem. A właśnie Niemcy obrali za cel głównego ataku bramę, obok której mieszkaliśmy. Zanim jednak przyszło do stanowczego bombardownia miasta, przybyło kilku panów ze Szwajcarii i ci uzyskali od nieprzyjacielskich wodzów pozwolenie na wyprowadzenie z miasta kobiet, starców i dzieci. Ogłoszono o tym przy biciu w bębny i zaraz też mój mąż rozkazał mi opuścić wraz z dziećmi miasto i jego samego. Ach, panie, co to było za rozstanie! Z miłości dla dzieci skłoniłam się do spełnienia woli Jerzego. Franciszek miał wtedy szesnaście lat i chodził do gimnazjum, Karolina była młodsza o kilka lat. Uściskaliśmy się wreszcie i poszliśmy razem z posępną gromadą — mogło nas być około dwóch tysięcy, którą panowie ze Szwajcarii przeprowadzili przez wojsko nieprzyjacielskie do Bazylei. Jeszcze nie osiągnęliśmy celu naszej podróży, kiedy usłyszeliśmy poza nami straszny huk armat, który nam zwiastował, że zaczęło się zapowiedziane oblężenie. Wśród ciemności nocy widoczne były na nieboskłonie, w kierunku Strasburga, wznoszące się ogniste słupy. Wkrótce nadeszła wiadomość, że miasto się poddało, a po części z gazet dowiedziałam się o nieszczęściu, które nas dotknęło. W pobliżu bramy, gdzie mieszkaliśmy, wszystkie domy leżały w gruzach. To było straszne! Dzień, dwa oczekiwałam wieści od męża. Czekałam tydzień. Byłby tu przybył, byłby przynajmniej napisał, gdyby żył jeszcze, myślałam sobie. Poczciwi ludzie, którzy udzielili gościnności mnie i dzieciom, pocieszali nas, że w czasach wojennych poczta zawodzi. Ja jednak nie mogłam dłużej wytrzymać i wsiadłam do jednego z pierwszych pocią-

gów, jakie zaczęły znów kursować do Strasburga, a dzieci pozostawiłam tymczasowej opiece naszych gospodarzy w Bazylei. Ach, panie Le Noir, niech pan Bóg zachowa od takiego widoku.

Kiedy przybyłam, — pnąc się pomiędzy gruzami i zwaliskami, znalazłam wreszcie miejsce, gdzie mogło znajdować się nasze mieszkanie, trafiłam właśnie na chwilę, kiedy wydobywano zwłoki mego ukochanego Jerzego! Poznałam go po ubraniu i obrączce, którą miał na palcu. Oto ona!

Mówiąc to, pani Montmoulin wydobyła mocno uszkodzony pierścień, który nosiła na szyi, na sznureczku i pokazała piekarzowi, ze współczuciem przysłuchującemu się opowiadaniu.

Widać po tym pierścieniu, że dzielił los swego właściciela. Jaki pogięty! Wywracające się mury musiały zgnieść biedaka.

— A Prusacy pozwolili pani odejść w spokoju, pani Montmoulin? — zapytał pan Le Noir. To muszą być diabły, nie ludzie!

— Bynajmniej, obeszli się ze mną bardzo po ludzku i oddali mi nawet trochę pieniędzy, które znajdowały się w kasie, wyciągniętej także spod gruzów, nie zabrali nic, ani jednego sou. Jeden z oficerów, stojących w pobliżu ten, który dozorował żołnierzy, chciał mi nawet wcisnąć do ręki złotą monetę, kiedy dowiedział się że jestem doprowadzoną do nędzy wdową po wydobytym z rumowiska nieboszczyku. Bóg dodał mi siły w owych strasznych dniach, inaczej nieszczęście by odebrało mi rozum, albo wprowadziło do grobu. Kiedy pochowano Jerzego, udałam się do Bazylei, do dzieci i postanowiłam wrócić z nimi w swe rodzinne strony do Prowansji.

Gospodarze moi nie chcieli przyjąć ode mnie ani szeląga — niech Bóg wynagrodzi tym dobrym lu-

dziom! — obdarzyli mnie nawet jeszcze i pojechałam z dziećmi przez Genewę Rodanem do swego ukochanego Akwizgranu, gdzie żyła jeszcze moja matka. Urządziłam się potem w tym małym domku, w którym teraz jeszcze mieszkamy. Za kilkaset franków, danych mi przez Jerzego na podróż ze Strasburga przy pożegnaniu — była to cała gotówka, jaką wówczas posiadał — założyłam sklepik wełnianych towarów, który nam odtąd wystarczył na oszczędne, ale przyzwoite utrzymanie. Znudziłam pewnie pana swym opowiadaniem, panie Le Noir. Musi mi pan wybaczyć. Kiedy stara kobieta zacznie opowiadać, nieprędko przestaje.

— Przebaczyć — zawołał piekarz — dziękować pani muszę! Wzruszył mnie głęboko los pani i jeśli będziesz potrzebowała kiedyś przyjaciela w jakimś strapieniu, pamiętaj o piekarzu Le Noir! Na honor, dzielna z pani kobieta! Mam jednak nadzieję, że ostatnie lata upłyną pani spokojniej i szczęśliwiej, jak przeszłość, która naprawdę nie szczędziła pani ciężkich doświadczeń. Niechby pani tylko dostała się jak najprędzej do domu swego czcigodnego syna do S-te Victoire, to zaczną się już dla niej dobre, słoneczne czasy.

— Jak Bóg zechce, panie Le Noir! Od dawna już oddawałam się tej nadziei — rzekła kobieta z westchnieniem, gdyż właśnie w tej samej chwili ogarnęło ją jakby jakieś smutne przeczucie, że nowe doświadczenie zbliża się ku niej, jak złowróżbna chmura. — Jak Bóg zechce — powtórzyła po raz drugi.

— Oby nadzieje spełniły się według życzenia. Ale oto jesteśmy już przy oberży „Au quatre Bras!” Dzięki pani opowiadaniu, czas zbiegł mi nader szybko! Karolku, uważaj dobrze, żebyście byli tutaj o godzinie 6-tej... Mówiąc to, korpulentny piekarz zeskoczył z wózka o wiele szybciej, niżeli oczekiwać było można, sądząc po jego objętości i pomógł zsiąść swej towarzyszce.

Dzieci także wygramoliły się prędko z wehikułu i, po serdecznych podziękowaniach, ruszyła z nimi babka ku klasztorowi.

ROZDZIAŁ II
Proboszcz z S-te Victoire i jego zakrystian.

Proboszcz z S-te Victoire miał poza sobą dzień znojnej powinności, jaką przynosi niedziela każdemu gorliwemu kapłanowi.

Ksiądz Montmoulin wstał bardzo wcześnie, przed wschodem słońca, pomodlił się przed Najświętszym Sakramentem i zadzwonił sam na Anioł Pański, gdyż opieszały zakrystian wylegiwał się jeszcze w łóżku, zamiast spełnić swój obowiązek. Kiedy z pierwszym brzakiem dnia zaczęli się w kościele pojawiać wierni, musiał znowu proboszcz zasiąść do konfesjonału, do pełnienia swego świętego, uciążliwego urzędu. Był to pierwszy dzień postu, to też wiele osób pragnęło przystąpić do św. sakramentów i trzymało go całe godziny w konfesjonale, aż nadszedł czas mszy św. i kazania.

Biedny ksiądz ogromnie był znużony, nakładając w zakrystii szaty kościelne. Pomagał mu przy tym zasępiony zakrystian. Świadomy swego niedbalstwa, oczekiwał on dobrze zasłużonej nagany, zdziwił się jednak, otrzymawszy zamiast niej uprzejme zapytanie: Wyspałeś się dobrze, Loser?

W kazaniu mówił ks. Montmoulin o sakramencie pokuty i kładł szczególny nacisk na to, jak nam Zbawiciel ułatwił spowiedź przez to, że na swego zastępcę, jako najświętszy obowiązek, nałożył bezwzględne milczenie tak, że nic, ani utrata dóbr ziemskich, honoru lub życia, nie może zwolnić kapłana od zachowania tajemnicy spowiedzi. Jako dowód przytoczył znany przykład o św. Janie Nepomucenie, a z nowszych cza-

sów poświęcenie polskiego kapłana, który dla zachowania tajemnicy spowiedzi zniósł hańbiący wyrok i zesłanie na Syberię. Przy końcu zwrócił się w przekonywujących słowach do nielicznych niestety zgromadzonych mężczyzn i zaklinał ich, aby w czasie wielkopostnej pokuty spełnili dawno już może zaniedbany obowiązek spowiedzi i stali się przez to uczestnikami łaski i pokoju, które Zbawiciel udziela w tym pociechę niosących sakramentach za cenę gorzkiej Swej męki.

Było już późno, kiedy nareszcie ks. Montmoulin zdjął szaty kościelne i po krótkiej, dziękczynnej modlitwie udał się do swego pokoju, gdzie oczekiwała go niezbyt już ciepła filiżanka kawy. Potem nastąpiło odmawianie z brewiarza długich wielkopostnych modlitw, które przerywane były kolejno przez pół tuzina parafian, szukających w różnych zdarzeniach życia pociechy, rady lub pomocy. Nareszcie stara Zuzanna, która utrzymywała w porządku pokój proboszcza, przyniosła mu z pobliskiej oberży „Pod Oliwą" skromny obiad. Własnej gospodyni ks. Montmoulin nie posiadał jeszcze, chował on to miejsce dla swej matki z chwilą, gdy będzie jej mógł ofiarować przyzwoite mieszkanie.

Zuzanna ubrana była oczywiście w strój świąteczny: jasno-niebieską perkalikową suknię w wielkie żółte i czerwone kwiaty a na ramiona zarzuconą miała chustkę zieloną w białe paski, z długimi frędzlami. Do wspaniałych tych barw niezbyt stosowne było okrągłe jej oblicze, poorane zmarszczkami i żółto-białe włosy niedbale wsunięte pod krzywo nałożonym koronkowym czepkiem. Zuzanna liczyła już blisko siedemdziesiąt lat, a nawet za swych młodych lat nie musiała być nigdy pięknością. Nie znaczyło to jednak nic wobec tego, że była dobrą i przywiązaną sługą, a najgorętszym jej życzeniem było dogodzić ks. proboszczowi.

Gdy poczciwa niewiasta postawiła na stół zupę, po-

gładziła pomarszczonymi rękoma swój fartuch i kwiecistą perkałikową suknię, życzyła swemu panu „dobrego apetytu" i rzekła:

— Ach, jakie też ks. proboszcz mówił dzisiaj śliczne kazanie! O tajemnicy spowiedzi i o tym, że ksiądz powinien raczej umrzeć, niż ujawnić grzech ze spowiedzi! A ten śliczny przykład o św. Janie Niepomucenie i o polskim księdzu! Rozglądałam się trochę po kościele — myślę, że nie popełniłam ciężkiego grzechu przez to, gdyż zrobiłam to tylko dlatego, żeby się zbudować — i oto widziałam, jak ludzie płakali. Niestety nie było w kościele tych, którzy powinni to przede wszystkim słyszeć, nie było mera i notariusza i innych wolnomyślnych panów spod „Złotej Róży". Oni mają co innego do roboty, jak chodzić do kościoła, muszą myleć o wyborach! A jeden z nich, który tam był, ten hultaj zakrystian, stał przy drzwiach zakrystii i uśmiechał się urągliwie, zamiast wziąć sobie do serca kazanie i nareszcie iść do spowiedzi.

— Moja Zuzanno, pięknymi słowami nie nawraca się ludzi! Musicie modlić się gorąco, to więcej pomoże niż biadanie nad zatwardziałością grzeszników. Bóg jest cierpliwy i miłosierny i wie, jak trafić do serc błądzących ludzi.

— Masz tobie. Pokazuje się, że ostatecznie ja zgrzeszyłam przez zarozumiałość i brak miłości bliźniego, a chciałam przecież powiedzieć tylko ks. proboszczowi, jak mi się podobało jego śliczne kazanie! Nie dobierze ks. proboszcz tej pieczeni wołowej? — wydaje mi się, że jest znowu trochę twarda i łykowata. Rzeźnik dostarczył nam widać mięsa z jakiejś starej krowy. Ja już nie mogę nic ugryźć moimi trzema zębami, ale przecież proboszcz jest młody i ma doskonałe zęby — czy nie smakuje? Mam odnieść? Jak to można wytrzymać, jedząc tak niewiele?

— Bardzo dobrze, Zuzanno. Ale musicie mi teraz dać czas na przygotowanie się do nauki chrześcijańskiej, gdyż to jest jeszcze ważniejsze, niż kazanie — odparł ksiądz Montmoulin i z uśmiechem patrzył na zakłopotaną starowinę, która zabrała nakrycie i kiwając głową zniknęła za drzwiami. Wziął katechizm oraz inną książkę i raz jeszcze obmyślił sobie naukę, do której przygotowywał się już w ciągu tygodnia. Siedział zamyślony, oparłszy głowę na rękach. Sympatyczne, nieco przybladłe rysy pięknej, młodej jeszcze twarzy, znamionowały poważną, w gruncie jednak naturę swobodną, uszlachetnioną, czystą, nauce i bogobojności poświęconą.

Do naszego kapłana doskonale dostosowane było otoczenie, w jakim się znajdował — skromny pokój z biało malowanymi ścianami, ciemne drzewo przy suficie i od drzwi, upiększone pochodzącą z dawnych czasów piękną rzeźbą. Krucyfiks, wiszący na ścianie, i naprzeciw niego zawieszony obraz pobożnej treści, zdradzały pochodzenie swe z artystycznej ręki jakiegoś starego mistrza, odznaczającego się głęboką wiarą. Od tych starych rzeźb odbijały bardzo tanie, pozłacane wazony, stojące obok obrazu Matki Boskiej Bolesnej; również ubogi pulpit ze sosnowego drzewa oraz skromne bez ozdób półki, na których stało niewiele książek. Pozostałe meble mówiły jasno o niezamożności proboszcza. Było to jednak ubóstwo idące w rękę z zadowoleniem i swobodą umysłu. Właściwie po co mu był potrzebny przepych? Słodka woń hiacyntów, dochodząca przez otwarte okna, dobroczynny blask słońca, które hojnie rzucało swe złoto do pokoju, łagodny powiew wiosennego wiatru, niosący z ogrodu zapach kwitnących drzew, wszystko to sprawiało, że cela była milsza, niż przystrojona w pyszne dywany, kosztowne obrazy i meble, — mogące zdobić wspaniałe apar-

tamenty. Wszystko w otoczeniu proboszcza oddychało niedzielnym wypoczynkiem i świętym pokojem. Nic nie zdradzało, jak bliska była burza, która w okrutny sposób zniweczyć miała ten błogi nastrój.

Wkrótce dzwonek wezwał znowu proboszcza do kościoła. Po nauce, w którą wlał całego swego ducha, nastąpiły nieszpory z drogą krzyżową i błogosławieństwem Najświętszym Sakramentem. Na końcu odbył się chrzest.

Czyż można dziwić się, że poczciwy proboszcz zasiadł wreszcie z westchnieniem ulgi na swym fotelu i upojony wiosennym powietrzem, które napływało obficie przez otwarte okna, o mało się nie zdrzemnął? Przetarł jednakże oczy i rzekł sobie: „Co spać za białego dnia? Nie, na to jestem jeszcze za młody. Dalej, właśnie jest czas przejrzeć jeszcze raz rachunki Zgromadzenia św. Józefa i przeliczyć pieniądze, które pani Blanchard złożyła u mnie i u mego poprzednika. Jutro ma ona zabrać tę dużą sumę pieniędzy. Chwała Bogu, że będzie można zacząć teraz budowę szpitala. Jak się to dzieje, że ta dobra pani Blanchard zbiera wraz ze swymi towarzyszkami takie masy pieniędzy. W naszej Francji jest jeszcze wielka dobroczynność; może wyjedna nam łaskę u Boga i powrót dawnej gorącej wiary".

Tak rozmyślając, proboszcz przez okno objął wzrokiem wieś, ukrytą prawie wśród kwitnących drzew i pogrążoną w niedzielnym spoczynku. Potem otworzył biurko, w którym zamknięta była kasa Zgromadzenia św. Józefa. Przez dłuższy czas sprawdzał rachunki i liczył pieniądze wolno i mozolnie, jak to się pewnie nie zdarza żadnemu człowiekowi zapoznanemu z interesami pieniężnymi.

— 80 papierków stufrankowych wynosi 8 tysięcy franków — liczył, 50 papierków dwudziestofranko-

wych, to 1.000 franków — razem 9.000 franków papierami. 75 sztuk złota po 20 franków wynosi 1.500 franków w złocie — razem 10.500 franków, 215 sztuk po sto sou to 1.075 franków i 425 franków drobnej monety — wszystko razem to 12.000 franków, które ma odebrać w tych dniach pani Blanchard. Doprawdy, ładna sumka! Nigdy jeszcze nie widziałem tyle naraz na moim stole! I jeszcze raz zabrał się proboszcz do liczenia rolek, zawierających sztuki po dziesięć sou. Tak był zajęty tą niezwykłą dla siebie pracą, że nie słyszał wcale dwukrotnego pukania do drzwi i prawie z przestrachem zawołał:

— Proszę wejść — kiedy usłyszał wreszcie trzecie głośniejsze już uderzenie.

Wszedł zakrystian i otworzył szeroko oczy, ujrzawszy tyle pieniędzy, rozłożonych na stole.

— Do stu piorunów! — zawołał, obejmując wzrokiem stos banknotów, błyszczących sztuk złota i srebra, dodał jednak szybko:

— Przepraszam ks. proboszcza, ale nie sądziłem, że ksiądz jest tak bogaty.

— W istocie, ani jeden sou z tej całej sumy nie jest moją własnością — odparł ks. Montmoulin, któremu było jednak niezbyt przyjemnie, że go zakrystian zaskoczył przy liczeniu tak wielkiej masy pieniędzy. Nie dowierzał on temu człowiekowi, który miał za sobą dość burzliwą przeszłość.

Był to człowiek silnie zbudowany, średniego wzrostu, lat około czterdziestu, ale sądząc po rysach twarzy, można by go było uważać za starszego, co najmniej o dziesięć lat. Ciemne oko spoglądało zuchwale i niespokojnie, po junacku zakręcony wąs, osłaniający złośliwie wykrzywione wargi, zwiększał jeszcze wrażenie lekkomyślności, a może nawet łajdactwa, malującego się na tym obliczu. Do tego trzeba jeszcze dodać sze-

roką szramę, która, zaczynając się nad prawym okiem, ciągnęła się przez mocno czerwony nos, aż po lewym policzku. Nie miał on wyglądu stosownego na stanowisko zakrystiana. Taki człowiek mógłby być raczej strażnikiem polnym, niż sługą kościelnym.

Loser — tak nazywał się ten człowiek — był z urodzenia Niemcem, Lotaryńczykiem. Należał w czasie wojny do franc-tireurów, czyli wolnych strzelców, i w walce przeciw Niemcom zastrzelił, jak sam o tym opowiadał, skrytobójczo, niejednego Prusaka, z bezpiecznego ukrycia. Po zawarciu pokoju opowiedział się po stronie Francji i w nagrodę zasług otrzymał medal z prawem pobierania renty. Budził jednak mało zaufania. Jedyną jego chlubą mogła być szrama od szabli, którą, jak twierdził, otrzymać miał z ręki niemieckiego huzara w jakiejś potyczce. W istocie była to jednak pamiątka z jakiegoś niezbyt zaszczytnego studenckiego pojedynku. Zajmując kolejno przeróżne stanowiska, zwalniany był wszędzie z powodu różnych niedokładności w pełnieniu obowiązków. Przechodząc Francję wszerz i wzdłuż, dostał się do Prowansji. Tutaj dzięki swej wymowie i powołaniu się na otrzymaną w „obronie ojczyzny” ranę, pozyskał sobie poparcie burmistrza z S-te Victoire, który poszukiwał właśnie nowego zakrystiana przed upływem rocznego terminu. Mer, człowiek „oświecony”, ofiarował walecznemu Lotaryńczykowi miejsce kościelnego sługi, a Loser zgodził się przyjąć je na próbę.

— Co prawda, przez całe swoje życie księży nie znosiłem — mówił stary franc-tireur do burmistrza — ale w biedzie diabeł łapie i muchy.

Ponieważ się jednak nic lepszego nie trafiło, Loser pozostał dotąd na swym stanowisku, dzięki protekcji burmistrza, pomimo tego, że proboszcz miał wiele powodów do niezadowolenia.

Można więc sobie łatwo wyobrazić, że ks. Montmoulin nie był zadowolony nagłym zjawieniem się zakrystiana. Wzrok, jakim ten spojrzał na pieniądze, wystraszył proboszcza. Przeszło mu przez głowę, że w tych rozległych, klasztornych zabudowaniach znajduje się prawie na łasce człowieka, którego ręce były splamione krwią, a wątpliwym było, czy by usłyszano wołanie o pomoc w pobliskich chatach.

Mimo woli podniósł się, zasłonił swoją osobą pieniądze od strony zakrystiana i postawiwszy przed sobą krzesło, aby mieć w razie czego jakiś środek obrony, powtórzył jeszcze raz:

— Pieniądze te nie należą do mnie, to są składki Zgromadzenia św. Józefa, przeznaczone na budowę nowego szpitala. Pani Blachard odbierze je jutro lub pojutrze.

Ironiczny uśmiech wykrzywił twarz Losera, który odgadł myśli proboszcza.

— O — rzekł — Wasza wielebność niech się nie przeraża. Nie biorę proboszcza za jednego z tych Prusaków, których zgasiłem, jak świece! — to było na wojnie i za ojczyznę. W czasie pokoju jestem łagodny, jak baranek i nie zrobiłbym krzywdy ani kotu — na honor! A ponieważ te pieniądze należą do ubogich i chorych, to uczyniłbym wbrew swemu sumieniu, gdybym poprosił choć o jedno sou. Ksiądz myśli może nawet, że mogłoby mi przyjść do głowy aby jeden z tych barwnych papierków — a są to, inaczej nie nazywam się Artur Loser, stufrankowe sztuki! — ściągnąć albo wziąć gwałtem? Pfe, księże proboszczu! Mógłbym się gniewać doprawdy za taki sąd o mojej osobie! Pochodzi on jednak z przyczyny fałszywego mniemania księdza, że tylko ludzie pobożni są uczciwi. Z pewnością do pobożnych nie należę i przez 20 lub może 25 lat nie byłem ani razu u spowiedzi i nawet teraz nie zrobię tego,

mimo pięknego kazania, jakie dzisiaj ks. proboszcz mówił o spowiedzi — nie mniej Artur Loser jest uczciwym człowiekiem!

Przy tych słowach, wymówionych tonem obrażonej niewinności, zakrystian ruchem teatralnym położył rękę na sercu, a gdy deklamował o cnocie, w pomysłowej jego głowie krystalizował się już plan, stojący w rażącej sprzeczności ze słowami.

W tej chwili właśnie kapłan, jako troskliwy duszpasterz, pomyślał o tym, jakby nakłonić tego człowieka do pełnienia obowiązków chrześcijańskich i rzekł:

— Kochany Loserze, jest mi bardzo przykro, jeśli was może w myśli zbyt surowo sądziłem, ale powiedzcie sami, skąd można nabrać dobrego wyobrażenia o człowieku, który zaniedbuje przez 20 lub 25 lat najświętsze swoje obowiązki względem Boga i własnej duszy nieśmiertelnej. Qui sibi nequam, cui bonus? — to znaczy: „Kto przeciw sobie samemu grzeszy, dla kogo on będzie dobry?"

— Ach, szanowny księże proboszczu, sądzę, że dzisiaj dość już słyszałem kazania! Bóg!? Czy to takie pewne, że jest Bóg? A jeżeli jest, to troszczy się o nas, mizernych ludzi? Dusza nieśmiertelna! Nauka dawno już rozwiała mniemanie, że taka rzecz znajduje się w naszym ciele. Ale nie przyszedłem tutaj po to, szanowny ks. proboszczu, żeby się z nim o taką rzecz spierać. Ksiądz musi mieć, naturalnie, swego Boga i nieśmiertelną duszę — to jest księdzu potrzebne do jego — interesu.

— Loser, zapominacie się! — zawołał proboszcz, powściągając z trudem gniew na tak bezbożne słowa zuchwałego człowieka. Co właściwie chcecie?

— Tak, to — na widok wielkiego skarbu kościelnego zapomniałem o swej prośbie — rzekł Loser. Chciałbym mieć urlop do najbliższej soboty. Sądzę, że przez ty-

dzień ks. proboszcz poradzi sobie beze mnie. Wybieram się do Marsylii, gdzie jeden dobry przyjaciel stara się dla mnie o lepsze miejsce, niż zakrystiana. Ale gdzież ten list podziałem — mówiąc to, szukał po kieszeniach.

— O, nie potrzebuję go widzieć, Loser — odrzekł kapłan. Udajcie się do Marsylii, życzę, żebyście znaleźli tam to, czego szukacie! Rano sam zadzwonię i tak wstaję zwykle wcześniej od was. Stara Zuzanna może otwierać i zamykać drzwi. Proszę tylko położyć klucz na stole w kuchni. Kiedy się wybieracie?

— Dzisiaj wieczorem, o ile uda mi się zdążyć na pociąg w Akwizgranie. Dziękuję za łaskawe pozwolenie. Tylko jeszcze — widząc, że ksiądz proboszcz ma tak dobrze zaopatrzoną kasę, chciałbym prosić o pożyczkę bagateli — stu franków — jednego z tych tam banknotów!

— Już wam powiedziałem, że te pieniądze nie należą do mnie. Ale nawet, gdyby były moje, i wtedy uważałbym to za przeciwne swoim zasadom, żeby wam pożyczać pieniądze.

— Dlatego, że mnie ksiądz proboszcz uważa za łajdaka.

— Dlatego, że to jest wbrew moim zasadom i basta. Jeśli zadowolicie się podarunkiem z mej własnej, chudej kieszeni — mówiąc to proboszcz, aby się pozbyć Losera, podał mu pięciofrankówkę.

— Biorę te pieniądze, jako dobrze zapracowane wynagrodzenie — mówił Loser, wsuwając monetę do kieszeni. Jałmużny bym nie przyjął, bo Artur Loser nie jest żebrakiem. Wkrótce wydostanę się też z pieniężnych kłopotów, gdyż oczekuję spadku po ciotce z Lotaryngii — bardzo bogatej, która umarła! Polecam się pamięci ks. proboszcza! Skłonił się sztywno, spój-

rzał jeszcze raz chciwym wzrokiem na stół i zniknął za drzwiami.

— Bogu dzięki, że odszedł ten niemiły człowiek! — odetchnął z ulgą ksiądz Montmoulin. W gruncie rzeczy jestem w duszy rad, że odjeżdża dziś wieczorem. Naraziłbym się na niebezpieczeństwo zostając z nim samym w klasztorze, skoro dowiedział się o tych pieniądzach. Niech mi Bóg wybaczy, jeśli niesłuszne jest to posądzenie, ale ja temu człowiekowi nie dowierzam! Byłoby możliwe, żeby on teraz odszedł dla niepoznaki, a w nocy potajemnie wrócił — lepiej by było odnieść pieniądze do burmistrza. Byłaby to też może sposobność do zawarcia przyjacielskich stosunków z tym panem, który dotąd tylko wrogo przeciw mnie występował.

Podczas, gdy te myśli przechodziły mu przez głowę, wsunął ks. Montmoulin pieniądze, prędko raz je jeszcze policzywszy do wielkiej chustki w biało-czerwone kraty i włożył tymczasem do biurka. Właśnie miał wyciągnąć klucz, kiedy usłyszał wesoły chłopięcy głos i przez okno ujrzał, że jego stara, dobra matka z dwojgiem wnuków przechodzi przez dziedziniec.

— Matko, matko, czy to naprawdę ty? — zawołał z błyszczącymi radością oczyma.

— Jak widzisz, Franciszku i mam nadzieję powitać ciebie zdrowego i szczęśliwego — doszedł głos z dołu, do którego i dzieci dołączyły swoje wesołe głosiki.

Ale kapłan był już w drodze, zostawiwszy drzwi swego pokoju otwarte. Wybiegł przez długi, ciemny korytarz ku schodom, które wiodły na krużganek i spotkał się z miłymi gośćmi pod drzwiami dawnej klauzury. Z synowską miłością uściskał i ucałował matkę, potem pociągnął ją z ciemnego przejścia na światło otwartego krużganka i spoglądał na jej twarz badawczym wzrokiem. Nic widział jej kilka miesięcy i dowie-

dział się tylko od siostry, że w czasie zimy kilkakrotnie chorowała.

— Jak sądzisz, nie odmłodniałam przez zimę? — żartowała matka. Czy widzisz te szkaradne zmarszczki? Włosy prawie już posiwiały — siwe włosy nazywają cmentarnymi kwiatkami.

— To nic, do twarzy ci z nimi, matko, a zmarszczki wygładzimy i postaramy się, aby policzki zaokrągliły się i znowu zakwitły, jak dawniej — mówił proboszcz. Mam dla mamy dobrą wiadomość! Daj mi jeszcze kilka tygodni czasu, a urządzę ci wspaniały pokój! Kasa moja w niezłym jest teraz stanie. Ale chodźcie do pokoju. Musimy szybko ugotować doskonałej kawy; Karolku, biegnij prędko do piekarza, trzeci dom na lewo w ulicy, i przynieś bułki i tuzin precli! Masz tu pieniądze! A ty, Julko, musisz tymczasem pomóc babci zrobić kawę.

— O, ja sama umiem gotować kawę, świetna będzie — rzekła dziewczynka. Żeby tylko stara Zuzanna miała dość mielonej kawy w słoiku!

Chłopiec z wesołym okrzykiem „hura, będą precle!” puścił się pędem do wioski, a Julka, która już była raz z wizytą w S-te Victoire i umiała się doskonale orientować w klasztorze, była już w drodze do kuchni. Zaledwie usłyszała słowa babki: „Zawiąż sobie fartuch na swoją świąteczną sukienkę!” Równocześnie, pytając po drodze o zdrowie kochanej siostry, prowadził kapłan matkę do swego pokoju.

*

* *

Tymczasem Loser zaczaił się w pobliżu mieszkania księdza, w czym pomogły mu liczne ciemne zakamarki znajdujące się w korytarzu. Stary klasztor zbudowany był w formie podkowy, rozwartej od góry, której obie

strony, na lewo kościół, a na prawo odpowiadający mu pawilon, łączyły się rozległą frontową budowlą. Dwupiętrowy front zwrócony był ku wsi i dolinie. Proboszcz zamieszkiwał duży pokój w prawym narożniku frontowej budowli, tam, gdzie krzyżowały się korytarze, wiodące do kościoła i prawego skrzydła. Zapewne było to w dawnych czasach mieszkanie przeoryszy, która mogła stąd najlepiej widzieć na prawo i lewo oba korytarze, biegnące pomiędzy dwoma rzędami cel, tak w pawilonie św. Marii, jak i w drugim pod wezwaniem św. Magdaleny. Do mieszkalnego pokoju przylegała mniejsza sypialnia, do której można było wejść tylko z pierwszego; była to jedyna cela, do której nie można było wejść prosto z korytarza. Z drugiej strony narożnika nie przylegała do pokoju proboszcza żadna cela; pozostawiono tam małe przejście, aby mogło dochodzić trochę światła na korytarz, gdyż oświetlony był nader skąpo, tylko przez ganek głównego budynku i małe okienka, umieszczone nad drzwiami cel. Naprzeciwko pokoju proboszcza, tworząc wewnętrzny kąt obu skrzydeł, znajdowało się małe, ciemne miejsce, o połowie okna tylko, ale z dwojgiem drzwi, wiodących do pawilonu św. Marii i do pawilonu św. Magdaleny. W tym małym, ciasnym miejscu, które dawniej służyło zapewne jako kuchnia dla przebywających tu chorych, było ognisko, wystarczające na potrzeby proboszcza; wielka dawna klasztorna kuchnia znajdowała się w sklepionej hali na parterze.

Do tej kuchenki wszedł Loser, wyszedłszy od proboszcza. Podobało mu się to ciemne miejsce z dwojgiem drzwi i oknem, wychodzącym na wewnętrzny kąt obu skrzydeł. Obejrzał sobie wszystko dokładnie, a kiedy złożył pęk kluczy na kuchennym stole, jak mu to proboszcz nakazał, wyciągnął szufladę, badając jej wnętrze, Zobaczył długi, dobrze wyostrzony nóż z literami F. M.,

wyrytymi na małej srebrnej tarczy czarnej rączki. Wypróbował na palcu czubek i ostrze i zamruczał:

— Ostry, bardzo ostry; — chwycił go także w rękę, niby sztylet i ciął nim powietrze. Włożył potem nóż ostrożnie na swoje miejsce i zamknął szufladę.

— Nie będę go potrzebował — rzekł do siebie — choć byłoby tak najprościej, ale ja nie nadaję się do krwawej roboty.

Wtem usłyszał proboszcza, rzucającego przez okno słowa powitania i biegnącego zaraz potem korytarzem. Pewien, że powitanie potrwa jakiś czas, odważył się wejść do otwartego pokoju proboszcza.

— Przekleństwo — rzekł — zdążył wszystko uprzątnąć. Ale, przecież w biurku tkwi klucz — zajrzyjmy tam! Właśnie, otóż leży tam skarb, zawinięty starannie w chustkę i gotowy do wyniesienia! Wziąć go? Chwycił chustkę, ale rozum wziął górę nad namiętnością.

— Zauważyłby to jeszcze dzisiaj wieczorem i nie uszedłbym żandarmom; nie bądź głupi, Loser, i tak skarb ci się nie wymknie. Trzeba obmyśleć dobrze, co robić — aczkolwiek niechętnie, cofnął rękę i zamknął biurko. — Klucz wezmę jednak ze sobą, ułatwi mi bardzo całą sprawę; kiedy ksiądz zobaczy, że nie ma klucza, pomyśli, że go w pośpiechu gdzieś położył lub zgubił.

Włożywszy klucz do kieszeni kamizelki i rzuciwszy raz jeszcze badawczym wzrokiem po pokoju proboszcza, wysunął się na korytarz i stamtąd do ciemnej kuchenki. Oto usłyszał, jak Julka śpiewając, wstępowała na schody. Szybko wysunął się drzwiami do pawilonu św. Magdaleny i wszedł na wąskie, kręcone schody, prowadzące na niższe piętro. Potem udał się do swego mieszkania, należącego kiedyś do oddźwiernego, które znajdowało się przy klasztornej bramie i zamknął się tam, aby w spokoju rozważyć swój plan. Po godzinie

opuszczał izdebkę, gotów do podróży, w kapeluszu, z laską w ręku i niewielką torbą na plecach. Drzwi mieszkania zamknął, a ciężki klucz zabrał ze sobą.

Najpierw zwrócił swe kroki ku „Złotej Róży”, oberży, znajdującej się we wsi i zwykle tłumnie odwiedzanej w okresie świątecznym. I dzisiaj roiło się tam od gości, a pan Corillou, właściciel, w czarnej, aksamitnej czapeczce, kryjącej łysinę i w białym, czystym fartuchu, kręcił się wciąż pomiędzy ludźmi, którzy palili, politykowali głośno i popijali absynt lub tanie krajowe wino.

— Patrzcie, oto nasz zakrystian! Czy nie nawrócił pana jeszcze nasz ksiądz swoim dzisiejszym kazaniem? Ale co ja widzę? Z laską i torbą? Gdzie się to pan dzisiaj wybiera? — wołał gospodarz do wchodzącego Losera.

— Jadę do Marsylii nocnym pociągiem — odrzekł Loser tak głośno, żeby go wszyscy mogli słyszeć. — Odziedziczyłem w Lotaryngii spadek po zmarłej ciotce, bardzo bogatej! Niestety, lwią część zagarnęli księża, gdyż poczciwa, prosta dusza, należała do pobożnych; jednakże dla bezbożnego siostrzeńca okroi się jakieś 40.000 do 50.000 franków. Te diabły Prusaki mają jeszcze w żywej pamięci Artura Losera, wolnego strzelca, który pod Bar-le-Duc zdmuchnął im sprzed nosa pocztę z tylu i tylu tysiącami, a pod Fontenay most w powietrze wysadził i nie chcą teraz oddać mi pieniędzy! Dlatego muszę pomówić z adwokatem i zapewne nie będę mógł powrócić przed najbliższą sobotą.

Oczywiście, wiadomość ta wywarła na gościach w oberży pod „Złotą Różą” piorunujące wrażenie. Winszowano Loserowi spadku, krzyczano, żeby się natychmiast zwrócił do prefekta Marsylii, do samego prezydenta republiki, nawet do parlamentu. Należy Prusom wypo-

wiedzieć wojnę, jeśli nie wydadzą pieniędzy, aż do ostatniego szeląga w przeciągu 24 godzin. Loser zaczął się obawiać, że zbyt przeciągnął strunę i zaklinał życzliwych, ażeby w jego własnym interesie milczeli, dopóki się nie dowiedzą o przebiegu sprawy. Berlińczycy zmiękną, skoro tylko otrzymają ostry list od francuskiego adwokata. Wyciągnął potem klucze od swego mieszkania i od bramy klasztornej i oddał je oberżyście z prośbą przechowania do jego powrotu, po czym chciał się żegnać. Ale pan Corillou nie puścił go.

— Jest jeszcze dość czasu, aby zdążyć na pociąg nocny do Marsylii! — zawołał. Panie Loser, musi mi pan wyświadczyć ten zaszczyt i wypić ze mną i mymi miłymi gośćmi za swoje zdrowie i za pomyślne zakończenie sprawy, szklankę wina. Uważałem pana zawsze za wielkiego patriotę, za bohatera, którego więcej zdobi szrama na twarzy, otrzymana za czyn bohaterski, niż legia honorowa prefekta departamentu, który nigdy nieprzyjaciela nie widział na polu bitwy! Miałem pana zawsze, panie Loser, za człowieka honorowego, z którym ślepy los nie obszedł się według zasług, za męża oświeconego, zmuszonego służyć zewnętrznie klerykalizmowi i fanatyzmowi, chociaż światły jego duch triumfuje nad ciemnościami zabobonów. Panie Loser, ślepy los poznał się jednak na pańskiej wartości!

Zapewne, jako zamożny, bogaty człowiek, nie zaszczyci pan więcej swoją obecnością naszej wioski, znajdzie pan gdzie indziej stanowisko i karierę, która pozwoli pańskiemu geniuszowi rozwinąć się i działać ku pożytkowi współobywateli dla dobra ojczyzny. Panie Loser, nie zapomnij pan o swoim szczęściu, albo, że wyrażę się lepiej, na słonecznych wyżynach swego życia o starych przyjaciołach z S-te Victoire! Panie Loser, pozwól mi pan wychylić tę szklankę za twe powodzenie!

Nigdy dotąd nie odkrywano w panu Loser innych cech, jak łajdackiego i bezbożnego grzesznika; teraz jednak wszyscy jednogłośnie przyłączyli się do tego toastu, winszując zakrystianowi szczęścia i przyszłej wielkości, a panu Corillou jego wspaniałego przemówienia. Oberżysta nie mniej był zadowolony ze swych krasomówczych zdolności. Wszystkich gości ściskał za ręce. Potem zasiadł do stołu obok Losera i zmierzchało już, kiedy zakrystian opuszczał „Złotą Różę" i w towarzystwie kilku nowych przyjaciół udał się do Quatre Bras, a stamtąd już sam miał iść drogą ku Akwizgranowi.

ROZDZIAŁ III
Wesołe projekty i smutne przeczucia.

Ksiądz Montmoulin posadził matkę w dużym fotelu, a na jej pytania zdał relacje o swoim zdrowiu i obecnych stosunkach. Wynik indagacji okazał się zadowalający. Kapłan wyglądał nieco blado i szczupło, ale zdrowo. Powinien się więcej oszczędzać, gderała nań poczciwa kobiecina, powinien się ochraniać, zamiast uczyć się po nocach. Ale syn uśmiechał się na te matczyne przestrogi i uspokajał ją zapewnieniem, że się czuje zupełnie zdrowy i silny.

— Zresztą w przyszłości możesz mamo sama nade mną czuwać — dodał. — Kiedy wypoczniesz i posilisz się filiżanką kawy, wybierzemy sami cele, przeznaczone na twe mieszkanie.

— O, nie, zaraz — zawołała pani Montmoulin. Nie jestem wcale zmęczona, a później przyjdą dzieci i nie będzie można pomówić spokojnie. Oczywiście, chciałabym mieszkać jak najbliżej ciebie.

Proboszcz zaprowadził matkę najpierw do swoich

najbliższych cel w pawilonie św. Magdaleny, które od jego mieszkania oddzielało tylko owe małe przejście, przeznaczone do oświetlania korytarza. Z okien tych cel był prześliczny widok na góry i były one jeszcze względnie dobrze zachowane. Matka wybrała jednakże dwie cele w środkowym budynku, gdyż przylegały bezpośrednio do sypialni syna.

— Lepiej tutaj na wszelki wypadek — rzekła — my starzy musimy na serio myśleć o śmierci, a tutaj mogę tylko zastukać w ścianę, gdyby mnie coś spotkało. I patrz, jaki tu śliczny widok na dolinę i S-te Baume.

— Jak chcesz, mamo! Tamte cele są nieco większe i weselsze. Ale i te urządzimy ładnie; pomaluje się sufit, da obicia na ściany. Sprowadziłem już sobie próby i musisz mamo wybrać. Jutro zamówię murarza i tapicera, a w połowie postu możesz się już sprowadzić. Wtedy nastąpią dla ciebie spokojne, słoneczne dni po tych wszystkich przejściach, jakie podobało się Bogu zesłać na ciebie.

— Dobry synu! — zawołała uszczęśliwiona matka, ocierając ukradkiem łzę. Nigdy nie wątpiłam o twym przywiązaniu. Ale jak ty przeprowadzisz to wszystko przy swych małych dochodach?

— Bądź mamo spokojna! Słuchaj: Pani Blanchard, prezydentka Zgromadzenia św. Józefa, jest zamożną i dobroczynną wdową, mniej więcej w twoim wieku. Cieszy się już na znajomość z tobą i będziesz mogła spędzić z nią niejedną godzinkę przy rozmowie i pracy dla biednych. Otóż owa czcigodna dama wpadła na dobrą myśl i ofiarowała mi ładną sumkę na lepsze urządzenie się i powiększenie mej ubogiej biblioteki. Bądź zatem mamo spokojna; a teraz chodź, kawa już musi być gotowa, bo słyszę wołanie Julki.

Weszli do ciemnej kuchenki, gdzie dziewczę nalewało właśnie gotującą wodę na kawę i wesoło wołało:

— Kawa będzie wyborna, zobaczysz, babciu! Ale stół jeszcze nie nakryty, a tyle na nim leży książek. Karolek nie wrócił jeszcze od piekarza! Pomóżcie mi prędko!

Uprzątnięto książki, położono na stół czysty obrus i postawiono filiżanki.

— Ta ze złotym brzegiem, to dla wuja, z napisem — dla babci, z kwiatkiem — dla mnie, a ta ze szczerbą dla Karolka — mówiła dziewczynka. Żeby jednak ten niezdarny chłopak przyszedł nareszcie od piekarza!

Karol wchodził właśnie z dużą torebką precli i bochenkiem chleba pod pachą.

— Oto, wujku, pieniądze, które mi wydał piekarz. Powiedział, że jeden sou z tego należy się mnie.

– Chcesz sobie kupić za to cukierki? — zapytał śmiejąc się proboszcz i podał mu dwa sou.

— O nie, wujku! Włożę je do skarbonki na pogańskie dzieci, żeby ich było jak najwięcej ochrzczonych, kiedy później jako misjonarz udam się na owe dalekie wyspy, o których mi opowiadałeś.

— Dobrze Karolu! Za to dostaniesz jeszcze dwa sou — rzekł proboszcz.

— Ja też proszę o dwa sou za tę doskonałą kawę, którą ugotowałam — prosiła dziewczynka.

— To dosyć tanio — śmiał się ksiądz. Czy włożysz je także do skarbonki?

Ach, mój Boże, ja przecież nie pojadę na wyspy do tych szkaradnych ludożerców — może włożę jeden sou!

— Dobrze, dobrze — mówił proboszcz. Przynieś nam teraz twoją doskonałą kawę!

Wkrótce siedzieli wszyscy czworo przy stole, pili wonny napój, który istotnie okazał się doskonały i chrupali precle.

— Ja dostanę jeden więcej, niż ty, Julko, gdyż je przyniosłem i ty masz ładniejszą filiżankę — przekomarzał się wesoło chłopiec.

— Dobrze rozstrzygnął wuj — ty dostaniesz jeden precel więcej, a Julka filiżankę kawy, musi być sprawiedliwość! Jak skończycie, to pobiegnijcie obejrzeć cele i wybierzcie sobie sypialnię na czas wakacji, które musicie naturalnie spędzić u mnie i u babci!

— O jaka to będzie przyjemność! wołał Karol. Prędko pij kawę, Julko!

— Dobrze, pójdę z tobą. ale trzymajmy się razem, gdyż boję się być sama w tych ciemnych gankach i pustych celach. Ale dla mnie nie potrzeba osobnego pokoju. Prawda, babciu, że pozwolisz mi spać u siebie podczas wakacji, gdyż umarłabym ze strachu, gdybym tutaj miała być w nocy sama. Czy wiesz babciu, że te ostatnie zakonnice, co tu byty, zostały wszystkie jednego dnia, 22 razem, okrutnie zgilotynowane*) na podwórku klasztornym? Stara Zuzanna opowiadała, że czasami przy świetle księżyca idą procesją przez ganki, a każda trzyma w rękach swoją odciętą głowę — brr! Wskutek tego Zuzanna sypia we wsi - mówiła, że za nic w świecie nie spędziłaby tu nocy

— Zuzanna nie powinna opowiadać takich głupstw,— odparł proboszcz. Zresztą nie ścięło biednych zakonnic tutaj, tylko na rynku w Akwizgranie i z pewnością nie zrobią ci nic złego, gdyż dzisiaj są w niebie pomiędzy świętymi. Ścięto je dlatego, ponieważ modliły się za dobrego króla Ludwika XVI, który także umarł jak święty.

Dzieci wypiły kawę i udały się na przegląd klasztoru, a tymczasem matka i syn rozmawiali serdecznie, wspo-

* Podczas rewolucji francuskiej 1789-1799.

minali dawną smutną przeszłość i robili plany na przyszłość, która zdawała uśmiechać się do nich.

— Nie wiem, dlaczego — rzekła wreszcie matka — czy to jest wpływ tego niezamieszkałego klasztoru, czy wrażenie, pozostałe po przeszłości, ale prawie trudno mi uwierzyć w lepsze dni, które mają teraz nadejść na moje stare lata. Mam takie uczucie, jakby nad naszymi głowami czaiło się znów jakieś nieszczęście!

— Jesteśmy zawsze w ręku Boga — odrzekł kapłan — i gdyby zesłać nam miał nowe doświadczenia, z Jego pomocą zniesiemy je cierpliwie. Ale teraz właśnie nie widzę żadnego powodu do obaw. Mam tutaj dobre stanowisko, lubi mnie większość parafian, nie mam osobistych nieprzyjaciół. Oczywiście, że wrogowie naszego Kościoła nie są względem mnie dobrze usposobieni, ale co mi to może szkodzić, jeśli spełniam uczciwie swoje obowiązki? Nie mieszam się zresztą do polityki. Moi kościelni przełożeni są mi życzliwi. Wczoraj jeszcze otrzymałem list pełen uznania za moje artykuły, drukowane w miesięczniku kościelnym — mówię to tylko dlatego, żeby cię, mamo, uspokoić. Ofiarowano mi nawet dobrze wynagradzane miejsce profesora przy seminarium, wolę jednak pozostać na wsi, oddawać się spokojnej pracy koło swych owieczek i nauce.

Gdybym był w seminarium, musiałbym wyrzec się przyjemności być blisko ciebie i nie mógłbym starać się o to, żeby ci choć trochę wynagrodzić trudy i niedostatek, jakie z mej przyczyny znosiłaś w ciągu mych długich studiów. A więc mateczko, bądź dobrej myśli!

W tej chwili zabrzmiał dzwonek i ksiądz Montmoulin wyjrzał oknem, aby się przekonać, kto to. Chłopiec w góralskim stroju stał przy bramie klasztornej, którą Loser, odchodząc, zamknął za sobą i kiwał, żeby mu otworzono.

— Prawdopodobnie wołają mnie do chorego — rzekł trochę niecierpliwie proboszcz — zdarza się to zwykle w najmniej pożądanej porze. Zawołał na Karola, aby poszedł otworzyć bramę i wkrótce zjawiły się dzieci w towarzystwie góralczyka, który istotnie wzywał duchownego do jednej z najodleglejszych góralskich zagród.

— Matka mówiła, żeby się ksiądz proboszcz spieszył gdyż ojciec może lada chwila umrzeć — łkając, zakończył chłopiec swoje bezładne opowiadanie. Ojciec spadł nagle z krzesła, podczas, gdy jedliśmy podwieczorek i od tej chwili nie wymówił ani jednego zrozumiałego słowa, tylko bełkoce, jak nasz parobek, kiedy się upije, a przecież ojciec nie pił nic, prócz kwaśnego mleka. Ach księże proboszczu, niech ksiądz proboszcz idzie jak najprędzej!

— Naturalnie, moje dziecko, idę natychmiast. Zdaje się, że twój ojciec został dotknięty paraliżem. Mam nadzieję, że to się źle nie skończy, czasami takie ataki mijają szczęśliwie — pocieszał go kapłan.

— Pójdę zaraz. Widzisz, mamo, muszę cię pożegnać! Ale przypomniały mi się pieniądze pani Blanchard! Nie mogę przecież zostawić domu bez opieki. Święty Józefie, ześlij mi dobrą myśl! Nie mogę zanieść pieniędzy do burmistrza — to kwadrans drogi, ani prosić jakiegoś sąsiada, aby pilnował, wyjaśnienia trwałyby zbyt długo, a chory umarłby tymczasem! Wieczne zbawienie człowieka ważniejsze jest, niż zabezpieczenie tych pieniędzy! Ach, mam dobrą myśl; — mamo, zrób mi tę łaskę i spędź u mnie noc wraz z dziećmi. Mam w biurku wielką sumę pieniędzy i oczywiście nie chciałbym zostawić jej bez opieki w tym pustym domu. Urządźcie się na noc, jak możecie — ja teraz muszę iść spełnić swój obowiązek!

— Zostanę tu chętnie — rzekła wystraszona kobie-

ta — ale będzie pewnie lepiej, jeśli pieniądze zaniesiemy do twej sypialni, gdzie możemy się zamknąć i gdzie jest bezpieczniej, jak tutaj.

— Dobrze, zróbcie, jak chcecie. Tam jest klucz, ale, gdzie ja go włożyłem? Miałem go w ręku, gdy nadchodziliście. Mniejsza o to, nie mam już czasu szukać. Przestawimy do sypialni całe biurko, które nie jest zbyt ciężkie.

Wtem pewne podejrzenie przyszło proboszczowi do głowy. Czyżby Loser? Zawołał jednak:

— Przekonajmy się wpierw, czy pieniądze są na swoim miejscu. Karolu, daj prędko kluczyk od mej szafy w sypialnym pokoju, można nim także otworzyć biurko.

Kilka sekund oczekiwania wydało się proboszczowi wiekiem. Nareszcie otworzył biurko i z westchnieniem ulgi zobaczył na swoim miejscu chustkę, w którą zawinął pieniądze.

— Otóż znowu fałszywe podejrzenie! — pomyślał. Teraz nie traćmy ani chwili! Chodź, Benoit ze mną do zakrystii, skąd zabiorę święte oleje i do kościoła, skąd wezmę Przenajświętszy Sakrament, potem będziesz mi niósł latarkę. Karolku, zabierz klucz od kościoła, który leży w kuchni na stole, zamkniesz za nami drzwi; klucz od domu mam w kieszeni. A ty, mamo, urządź się tutaj jak najwygodniej. Jak jest daleko do waszej zagrody?

— Ach, ks. proboszczu, ja biegnę godzinę!

— Tak, ale ty skaczesz, jak koza i wybierasz krótsze drogi, które w nocy są dla mnie niedostępne. Może być północ, może być już rano zanim wrócę. Idźcie spać, i dla mnie połóżcie tylko wełnianą kołdrę. Nie raz już spałem w fotelu. A teraz zostańcie z Bogiem.

Z tymi słowami ks. Montomoulin udał się z obu chłopcami do kościoła przez ciemny już prawie kory-

tarz. Z oratorium, znajdującego się na końcu korytarza, skąd widać było chór i tabernakulum z wieczystą lampką, wąskie, kręcone schody wiodły do zakrystii. Pośpiesznie zabrał kapłan św. oleje i przystąpił do ołtarza, gdzie wyjął z kielicha hostię św. i włożył ją do małej, pozłacanej puszki. Benoit postępował z zapaloną latarką przed kapłanem, który niósł wielkim poszanowaniem swego w eucharystycznej postaci ukrytego Boga i przyszłego Sędziego, a Karol, modląc się pobożnie, towarzyszył im aż do drzwi kościoła Zamknął je starannie. Potem chłopiec udał się przez ciemny już prawie kościół, oświecony jedynie wieczystą lampką, która rzucała migotliwe blaski, do zakrystii. W kościele nie obawiał się zbytnio, spoglądał na tawernakulum i mówił sobie: „Tam mieszka dobry Bóg”. W zakrystii poczuł jednak dziwną obawę i nie mógł się odważyć, aby iść bez światła ciemnymi, kręconymi schodami do starego oratorium, z którego wchodziło się na korytarz, a stamtąd do mieszkania proboszcza. Przypomniał sobie, że na ołtarzu obok mszału stoi świeca; zapalił ją u wieczystej lampy i dopiero teraz, zbierając całą odwagę, ośmielił się wejść na schody. Zasłaniając ręką światło, prędko wstępował na górę i w połowie drogi na schodach wszedł w drzwi, których poprzednio nie zauważył, a teraz mylnie wziął za drzwi do oratorium. Drzwi te prowadziły do komórki obok zakrystii, gdzie przechowywano różne rupiecie, krzyże do procesji, nadliczbowe świeczniki itp. rzeczy, używane w kościele od czasu do czasu. Pierwsze, co zobaczył chłopiec, z trudem opanowujący swój strach, był całun z trupią czaszką, namalowaną na czarnym tle. Z krzykiem rzucił Karol świecę, która zgasła natychmiast i jak szalony wbiegł po schodach do oratorium, a stamtąd przez ciemny korytarz do mieszkania proboszcza.

Z trudem udało się babce uspokoić przerażonego wnuka; śmiertelnie blady, drżąc na całym ciele, dowodził, że widział nieboszczyka. Dziewczynka była tak wystraszona tym opowiadaniem, że ze łzami błagała babkę, aby wracali do domu. Pani Montmoulin, na którą pusty, ponury klasztor również wywierał nieprzyjemne wrażenie, byłaby chętnie zastosowała się do tych próśb, nie mogła jednak ze względu na obietnicę, daną synowi. Postanowiła więc posłać dzieci do Quatre Bras, gdzie mogły jeszcze zastać pana Le Noir, a sama w imię Boże nocować w domu syna.

— Prędko zbiegnijcie z góry do oberży, przy której wysiedliśmy — mówiła. Poproście ładnie pana Le Noir, to was zabierze. Powiedzcie mu, że muszę pilnować domu, ale nie wspominajcie o pieniądzach.

Dała dzieciom torebkę z preclami, zawiązała na szyi chusteczki i przez ciemny korytarz i główne schody odprowadziła do bramy. Uściskała raz jeszcze oboje i spoglądała za nimi, jak biegli, trzymając się za ręce. Gdy zniknęli jej z oczu na drodze, wiodącej przez wieś, zamknęła bramę i z ciężkim sercem powróciła do mieszkania syna.

— Prawie równie się boję, jak Karolek — mówiła do siebie, uprzątając ze stołu. Wyjęła potem chustkę z pieniędzmi z biurka. Jakie to ciężkie — pomyślała i nie mogła sobie odmówić przyjemności, aby chustkę rozwiązać i popatrzeć na jej zawartość. W całym swym życiu poczciwa kobiecina nie widziała razem tyle pieniędzy, tyle złota, srebra i całej paczki banknotów. Przestraszona, mimo woli spojrzała na drzwi, czy zamknięte, zawiązała prędko chustkę i zaniosła do sypialni, chowając w łóżko syna.

— Żeby się to tylko dobrze skończyło! — westchnęła. — Gdyby tak jakiś zły człowiek wiedział; że jestem sama w tym pustym klasztorze z taką sumą pienię-

dzy — nie chcę nawet myśleć o tym, ale mogłoby się stać straszne nieszczęście.

Potem zaczęła spacerować w pokoju mieszkalnym tam i z powrotem, odmawiając różaniec za dusze zmarłych, a tymczasem zwolna nadeszła noc. Nie zapaliła świecy, tylko postanowiła się położyć na łóżku syna nie rozebrana i tak czekać na jego powrót. Powróciła więc do sypialni i zasunęła zasuwkę drzwi, które tworzyły jedyny dostęp do pokoju, jednakże drzwi bawialnego pokoju pozostawiła otwarte, aby syn mógł wejść bez przeszkody, gdy powróci.

Leżała długo na posłaniu bezsennie, wkrótce jednak popadła w półsen. Obudził ją silny powiew wiatru, który zakołatał w okno; zerwała się na nogi. Czyżby ktoś chciał wyłamać okno? Nie, to zmieniło się nagle powietrze. „Mistral”, północno-wschodni wiatr, który w dolinie Renu tak często zakłóca wczesną prowansalską wiosnę zimnymi deszczami i ostrym powietrzem, przepędził ciepło za Morze Śródziemne i zaciągnął niebo ciemnymi, deszczowymi chmurami. Słychać już było pierwsze krople deszczu pluskającego w szyby.

— Biedny Franciszek — biadała matka. Żeby się on tylko nie rozchorował od tego powietrza.

Zapaliła światło i spojrzała na zegar — była jedenasta. Położyła się znów i po jakimś czasie popadła po raz drugi w półsen. Nagle zbudziła się znowu, tym razem z przyczyny dziwnego szmeru, jaki dochodził z mieszkalnego pokoju. Zdawało się, że ktoś próbuje otworzyć drzwi sypialni.

— Czy to ty, Franciszku? — zawołała pani Montmoulin.

Natychmiast nastała cisza.

— Musiałam się pomylić — myślała kobieta i zasnęła teraz tak głęboko, że obudziła się dopiero rankiem.

ROZDZIAŁ IV
Zbrodniczy plan.

Loser przybył prawie równocześnie z dziećmi do oberży Quatre Bras i usłyszał, jak Karol zdawał piekarzowi Le Noir niezbyt jasną relację, przerywaną często przez Julkę, dlaczego babka pozostała na noc w klasztorze, ich jednak oboje odesłała do Akwizgranu. Gdy nadeszła kolej na nieboszczyka, który z „pewnością" ukazał się jego małemu przyjacielowi, trzeźwy piekarz trząsł głową z niedowierzaniem. To, że dzieci obawiały się nocować w starym klasztorze, wydało mu się dostatecznym powodem, by wracały do Akwizgranu, nie tłumaczyło to jednakże, dlaczego pozostawała tam babka.

— Bo — mówił Karol — wuj ma w biurku wiele, wiele pieniędzy.

— Tego nie mieliśmy mówić — przerwała mu Julka.

— Dlaczego? Przecież ich pan Le Noir nie ukradnie — obruszył się chłopiec.

— Masz rację! Nie mam zamiaru tego uczynić — odparł piekarz. — A teraz dzieci, siadajcie prędko! Tym razem siądźcie na przednie siedzenie z prawej i z lewej strony koło mnie, zobaczycie, jak mój gniady kłusuje. Tak, teraz pojmuję, dlaczego babka odsyła was samych do domu. Lecz przecież dziś rano opowiadała mi, że jej syn, a wasz wuj... — mniejsza o to, to mnie nie obchodzi! — Ale czego sobie pan życzy?

Ostatnie słowa skierowane były do Losera, który stał dość blisko, żeby móc uchwycić chociaż główny wątek rozmowy, a teraz widząc, że koń rusza, zbliżył się prędko do wózka z pytaniem, czy nie mógłby zabrać się do Akwizgranu za małym wynagrodzeniem.

— Gdzież to pan zdobył tę szramę przez nos? — zapytał trochę nieufnie piekarz.

— Zawdzięczam ją prze... huzarskiej szabli w ostatniej wojnie — brzmiała odpowiedz

— To siadaj pan i to na przednie siedzenie, koło mnie. Musi mi pan opowiedzieć tę historię ze szczegółami. Karol, zrób temu panu miejsce! Widzisz, należy zawsze szanować bohaterskiego obrońcę ojczyzny.

Siadł tedy Loser na to samo miejsce, które przed kilku godzinami zajmowała pani Montmoulin, opowiedział dobrodusznemu piekarzowi tyle swoich heroicznych czynów, że całkowicie zdobył jego serce. Pan Le Noir zboczył nawet w Akwizgranie z drogi, aby odwieźć na kolej bohatera ze szramą na twarzy; poszedł z nim do bufetu, zamówił dla obu po szklance wina i pił zdrowie obrońcy ojczyzny. Potem uścisnął Loserowi rękę i usłyszał jeszcze, jak ten przystąpiwszy do okienka, żądał donośnym głosem bilet do Marsylii, ale odpowiedziano mu, że to jeszcze o godzinę za wcześnie. Kwadrans później pan Le Noir wysadził dzieci koło domu ich matki i w podniosłym usposobieniu powrócił do siebie, cały wieczór opowiadając o czynach bohaterskich Lotaryńczyka ze szramą na twarzy.

Tymczasem Loser przystąpił znów do bufetu, kupił butelkę koniaku, zapasy żywności na drogę i pochowawszy wszystko po kieszeniach, kręcił się po poczekalniach, starając się o to, by go zauważono, po czym otrzymał nareszcie swój bilet, po który udawał się kilkakrotnie. Urzędnik z gniewem zwrócił uwagę jegomościowi ze szramą, że skoro mu tak pilno, to powinien sobie zamówić ekstra pociąg; na to odpowiedział mu Loser, śmiejąc się, że jeśli urzędnik da mu potrzebne na ten cel pieniądze, to uczyni to z przyjemnością, gdyż mu się bardzo spieszy do Marsylii. Po upływie kwadransu, podczas którego Loser nudził jeszcze urzędników różnymi pytaniami, nadszedł nareszcie pociąg marsylski i zakrystian tłoczył się wraz z gro-

madą innych pasażerów ku przepełnionym wagonom.

— Dalej, na końcu jest jeszcze miejsce! — wołali konduktorzy i Loser śpieszy wraz z innymi jasno oświetlonym peronem we wskazanym kierunku, gdzie paliło się teraz kilka lamp.

— Prędko — wołał konduktor — tu jest wolne miejsce i popchnął zakrystiana, którego szrama zwróciła jego uwagę, w jeden z ostatnich wagonów, stemplując równocześnie jego bilet.

— Mamy dzisiaj mało czasu — mówił i zamknął drzwi za Loserem i innymi, wchodzącymi do wagonu. Pośpieszył potem do innych drzwi, żądając biletów.

Lokomotywa już gwizdała. Podczas, gdy inni pasażerowie szukali miejsc w przepełnionych przedziałach, Loser, korzystając z zamieszania, wysunął się z ruszającego pociągu i zdołał, przesuwając się pomiędzy rzędami innych wagonów, zniknąć niepostrzeżenie w ciemnościach.

— Doskonale — mówił, oddychając pełną piersią — wszystko poszło według życzenia. Niech mi teraz ktoś dowiedzie, że noc spędziłem w S-te Victoire! — postawię co najmniej dwa tuziny świadków, że jechałem do Marsylii nocnym pociągiem. Wprawdzie żaden z konduktorów nie będzie mógł przypomnieć sobie, że mnie widział w czasie jazdy, ale czy to ma jakieś znaczenie wobec tak przepełnionego pociągu? W każdym razie na mnie nie może paść pierwsze podejrzenie, a ja będę tymczasem z pieniędzmi hen za górami. Chodzi teraz tylko o to, żeby dostać się niepostrzeżenie do S-te Victoire! Godzina dziewiąta, zauważył, spojrzawszy na oświetlony zegar stacyjny; przed północą mogę być z łatwością w klasztorze, a zanim rano zaświta, w bezpiecznym miejscu wraz ze zdobyczą. Potem przez ciemne uliczki przedmieścia wydostał się na otwartą przestrzeń.

Unikając głównego traktu, śpieszył Loser szybkim krokiem z powrotem do S-te Victoire.Doszedł już prawie do wioski, kiedy silny, suchy wiatr przygnał chmury i spadły pierwsze krople deszczu. Zakrystian ukrył się w jakiejś otwartej szopie i postanowił przeczekać niepogodę. Gdy jednak zegar kościelny uderzył dwunastą, pomyślał sobie, że dla zdobyczy, jaka go czekała, warto narazić się na kilka kropel deszczu i pomimo wichru i ulewy podążył ku klasztorowi. Ta niepogoda ma swoją dobrą stronę — pocieszał się w myśli — na drodze nie spotkam nikogo.

Ostrożnie doszedł niespostrzeżony do ogromnego gmachu, przesunął się do małej ogrodowej furtki, stojącej zawsze otworem i doszedł do wysokiego muru, zamykającego czworobok zabudowań. Naturalnie brama, wiodąca z ogrodu na dziedziniec klasztorny, była zawsze zamknięta i broniła dostępu nu krużganek i do tylnych drzwi. Loser nie martwił się o to. Wiedział, że na parterze znajduje się wybite okno, przez które bardzo łatwo można dostać się z ogrodu do starej ogromnej kuchni klasztornej, w której w ostatnich czasach tłoczono nieraz olej. Pomiędzy pustymi beczkami i różnymi rupieciami, macając w ciemnościach drogę, natrafił na małe, boczne schody, prowadzące nu drugie piętro do pawilonu Magdaleny. Tam zdjął buty i nasłuchując przez dłuższy czas, wszedł cicho na górę.

W klasztorze panowała zupełna cisza, przerywana tylko od czasu do czasu wyciem wichru, hulającego po pustych korytarzach.

Wtedy o mało nie opuściła go odwaga! Był to pierwszy w życiu czyn, mogący go narazić na kryminał. Wprawdzie dawno już bardzo, bo jakieś dwadzieścia lat temu, będąc na uniwersytecie, pozbył się wiary w Boga i w nieśmiertelność duszy, jednakże trudno wyrwać z serca ostatnie, wątłe nici tej wiary, którą chrześci-

jańskie wychowanie zaszczepiło w sercu dziecka. Loser miał dobrą, religijną matkę; niestety, stracił ją zbyt wcześnie. Teraz właśnie, kiedy nadsłuchując, stał w ciemnym ganku, przyszła mu na myśl ta dawno już pogrzebana matka i wydawało mu się, że ją słyszy mówiącą w przeddzień jego pierwszej komunii świętej:

— Arturze, byłeś dzisiaj u spowiedzi. Przyrzeknij mi dzisiaj, a jutro swemu Zbawicielowi, że odtąd wydasz stanowczą walkę swojej lekkomyślności — w przeciwnym razie narazi cię ona na wielkie nieszczęście.

Przyrzekał wówczas ze złami w oczach uczynić to, czego żądała matka, niestety, nie dotrzymał jednak obietnicy. A jak sprawdziły się słowa matki! Już jako chłopiec, lekkomyślnym swym postępowaniem o mało nie naraził się na więzienie i wypędzenie z gimnazjum, przebaczono mu tylko ze względu na to, że wstawił się za nim pewien krewny, ksiądz. Przyszły potem uniwersyteckie czasy i stare nałogi przywiodły go do utraty wiary, stanowiska i resztek skromnego majątku. Nie namyślając się ani chwili, poszedł na wojnę, w samą porę, aby umknąć wierzycielom, a burzliwe, żołnierskie życie pogrążyło go jeszcze bardziej w przepaść moralnego zdziczenia. Następnie zmieniał co chwilę zatrudnienie, czego przyczyną był niepoprawny charakter, aż nareszcie zmuszony biedą, przyjął marne stanowisko zakrystiana. I oto stanął na progu ciężkiego przestępstwa i raz jeszcze ujawniła mu się w duchu postać matki, patrzącej nań kochającymi, stroskanymi oczyma, jak anioł stróż, strzegący od upadku.

Nadaremnie! Lepsze uczucia nie znalazły doń dostępu.

— Nie bądźże babą! — mówił sobie Loser. Ile to wysoko postawionych ludzi za pomocą gry na giełdzie

kradnie rocznie setki tysięcy z kieszeni swych współbraci! To jest po prostu walka o byt! A przy tym nie zubożę nikogo. Jeśli ten klecha nie zbuduje szpitala, to zamiast niego zbuduje go państwo i jeszcze o wiele piękniejszy. A więc naprzód!

Zakrystian kierował się po omacku, dotykając murów, aż dosięgnął narożnika, w którym stykały się pawilony Marii i Magdaleny. Stał teraz pomiędzy mieszkaniem proboszcza a małą kuchenką. Przypomniał mu się nóż, leżący w szufladzie kuchennego stolika. Czy wziąć go? Chociażby dla obrony własnej. Wszedł do kuchenki i po krótkim szukaniu, znalazł stół. Włożył rękę w szufladę. Natrafił od razu na nóż, rzucił go jednak z powrotem, aż zadźwięczał głośno.

— Nie mógłbym uczynić nic złego ani księdzu, ani jego matce, zresztą i tak dam sobie z nimi radę; przy tym mógłbym w ciemnościach potknąć się, upaść i zranić sam tym głupim narzędziem mówił sobie. Ale zapalę tę małą latarenkę, z którą proboszcz chodzi co rano do kościoła. Potarł zapałkę i znając zwyczaje proboszcza, znalazł latarenkę. Przysłaniając teraz światło połą surduta, szedł Loscr ostrożnie korytarzem i posłuchawszy czas jakiś pod drzwiami, skorzystał z chwili, kiedy wiatr wybuchnął silniej i otworzył je. Wpuścił do pokoju promień światła — pokój był pusty. Odważył się wejść po cichu i na palcach zbliżył się do biurka. Wyjął klucz z kieszeni kamizelki i z bijącym sercem szykował się na schwytanie zdobyczy, tymczasem — Loser nie dowierzał własnym oczom — w zamku sterczał jakiś klucz. Przekręcił go, wysunął szufladę i oto ujrzał, że jest oszukany!

Włamywacza ogarnęła wściekłość. Tak sobie wszystko dobrze obmyślił i oto ten ograniczony ksiądz przeniknął jego plany i pokrzyżował je w tak śmiesznie prosty sposób!

— Któż by pomyślał, że klecha zabierze swoją mamonę do łóżka, jak jakiś stary skąpiec? Prędzej uduszę go własnymi rękoma, niż miałbym opuścić klasztor bez pieniędzy — pomyślał i z przekleństwem na ustach zwrócił się ku drzwiom sypialni. Nie ustąpiły pod naciskiem jego rąk, usłyszał natomiast głos kobiecy, wo łający:

— Czy to ty, Franciszku!

Loser zaklął. Co teraz począć? Jeśli przemocą wyważę drzwi, to stara podniesie taki krzyk, że usłyszą go na końcu wsi. Do tego jeszcze muszę być przygotowany i na to, że w każdej chwili może nadejść proboszcz. Nie mogę używać gwałtu, przynajmniej teraz, w obecnej chwili, trzeba czekać na lepszą sposobność.

Powziąwszy takie postanowienie, wysunął się cicho z pokoju, postawił latarkę w kuchni na swoim miejscu i ukrył się w jednej z pustych cel, gdzie zaczął rozmyślać nad nowym planem.

Po dłuższym namyśle przekradł się z powrotem na schody pawilonu św. Magdaleny i zabrał swe obuwie; potem wyjął z szuflady ostry nóż i ostrożnie udał się na palcach, postępując wzdłuż ściany, przez oratorium na dół, po kręconych schodach, do komórki koło zakrystii, tam, gdzie trupia głowa tak wystraszyła małego Karolka.

Tutaj jestem bezpieczny — pomyślał — nikt nie chodzi do tej rupieciarni. Stąd mogę widzieć zarówno kościół, jak i krużganek i zaczekać na dogodny moment. Ale jak tu zimno. No, leży tam przecież całun!

Położył obok siebie nóż, pociągnął z butelki porządny łyk, otulił się w sukno i spróbował zasnąć.

— Cóż znowu! Przecież jestem oświeconym człowiekiem — mruczał — wierzę, że ze śmiercią wszystko się kończy! Dlaczego więc jest mi tak dziwnie nie-

przyjemnie pod tymi łachmanami? Ba, nie bądźże babą, Arturze Loser, umarli nie powracają!

Jednakże daremnie próbował zasnąć i tak często zaglądał do butelki dla dodania sobie odwagi, że był na pół pijany, kiedy nareszcie nadszedł dzień.

ROZDZIAŁ V

Czyn.

Już szarzało, kiedy śmiertelnie znużony ksiądz Montmoulin powrócił nareszcie do domu. Spędził on przy chorym całą noc, oczekując stosownej chwili do wysłuchania jego spowiedzi i udzielenia mu Najświętszego Sakramentu. Oleje św. włożył na niego zaraz po swym przyjściu. Istotnie po północy stan chorego polepszył się i przytomność wróciła na tyle, że mógł odpowiadać na pytania kapłana przynajmniej znakami, wyrażającymi: tak lub nie i gdy ten odmawiał głośno akty skruchy i żalu, uderzał się w piersi lewą. zdrową ręką, po czym otrzymał rozgrzeszenie i Przenajświętszy Sakrament.

Wówczas proboszcz powrócić chciał do domu; niestety, na górskiej wyżynie wicher dął jeszcze gwałtowniej niż w dolinie i należało przeczekać najgorszy czas.

— To by było narażenie się na pewną śmierć, księże proboszczu — tłumaczyli mu życzliwi ludzie; — nawet my nie odważylibyśmy się schodzić w taki czas na dół stromymi ścieżkami.

Około godziny 4-tej rano uspokoiło się nieco i wtedy dano księdzu, nie chcącemu opuścić odprawianej codziennie o 6-tej godzinie mszy św., silnego parobka, który miał mu wskazywać drogę i w razie potrzeby podtrzymywać swym ramieniem.

Wszystko poszło szczęśliwie, tylko w połowie drogi

gwałtowny lodowaty potok deszczu przemoczył księdza do nitki.

Przyszedłszy do domu, odniósł naturalnie oleje św. i puszkę z powrotem do zakrystii, do której dojść było też można z krużganku, zadzwonił na Anioł Pański i na mszę św., sądząc oczywiście, że zakrystiana nie ma. Otworzył potem kościół, do którego weszło wkrótce pół tuzina starszych niewiast. Chciał udać się teraz do swego mieszkania, aby zmienić ubranie, ale jakaś skrupulatna osoba przytrzymała go prawie 10 minut, spowiadając się ze swoich wątpliwości i uwolniła nareszcie, kiedy oświadczył, że się czuje źle.

W mieszkaniu znalazł matkę, ubraną już od dawna. W kilku słowach opowiedział jej swoje przygody i ku swemu uspokojeniu usłyszał w zamian, że noc przeszła spokojnie, że raz tylko wydawało jej się, iż ktoś pukał do drzwi, ale to burza była zapewne tego przyczyną. Proboszcz przebrał się szybko i udał do kościoła odprawić mszę świętą.

Jak zwykle, kiedy proboszcz modlił się do mszy św., stara Zuzanna przygotowywała mu śniadanie. Nie była dzisiaj w dobrym humorze. Już wczoraj nie podobały jej się odwiedziny z miasta — przeczuwała, że to jest może wstęp do wypowiedzenia służby.

Zużyli prawie całą kawę, którą upaliłam i zmełłam — mruczała gniewnie. Naturalnie, filiżanki są nieumyte, cukierniczka pusta w połowie, a gdzież to podział się ten duży nóż, potrzebny mi do krajania chleba? To dopiero gospodarstwo! Tego nie zniesie stara Zuzanna! Całe życie trzymałam wszystko w porządku i wolę dzisiaj jeszcze wypowiedzieć służbę.

Kiedy proboszcz powracał z kościoła, nie mógł nie usłyszeć, części tej ze sobą prowadzonej rozmowy, gdyż Zuzanna miała zwyczaj mówić głośno, gdy była zła. Upokorzony wszedł do kuchni, aby zażegnać burzę

przyjacielskim słowem. Pomogło to o tyle, że burza zamieniła się w ulewny deszcz i stara służąca dowodziła ze łzami w oczach, że ona wie bardzo dobrze o tym, iż ks. proboszcz nie jest z niej zadowolony, że mu w niczym dogodzić nie może, ale przekona się, jak będzie, gdy jej zabraknie.

— Głupstwo, Zuzanno! Któż myśli o tym, żeby cię odprawić? Ale chyba wolno mi wziąć do siebie starą matkę? Jednak, jak dotychczas, tak i teraz będziesz miała u mnie zarobek, pomagając mojej matce w gospodarstwie. Masz! Mówiąc to, wcisnął jej do ręki dwufrankówkę.

— A teraz przynieś nam kawę. Potem pobiegnij prędko do pana Renard, sklepikarza, i zapytaj, czy moja matka nie mogłaby zabrać się z nim do Akwizgranu, i kiedy? A potem wstąp do pani Blanchard i poproś ją, aby, jeśli może, dzisiaj jeszcze z rana, przyszła do mnie.

Zuzanna otarła oczy koniuszkiem fartucha i dziękowała.

— Żebym tylko dowiedzieć się jeszcze mogła, gdzie się podział ten duży nóż — biadała.

— Może go Julka gdzieś w inne miejsce położyła, ale znajdzie się przecież — pocieszał ją proboszcz odchodząc.

Po śniadaniu, które matka i syn spożyli wśród pogodnej pogawędki w różowych barwach przedstawiając sobie przyszłe wspólne życie, nadeszła Zuzanna. Oznajmiła, że pan Renard jedzie o godzinie 8-mej i z przyjemnością zaprasza panią Montmoulin do swojego pojazdu, zaś pani Blanchard stawi się u proboszcza pomiędzy godziną 10-tą a 11-tą.

— Nie mamy więc ani chwili do stracenia — rzekł proboszcz i z szuflady biurka wyjął jeden banknot. Oto 500 franków dla ciebie mamo! Nie wymawiaj się. Pocz-

ciwa pani Blanchard dała mi je ze swego spadku, który w tych dniach otrzymała; drugie tyle zachowałem dla siebie na książki. Nie mamo, nie rób ceremonii, ale zapłać tymi pieniędzmi resztę długu, jaki z mej przyczyny zaciągnęłaś.

Nie wiem, jakim sposobem pani Blanchard dowiedziała się o naszych niekorzystnych warunkach materialnych; zdaje się, że posiada jakiś zmysł szczególny, którym potrafi odkryć, gdy ktoś jest w potrzebie i stara się według sił swoich zaradzić temu. Ofiarowała mi ten dar w tak ujmujący sposób, że byłbym jej doprawdy sprawił przykrość, odmawiając przyjęcia.

— Poczciwa kobieta! Niech jej to Bóg wynagrodzi! — rzekła pani Montmoulin.

— Tak, módlmy się o to. A teraz do widzenia, droga mamo, niedługo ciągle będziemy widywać się! Chętnie odprowadziłbym cię do pana Renard, ale wiesz, czego tu muszę pilnować. Bogu dzięki, że dzisiaj przyjdzie pani Blanchard i uwolni mnie od tego ciężaru, który od wczoraj popołudnia doprawdy mnie niepokoi. A więc do widzenia! I pomódl się za mnie! Po tych słowach ucałował matkę serdecznie.

— I ty pomódl się za mnie, ja czynię to codziennie. Daj mi jeszcze kapłańskie błogosławieństwo!

Uklękła i ze wzruszeniem uczyniła na czole znak krzyża. Uśmiechnęła się potem przez łzy i w towarzystwie Zuzanny opuściła mieszkanie. W małą, ręczną torbę zabrała do naprawy kilka sztuk bielizny syna, którego szafę rano przejrzała z troskliwą pieczołowitością. Z dziedzińca raz jeszcze rzuciła pożegnalne spojrzenie probroszczowi, który za nią wyglądał oknem.

Jakże inne, niż sobie wyobrażali, miało być ich najbliższe spotkanie! Na sercu syna przeczucie jakieś ciążyło kamieniem.

— Tak mi jakoś dziwnie! — mówił do siebie. Mu-

siałem przeziębić się naprawdę i skoro tylko pani Blanchard odejdzie z pieniędzmi położę się.

Kiedy wróciła Zuzanna, poprosił ją, aby mu sparzyła herbatę i uszykowała łóżko. Potem zwolnił ją, mówiąc, że do samego rana nie będzie potrzebowała przychodzić, gdyż po południu położy się, aby wypocić przeziębienie. Ponieważ czynił tak zawsze, ilekroć źle się czuł, służąca nie oponowała. Zapytała jeszcze, czy nie przynosić obiadu, na co proboszcz odpowiedział, że nie ma zupełnie apetytu, lecz gdyby nabrał ochoty do jedzenia, to sam ugotuje sobie parę jaj na miękko.

— Jak sobie ks. proboszcz życzy! — odrzekła Zuzanna i odeszła.

Proboszcz zabrał się do brewiarza. Skończywszy modlitwy, wynotował z antykwarycznego katalogu długą listę teologicznych książek, które dziś jeszcze chciał zamówić przez pocztę.

— Trzysta czterdzieści siedem franków i 150 centimów! — westchnął, zliczywszy ceny. Nie odważyłbym się wydać tyle na swoją bibliotekę, gdyby zacna pani Blanchard nie dała mi tych pieniędzy z wyraźnym zastrzeżeniem, abym wydał je wyłącznie na swoje potrzeby, a nie na biednych. No, ale zostanie jeszcze właśnie tyle, ile potrzeba na wyrestaurowanie pokoi dla mojej mateczki. Ach, jak mnie boli głowa! Usiądę na fotelu i przewiążę skronie mokrą chustką.

Zaledwie proboszcz usadowił się na fotelu, kiedy wybiła godzina 10-ta. W kilka minut później zapukano do drzwi.

— Proszę! — zawołał proboszcz. To pani Blanchard, punktualna, jak zegarek. Bardzo panią przepraszam, że ją fatygowałem, ale obawiam się, że dzisiejszej nocy się przeziębiłem.

— Widzę to ku swemu zmartwieniu! — rzekła wchodząca, mała, nie młoda już kobieta, która wyglądała jed-

nak krzepko i zdrowo. Miłą, czerstwą jej twarz okalał, według starej mody, koronkowy czepek, a z obu stron wiły się dwa śnieżne loki. Zwróciła na księdza jasne, niebieskie oczy, w których malowała się ufność dziecięca, a w chwili obecnej matczyna prawie troska. Postawiła potem ręczny koszyk, nieodłączny w wędrówkach do chorych i biednych i na prośbę księdza usiadła na fotelu, który jej ten postawił koło stołu.

— Proszę nie odejmować chustki ze skroni — prosiła uprzejmie. Mówiono mi już, że ks. proboszcz chodził dzisiaj z sakramentami św. do zagrody na Montalto. Mój Boże, tak daleka droga w deszcz i zawieruchę. Byłoby lepiej nie odprawiać dzisiaj mszy świętej, tylko iść zaraz do łóżka. Proszę się na mnie nie gniewać, ale doprawdy ks. proboszcz grzeszy przeciw sobie, dowierza zanadto swoim młodym siłom, a winien się oszczędzać ze względu na parafian i na biednych!

— Położę się posłusznie do łóżka i wypiję herbatę, skoro tylko zakończymy nasz interes — odparł, śmiejąc się, kapłan.

— Interes — zawołała dama. To ma czas! Teraz ksiądz powinien mieć przede wszystkim spokój i niczym się nie przejmować.

— Właśnie dlatego, że chciałbym mieć spokój, poproszę panią, aby zabrała pani zaraz pieniądze — rzekł proboszcz. Załatwimy to przez pięć minut, a prawdę powiedziawszy, ta wielka suma sprawia mi kłopot. Prawie cały dzień jestem sam w tym pustym budynku i każdej chwili mogą mnie zawołać do chorego.

— Jeżeli o to chodzi, jeżeli to ma przynieść księdzu spokój, w każdej chwili jestem gotowa zabrać pieniądze. Proszę jednak aby ks. proboszcz nie fatygował się liczeniem, z pewnością wszystko zgadza się co do grosza.

Tymczasem ks. Montmoulin przyniósł chustkę i rozwiązał ją na stole. Mimo protestu zacnej damy, wyliczył jej całą sumę i zakończył prośbą, aby podpisała przygotowany kwit. Brzmiał on tak:

„Otrzymałam od ks. Montmoulin z kasy Zgromadzenia św. Józefa w dniu dzisiejszym sumę dwunastu tysięcy franków na budowę tutejszego szpitala, co niniejszym poświadczam. S-te Victoire, 20 lutego 1888 roku. Maria Blanchard”.

Kilku prędkimi energicznymi pociągnięciami umieściła pani Blanchard swój podpis na kwicie i oddając pióro kapłanowi, rzekła:

— Jak ksiądz dokładnie prowadzi interesy! Myślałby ktoś, że ksiądz uczył się u jakiegoś kupca.

— Jest w tym racja — odpowiedział. Mój nieboszczyk ojciec był kupcem. Zresztą, na najbliższym posiedzeniu komitetu muszę się wylegitymować czarno na białym, inaczej surowe damy zasądzą mnie na zwrot tej sumy i musiałbym z kijem żebraczym w ręku wędrować przez daleki świat, zanim bym tyle zebrał.

— Ale jak pani zabierze do domu te pieniądze?

— Nic prostszego. Ksiądz pożyczy mi chustkę w którą pieniądze są zawinięte, a ja włożę je zawiązane do kosza, który już niejedno ukrywał. Któż się domyśli, że dzisiaj zamiast płótna, pończoch lub chleba, niosę 12 tysięcy franków? A teraz do widzenia, drogi księże proboszczu, proszę zmówić jedno Zdrowaś za starą, nic nie wartą Blanchard, która nie raz się boi, że w każdej chwili może się zdarzyć, że trzeba będzie zdać rachunek ze swego życia.

— Tego nie powinna się pani obawiać! Wie pani, co mówi Zbawiciel:

„Chodźcie, błogosławieni Ojca mojego! Gdyż głodny byłem, a nakarmiliście mnie; pragnąłem, a napoiliście

mnie. Coście uczynili najmniejszemu z braci moich, toście mnie uczynili”.

— Tak powie Zbawiciel, kiedy do bramy niebieskiej zapuka stara, zacna pani Blanchard, ze swoim dużym koszem, który wart wtedy będzie więcej, niżeli 12.000 franków — odrzekł wzruszony proboszcz.

Pani Blanchard otarła łzę z oka i odrzekła:

— Dziękuję za to dobre słowo. — Jak piękna jest miłość chrześcijańska, która w biednym widzi współbrata w Chrystusie, samego nawet Chrystusa! Gdybym tak mogła uczynić dla biednych tysiąc razy więcej, dla mego Zbawiciela, który z miłości dla mnie zmarł na krzyżu za moje grzechy! Czy mogę prosić o błogosławieństwo?

Przyklękła i otrzymała błogosławieństwo.

— A teraz bądź zdrów, księże proboszczu! Nie, ani na krok nie wolno mnie odprowadzać. Dam sobie sama radę. Za żadne skarby! Proszę odmówić w to miejsce Zdrowaś Maria na moją intencję!

Nie chcąc się jej sprzeciwiać ks. Montmoulin zastosował się do jej prośby i nie odprowadził pani Blanchard, lecz odmówiwszy resztę brewiarza, położył się. Było mu dziwnie na sercu, głos jakiś wewnętrzny powtarzał:

— Módl się za nią.

Już chciał się ubrać i iść w jej ślady, odrzucił jednak tę myśl, tłumacząc ją podnieceniem wywołanym chorobą; nadaremnie jednak próbował zasnąć.

Tymczasem Loser spędził przedpołudnie w komórce koło zakrystii w coraz większym podnieceniu. Usłyszał dzwonek na Anioł Pański i wkrótce potem ujrzał proboszcza, wchodzącego do kościoła. Czy teraz odważyć się na przystąpienie do dzieła, kiedy matka proboszcza wstała już zapewne i otwarte były drzwi sypialni? Wydało się to niebezpieczne — ksiądz w każdej chwili

mógł wejść do domu. Przy tym nie wiedział dokładnie, gdzie były schowane pieniądze, musiałby ich długo szukać, zanim by znalazł. Chciał jednak wejść na górę, jak ksiądz będzie przy ołtarzu — prawdopodobnie i matka jego będzie w kościele, a stare spróchniałe drzwi nie stawią oporu, gdyby nawet były zamknięte; wystarczy na to silne kopnięcie nogą. Czekał więc Loser, aż proboszcz zacznie mszę świętą.

Już chciał iść, kiedy spojrzawszy przez szparę na krużganek, zobaczył idącą właśnie Zuzannę. Teraz miałby z dwiema kobietami do czynienia, a gdyby jedna z nich uciekła, byłby zgubiony. Jednak boso przekradł się, aż do drzwi oratorium; zobaczył tam klęczącą matkę proboszcza i nie odważył się przesunąć obok niej.

— Gdy krzyknie, usłyszą ją w kościele — pomyślał i z przekleństwem na ustach powrócił do ukrycia.

Czyż doprawdy nic nie będzie z jego planów? Czyż będzie musiał spędzić całe życie na zapadłej prowincji, na stanowisku zakrystiana? I to nawet było już niemożliwe, gdyż po opowiadaniu o wielkim spadku, nie mogło być mowy o tym, żeby pozostać w S-te Victoire. A wczoraj jeszcze uśmiechało mu się takie wesołe życie, gdyby tylko udało się uciec szczęśliwie do Ameryki z sumą, której wysokość znacznie przeceniał.

Msza skończyła się, ks. Montmoulin wszedł do mieszkania. Wkrótce ujrzał zakrystian matkę proboszcza, opuszczającą klasztor w towarzystwie Zuzanny.

— Teraz klecha jest sam — pomyślał — inny byłby się z nim prędko załatwił. Ale ty, Arturze Loser jesteś tchórzem! Wierzysz, że za śmiercią wszystko się kończy, siebie i swoich współbraci uważasz tylko za nieco wyżej stojący gatunek zwierząt, a nie masz tej odwagi, żeby wyciągnąć korzyści z dostosowania się do tej nowoczesnej nauki. A na wojnie — to nie wahałeś się zastrzelić z bezpiecznego ukrycia kilku żołnierzy nie-

boraków — to był ostatecznie prosty mord. Ale zabić proboszcza, który wyświadczył ci kilka marnych „dobrodziejstw"', tego nie śmiesz zrobić!

Starał się obudzić w sobie gniew i kilkakrotnie chwytał butelkę z koniakiem, którą wypróżnił wreszcie, rzucając przekleństwo. Miał już biec na górę i w małej kuchence oczekiwać na stosowny moment. Wtedy ujrzał — wybiła właśnie godzina 10-ta — jak szła pani Blanchard ze swoim koszykiem przez krużganek.

— Ona zabierze pieniądze! — przeszło mu przez głowę. Albo teraz, albo nigdy!

Spoglądając, jak drapieżny zwierz, schwycił Loser nóż i wybiegł na kręcone schody. Wszedł na korytarz w chwili, kiedy pani Blanchard znikała w drzwiach mieszkania proboszcza. W minutę później był już pod tymi drzwiami, podsłuchując.

— Tak, tak, proboszcz jest cierpiący, tym lepiej! — pomyślał. Aha, teraz przystępują do interesu!

Przyklęknąwszy, spoglądał przez dziurkę od klucza i widział banknoty, oraz błyszczące złoto.

— Tylko 12.000 franków — a ja myślałem, że więcej; w każdym razie tyle, że warte jest kilku kropli krwi tej starej baby. Tak, każ się błogosławić! Teraz!

Wsunął się szybko w ciemny kąt w pobliżu schodów i trzymał nóż, gotowy do ciosu. Jednakże pani Blanchard nie zwróciła się ku głównym schodom, tylko skręciła ku oratorium, gdzie chciała pomodlić się chwilkę przed Najświętszym Sakramentem.

— Tym lepiej! — mruczał Loser — to mi sprawę ułatwi. Obierze drogę na krużganek przez kręcone schody, a tam mogę załatwić sprawę bez niebezpieczeństwa.

Loser szedł na palcach w ślad za nie przeczuwającą nic kobietą.

W dawnych czasach oratorium służyło zakonnicom

jako chór i oddzielone było od kościoła tylko wysoką drewnianą kratą. Przed tą kratą uklękła pani Blanchard i modliła się w skupieniu.

— Można by prawie wziąć jej ten koszyk — myślał Loser — ale na co by się to zdało? Nie mogę uciekać z pieniędzmi za dnia, a gdybym pozwolił jej ujść; to odnaleźliby mnie przed nocą. Bądźże nareszcie mężczyzną, Arturze Loser!

Teraz pani Blanchard podniosła się po dziesięciominutowej pobożnej modlitwie, przeżegnała i skierowała ku znanym sobie kręconym schodom. Jedną ręką uchwyciła linę, która zastępowała poręcz schodów i schodziła ostrożnie w ciemności na dół.

— Czy ktoś idzie za mną? — zapytała, gdyż usłyszała nagle kroki Losera, który szedł w jej ślady.

— Musiałam się omylić; szkoda, że obrałam tę drogę, nie wiem, czemu tak się boję. Odwagi, Bóg jest ze mną — wyrzekła głośno i postąpiła znów dwa kroki dalej. Doszła do miejsca, skąd wejść można było do komórki i nagle została schwycona za gardło. Równocześnie Loser kopnięciem nogi otworzył drzwi, które były tylko przymknięte, wepchnął swą ofiarę do komórki i wbił jej nóż w piersi. Pani Blanchard runęła na ziemię, wydając przytłumiony okrzyk. Upłynęła dłuższa chwila, nim morderca odjął rękę od szyi ofiary i powstał na nogi.

Teraz, kiedy spełnił już swój straszny postępek, ominęła Losera zaciekłość, znikło odurzenie, wywołane alkoholem i objął go paniczny strach. Nie odważył się spojrzeć na zmarłą, z odwróconą twarzą chwycił koniec całunu i zarzucił na nią; wziął potem koszyk i chciał uciekać z krwawym łupem. Ale gdzie? Ucieczka w biały dzień byłoby szaleństwem. Nie powinien go widzieć nikt z mieszkańców S-te Victoire. Musi poczekać do

nocy, a nie ma bezpieczniejszego miejsca, jak to, w którym się znajduje. Ale tu, obok trupa?

— E, przecież nie będziesz się lękał umarłej! — próbował dodać sobie odwagi. Nie wierzysz przecież ani w nieśmiertelność duszy, ani w przyszłe życie!

Loser przysiadł w najbardziej oddalonym kącie komórki i postawił przed sobą koszyk z pieniędzmi. Dopiero teraz zauważył, że trzyma jeszcze w ręku krwawy nóż. Wzdrygnąwszy się, morderca otarł nóż w chustkę, w którą zawinięte były pieniądze i wrzucił go do kosza. Teraz rozwiązał chustkę i chciał nacieszyć oczy widokiem pieniędzy, nie udało mu się jednak pokonać strachu. Oko jego mimo woli zwracało się ciągle w stronę całunu, pod którym rysowały się wyraźnie kontury ciała. Strumyk krwi przeciekał stamtąd i płynął zwolna przez komórkę; właśnie w jego stronę. Dlaczego właśnie tam? Strach Losera rósł w miarę, jak zbliżał się ów strumyk krwi. Natrafiał na szparę w podłodze, zatrzymał się na krok od niego i przesączał powoli na leżące pod deskami fundamenty. Było tak cicho, że liczyć można było pojedyncze uderzenia i wydawało mu się jak by ton wolno spadających kropli uderzał niby palcem w jego strachem tętniące skronie.

— Wolałbym, żeby to się nie stało — westchnął. A co do przyszłego życia, to nie jest ono tak we wszystkim zmyślone, żeby było tylko wynikiem zabobonu, jak twierdzi nowoczesna nauka. Wprawdzie wmawiałem w siebie, że dawno już odrzuciłem wiarę w te rzeczy, ale jeśli mam być szczery, to wyznać muszę, że w gruncie serca właściwie zawsze w to wierzyłem. I jeżeli naprawdę jest kara wieczna!...

Myśl ta w obecności ofiary formalnie wstrząsnęła mordercą. Żałował swego czynu, ale tylko z obawy i strachu, który dochodził prawie do szaleństwa. Kiedy nareszcie ten straszny dzień chylił się ku końcowi

i nadchodził zmrok, powziął postanowienie zrzucenia z siebie nieznośnego ciężaru wyrzutów sumienia za pomocą natychmiastowej spowiedzi. Wczorajsze kazanie o tajemnicy spowiedzi dodało mu odwagi, aby ze samooskarżeniem zwrócić się do księdza Montmoulin.

— On mnie nie zdradzi — mówił sobie. Nie wolno mu tego uczynić; sam powiedział, że raczej umrzeć powinien, a ja mu wierzę; on mówił to z przekonania.

Loser nie spowiadał się już przeszło 20 lat. Aby więc dobrze się przygotować, potrzeba mu było oprócz pokornej modlitwy o pomoc Boską, rzetelnego zbadania sumienia z całego tego długiego okresu życia i wzbudzenia szczerego żalu pochodzącego z nadnaturalnych pobudek, w połączeniu z gorącą chęcią zadośćuczynienia za swe grzechy. Loser nie modlił się i nie badał więcej sumienia; w myśli miał tylko dzisiejszy krwawy czyn, który przeważał dotychczasowe winy. Myślał, że jeżeli ten jeden ciężar z duszy zdejmie, to wszystko inne mało go będzie obchodzić. Nie było też mowy o szczerym żalu za grzechy; do pokoju ks. Montmoulin gnał go marny, przerażający strach.

Istotnie, gdy zrobiło się dostatecznie ciemno, wziął w jedną rękę obuwie, w drugą koszyk z pieniędzmi i opuścił komórkę, rzucając ostatnie przerażone spojrzenie na całun, na który słaby promień światła z wieczystej lampy wiszącej w kościele rzucał niepewne blaski. O mało nie krzyknął głośno, gdy przy owym drżącym świetle wydało mu się, że porusza się postać, leżąca pod całunem. Prędko nacisnął klamkę przy drzwiach i wbiegł po schodach na górę. Wszędzie w ciemnościach widział unoszące się dookoła siebie oczy zmarłej z tym wyrazem przerażenia, jaki miały wówczas, gdy popełniał morderstwo. Zimny pot okrywał czoło zbrodniarza, kiedy nareszcie pukał do drzwi proboszcza.

Ks. Montmoulin spędził w łóżku całe popołudnie i nie czuł się jeszcze dobrze. Wstał jednak przed wieczorem, aby odmówić brewiarz. Stan zdrowia mógł go od tego obowiązku zwolnić, jednak nie chciał z tego korzystać. Siedział więc przy lampie i czytał właśnie ów piękny 90-ty psalm o ufności w Bogu i opiece Jego świętych aniołów w każdym nieszczęściu i niebezpieczeństwie, kiedy zapukano do drzwi.

Sądził, że to Zuzanna przyszła, by się raz jeszcze dowiedzieć o jego zdrowiu, toteż zawołał:

— Proszę — i nie odrywając oczu od brewiarza, dodał, gdy ten ktoś wszedł:

— Zaraz, Zuzanno, skończę za dwie minuty.

Jakże się jednak proboszcz zdziwił, kiedy zamykając brewiarz zobaczył stojącego u drzwi Losera! Nie dowierzał własnym oczom i uniósł w górę zieloną zasłonę lampy, aby lepiej mu się przyjrzeć.

— Loser, czy to ty? — zapytał i dodał zaraz, przyjrzawszy się przeraźliwie bladej twarzy zakrystiana, który ocierając czoło ze śmiertelnego potu podszedł bliżej lampy:

— Na miłość Boską, Loser, co się stało? Zdarzyło się wam nieszczęście?

— Tak, ks. proboszczu, zdarzyło mi się coś — albo raczej komuś innemu — a ja — ja chciałbym się wyspowiadać.

Można sobie wyobrazić zdziwienie proboszcza, który wiedział o tym, że ten człowiek nie był całe lata u spowiedzi. Rzucił badawczym, poważnym wzrokiem na Losera, który ten zrozumiał i odrzekł:

— Księże proboszczu, jestem zupełnie trzeźwy. Istotnie zdarzyło mi się coś, coś strasznego — i wtedy pomyślałem o wczorajszym kazaniu i chcę się wyspowiadać u księdza. Przedtem jednak jedno pytanie: może się zdarzyć, że spowiednik nie mógłby lub nie zechciał-

by dać rozgrzeszenia spowiadającemu się — czy i w tym wypadku obowiązuje tajemnica spowiedzi?

— Bezwarunkowo — odpowiedział proboszcz.

— Dobrze, proszę wysłuchać mojej spowiedzi.

— Z wielką chęcią. Przygotowaliście się do tego aktu?

— Całe popołudnie o niczym innym nie myślałem — rzekł Loser.

— To przyklęknijcie. Wprawdzie nie jestem dzisiaj zupełnie zdrowy, ale radość pogodzenia się z Bogiem duszy, na którą już od tak dawna czekam, pomoże mi lepiej, niż lekarstwo. Pomódlmy się wpierw do Ducha Świętego, aby nas oświecił i do Matki Bożej, ucieczki grzeszników.

— Czy nie mógłby ks. proboszcz wysłuchać mej spowiedzi w swoim sypialnym pokoju? — mówił Loser, spoglądając bojaźliwie na drzwi. Nikt nie powinien mnie widzieć — czy ksiądz nie powie nikomu, że byłem u niego i spowiadałem się?

— Z pewnością nie powiem. W pewnych warunkach mogłoby to już nawet być naruszeniem tajemnicy spowiedzi.

Z tymi słowami zaprowadził ks. Montmoulin gościa, którego zachowanie wydawało mu się coraz bardziej zagadkowe, do swej sypialni, postawił lampę na nocnym stoliku i zamknął drzwi. Pomodlił się gorąco do Ducha Świętego o światło i pomoc, gdyż przeczuwał, że czeka go ciężkie zadanie. Włożył potem stułę i usiadł obok Losera, który drżąc ze wzruszenia klęczał na małym podnóżku.

— Odwagi, przyjacielu! rzekł mu — choćby nawet grzechy twoje były czerwone jako szkarłat.

— Czerwone?! Kto to księdzu powiedział? — wzdrygnął się Loser. Tak, czerwone są niby krew! Muszę to powiedzieć, inaczej nie będę miał spokoju. Tak, przelałem krew i woła ona o pomstę do nieba. Dzisiaj, tu!

Pani Blanchard leży na dole w komórce obok zakrystii — ja ją zamordowałem! Ha, jak mi pali duszę jej krew! Księże, zdejmij ze mnie tę winę, powiedziałem ci już wszystko!

Łatwo się domyśleć jak przeraziło księdza Montmoulin to wyznanie, wymuszone szalonym strachem. Musiał najpierw pokrzepić się modlitwą, zanim zdołał odrzec zbrodniarzowi choćby jedno słowo.

— Najświętsza Panno, wzdychał. Dopomóż mi Swoim wstawiennictwem. Starał się potem uspokoić nieco penitenta. Powiedział mu, że wprawdzie czyn jego był straszny, ale i grzech zabójstwa może być wybaczony, jeżeli wyznany jest ze szczerą skruchą. Krew, którą Zbawiciel wylał za nas na krzyżu, posiada taką moc, że nawet i cięższe jeszcze gładzi przestępstwa. Czy nie przypominasz sobie, jak to Zbawiciel, wiszący na krzyżu przebaczył wszystko jednemu z łotrów, a był on jednak zabójcą i prawdopodobnie napadał na niewinnych.

Starając się w ten sposób pocieszyć penitenta, rzekł mu jeszcze, żeby uzupełnił swą spowiedź; że powinien wypowiedzieć i inne ciężkie grzechy, popełnione od ostatniej ważnej spowiedzi o ile możności z podaniem liczby i okoliczności.

Na to Loser odpowiedział niecierpliwie, że upłynęło już 20 lat od jego ostatniej spowiedzi. Jakże więc można wymagać od niego, aby spowiadał się ze wszystkich przez ten czas popełnionych grzechów?

— Bóg nie wymaga niemożliwego! — odpowiedział kapłan. — Bóg zadowala się wyznaniem grzechów, które przypomniały się po dokładnym zbadaniu sumienia i chętnie dopomoże sam swymi pytaniami penitentowi.

Loser odrzekł, że nie zastanawiał się nad swym minionym życiem, że myślał tylko o zbrodni, którą dzi-

siaj popełnił i której żałuje. Niech mu więc kapłan powie krótko, czy może go z tego rozgrzeszyć, czy nie, gdyż on nie ma czasu do stracenia i właściwie powinien już być za górami.

Ku swemu ciężkiemu strapieniu poznał teraz proboszcz, że penitent nie znajduje się bynajmniej w takim usposobieniu duszy, które potrzebne jest, aby mógł otrzymać rozgrzeszenie. Próbował go jeszcze pouczyć i zaklinał na wszystkie świętości, aby pomyślał o swej biednej duszy i wyspowiadał się do końca. On mu pomoże przy badaniu sumienia i z pewnością udzieli rozgrzeszenia, skoro tylko będą wypełnione warunki i penitent nie tylko za tę zbrodnię, ale i za inne ciężkie grzechy szczerze żałować będzie i okaże skruchę i chęć zadośćuczynienia.

Loser wybuchnął:

— Pojutrze muszę już znajdować się na morzu! Byłem głupcem, że tu przyszedłem. I to zadośćuczynienie — co tu może być za zadośćuczynienie? Przecież nie mogę wskrzesić umarłej!

— Niestety, nie! — rzekł proboszcz. Zrozumiałem jednak, że zabiłeś tę biedną panią Blanchard, dlatego, aby posiąść pieniądze, które miała przy sobie. Oczywiście musisz je zwrócić zgromadzeniu, które chce za nie zbudować szpital. I jeszcze jedno.

— Oho, mam oddać pieniądze? I jeszcze?

— I jeszcze, jest możliwe, że ktoś niewinny mógłby być uwięziony i osądzony jako zabójca tej biednej kobiety. W tym wypadku jest twoim obowiązkiem dać sędziom wyjaśnienie o pomyłce.

— Dość! — zawołał Loser, zrywając się na nogi. Mam oddać pieniądze i w dodatku jeszcze sam oddać się w ręce sądu! Co za głupiec ze mnie! Najrozsądniej byłoby i ciebie księże na miejscu zadusić. Kto tam wie, jakie jeszcze furteczki ma ta wasza tajemnica

spowiedzi! Ale ja już nie mam na to dość odwagi.

To mówiąc skoczył ze strasznym przekleństwem do drzwi, otworzył je i znikł w ciemnościach korytarza. Zapalił światło w małej kuchence, gdzie ukrył kosz. Nóż i pokrwawioną chustkę wsunął pod kuchenną szafę, włożył paczkę banknotów do kieszeni na piersiach, złoto i srebro w inne kieszenie i przez pawilon Magdaleny podążył ku bocznym schodom, którymi przez dużą starą kuchnię na parterze dostał się do ogrodu. Ominął wieś, zakreślając łuk, dostał się na szosę ku Marsylii i biegł całą noc. Z brzaskiem dnia zaszył się w jakieś krzaki u podnóża wzgórz S-te Baume i następnej nocy stanął w Marsylii, gdzie udało mu się wsiąść na okręt odpływający właśnie do Montevideo.

ROZDZIAŁ VI
Pod „Złotą Różą”.

Pani Blanchard mieszkała u swego brata, pisarza gminnego. Prowadziła ona jednak osobne gospodarstwo z jedną biedną dziewczyną, którą wzięła do siebie kierując się uczuciem miłosierdzia, żyła w kilku bardzo małych pokoikach na piętrze, a nieliczna rodzina jej brata zamieszkiwała parter. Stosunek pomiędzy tymi dwoma domami nie był zbyt serdeczny. Pan pisarz gminny nie należał do „kleryków” i nazywał „bigotką” swoją pobożną siostrę, która ośmieliła się napomnieć go, aby spełniał swoje religijne obowiązki. Jeszcze bardziej, miał jej za złe wielką dobroczynność względem ubogich i chorych. Był on zdania, że w ten sposób okrada właściwie jego samego i dzieci z oczekiwanego spadku. Całkiem nawet na serio dyskutował ze swoim przełożonym i zarazem politycznym przyja-

cielem, merem, czy prawo nie pozwoliłoby na to, aby ubezwłasnowolnić tę rozrzutnicę, której głupia dobroć wyzyskiwana jest haniebnie przez klechę. Niestety nie dałoby się przeprowadzić tego, o ile nie zachodziły cięższe wybryki i na razie „bigotka" mogła tak jak dawniej chodzić ze swoim koszem do biednych i chorych i wydawać im jałmużnę mniej więcej wynoszącą tyle, ile wydatki, na jakie pan burmistrz i pan pisarz gminy pozwalali sobie codziennie w oberży pod „Złotą Różą" u pana Corillou.

Wieczorem 20 lutego siedzieli także obaj z kilku innymi stałymi gośćmi o tych samych, co i oni przekonaniach, w oberży pod „Złotą Różą" przy butelce wina. Politykowano i narzekano na kler i jego wzrastający wpływ. Hasło Gambetty: „klerykalizm, to wróg" było ich hasłem.

— I zobaczycie — mówił mer, uderzając pięścią w stół — że przy najbliższych wyborach ci panowie przeforsują swego kandydata! Oni są bardzo mądrzy, znaczenie ich wzrasta, a pozorami dobroczynności przeciągają na swoją stronę klasy pracujące i proletariat. I u nas będą oni mieli za sobą znaczną większość. Szpital, który chcą tutaj zbudować dla sióstr jest w ich ręku niezłym atutem, a ten ks. Montmoulin, przysłany przez nich na proboszcza, nie jest wcale tak ograniczony, jak na to wygląda.

— Rząd powinien zakazać tej budowy i w ogóle odebrać klerowi prawo zajmowania się ubogimi i chorymi, a przede wszystkim zakonnicom, które są ich sprzysiężoną, posiłkową armią — mówił pisarz gminny.

— To przyjdzie z czasem — odparł mer. Nie można robić wszystkiego od razu! Gdybyśmy teraz, przed samymi wyborami robili trudności z budową szpitala, to popełnilibyśmy gruby błąd taktyczny.

— Trzeba by znowu podać do gazet jakąś skandaliczną historię o księdzu — podał myśl pan Corillou.

— Ach, te stare nie działają już — mówił mer. Przy tym ci ludzie nie czytają naszych gazet, a klerykałowie są zanadto mądrzy, żeby się dali tak łatwo obałamucić. Tak, żebyśmy mieli do dyspozycji jakąś nową treściwą historyjkę naszych czasów, taką, żeby można pokazać palcem na któregoś z duchownych i powiedzieć ludowi: Patrzcie, tacy są księża! Ale mają się na baczności, przynajmniej ja nie znam z nowszych czasów żadnej skandalicznej historii o nich.

— Hm, można by wymyślić jaką małą, ładną historyjkę — mówił pisarz — puszczając z wolna kłąb dymu z cygara.

— Według starej recepty: — Oczerniaj śmiało, zawsze coś z tego zostanie — zauważył notariusz. — Szkoda tylko, że tego rodzaju broń szkodzi zazwyczaj więcej napastnikowi, aniżeli atakowanemu.

— To prawda — potwierdził doktor, jegomość o dużej tuszy i dobrodusznym wyrazie twarzy, biorąc ze złotej tabakierki szczyptę tabaki. — Ja wolałbym zresztą, aby partia nasza prowadziła walkę w bardziej honorowy sposób, niż jej się to często zdarza. Co dotyczy upaństwowienia pielęgnacji chorych ze świeckimi pielęgniarkami zamiast zakonnic, stanowczo jestem temu przeciwny. Zdobyłem pod tym względem doświadczenie jako młody lekarz-asystent we Włoszech i w ostatniej wojnie. Tak, dopóki świeckie pielęgniarki mają się opiekować młodym przystojnym, lekko rannym oficerem, to wszystko bardzo ładnie. Ale wprowadźcie do lazaretu chorych na ospę albo cholerę, to zobaczycie, jak daleko sięga to bohaterstwo. Nie, nie, muszę pochwalić siostry; stały one ostro tak wobec kul jak i zarazy i można im zaufać; nie kradną i pracują za darmo, gdy tymczasem państwo musi wyna-

gradzać sowicie świeckie pielęgniarki za ich lenistwo, choć są też i między nimi zacne wyjątki. Od podobnych prób wolę trzymać się z daleka!

Po tej długiej przemowie pan doktor odchrząknął, wypróżnił swoją szklankę i chciał wstać. Mer przytrzymał go jednak za ramię i rzekł:

— Po tej wypowiedzi musi doktor wypić z nami jeszcze jedną butelkę za pomyślny wynik przyszłych wyborów. Zagramy o to partię domina. Prędko, panie gospodarzu, każ pan podać stolik i kostki domina!

— Mniejsza o to — odrzekł doktor — ale tylko jedną partię! — Zbliża się już godzina 10-ta, a ja muszę być jeszcze u żony wyrobnika Lecomta.

Pan Corillou przysunął pod wiszącą lampę zielony stolik i zasiedli do gry. Suchy notariusz był partnerem korputentnego doktora, a pisarz gminny miał zaszczyt grać ze swym przełożonym. Szczęście stanowczo sprzyjało doktorowi i był w doskonałym humorze, gdy przeciwnie pan mer wyładowywał swoje niezadowolenie na pisarzu, który musiał przełknąć niezbyt pochlebne uwagi o swojej grze.

— Jak stoi partia? — zapytał przekomarzając się doktor.

— To pan wie dobrze — odpowiedział gniewnie mer; — 86 do 0 dzięki wspaniałej grze tego nosorożca — pardon! Miałem na myśli mądrego pana pisarza.

— Ha, ha, ha — niech pan tedy uważa, panie notariuszu! Załatwimy dziś tych panów, jak się patrzy! — zawołał z triumfem doktor.

W tej chwili wywołano pana Corillou, który stał za doktorem, zacierając ręce i ten powrócił wkrótce z wiadomością, że przyszła dziewczyna pani Blanchard i chce pomówić z panem pisarzem, gdyż zdaje się, że w jego domu stało się coś złego.

— Nie przeszkadzać podczas gry! — marudził doktor.

Ale mer zadowolony, że znalazł pretekst do uniknięcia pewnej przegranej położył swoje kostki i rzekł: może pani Blanchard stało się coś złego.

— Ach, dewotce nie stanie się nic złego, dopóki tej bandzie żebraczej nie odda wszystkiego aż do ostatniego szeląga — powiedział gniewnie pisarz i rzucił również na stół swoje kostki. — Niech wejdzie Joanna.

— Zatrzymać kostki! Skończymy w jednej minucie! — wołał doktor marszcząc czoło; gdy jednak ujrzał wchodzące z zapłakanymi oczyma dziewczę, rzucił i on swoje kostki i zapytał:

— No i cóż Joasiu, co się stało? Czy może twoja pani stąpnęła nieszczęśliwie na tych waszych stromych schodach? Czy jestem potrzebny? Czy żyje, czy umarła?

— Nie wiem — biadało biedne stworzenie i starało się osuszyć końcem fartucha nowy potok łez. — Napewno zamordowano ją, stara Zuzanna twierdzi to samo.

Nowe łkanie stłumiło jej słowa.

— Morderstwo w mojej gminie — mówił mer niedowierzająco — skąd ty wpadłaś na taką myśl?

Trwało dłuższą chwilę, zanim Joasia zdołała zdobyć się na odpowiedź że pani jej już przed południem poszła do ks. proboszcza, do klasztoru i od tego czasu nie widziano jej choć miała powrócić na obiad.

Ach, usłyszała pewnie od księdza o jakimś chorym i biega ze swoim koszykiem — Bóg wie gdzie — po górach — rzekł gniewnie pisarz.

Nie, nie — mówiła łkając Joanna — miała odebrać od proboszcza wiele pieniędzy i zaraz wrócić.

Wiele pieniędzy? — zawołali wszyscy, robiąc wielkie oczy.

— Tak, wiele pieniędzy, które zebrało Zgromadzenie św. Józefa na budowę szpitala. Wiele tysięcy franków!

— Ha! — zawołał mer podskakując na swoim krześle. — I teraz dopiero przychodzisz nam to powiedzieć?

— Ach, panie burmistrzu — narzekało biedne stworzenie — chciałam zapytać o radę pani pisarzowej, ale zamknęła mi drzwi przed nosem i powiedziała jak zwykle, że nie chce mieć z żebractwem nic do czynienia. I bałam się też wychodzić, jak było ciemno, ale poszłam jednakże do starej Zuzanny i ona powiedziała mi, że widziała panią Blanchard idącą o 10-ej do klasztoru, ale potem już jej nie widziała. Prosiłam Zuzannę żeby poszła ze mną do proboszcza, bo sama za nic w świecie nie odważyłabym się iść do klasztoru, gdyż ludzie mówią, że tam straszy. Ale Zuzanna nie chciała i mówiła, że proboszcz chory i nie pozwolił nawet przynieść sobie kolacji. Nie powinno mu się przeszkadzać dzisiaj wieczorem.

— Zobaczymy, czy nie wolno przeszkodzić temu panu! — zawołał mer, podkręcając wąsa do góry. — Moi panowie, trzeba wyjaśnić tę sprawę i to zaraz; zagadkowym jest zniknięcie tej kobiety, mającej odebrać od proboszcza dużą sumę pieniędzy! Pan, panie pisarzu, musisz iść zaraz do księdza i dowiedzieć się, gdzie jest siostra. Jeśli odpowiedź nie wypadnie zadowalająco, to musimy urządzić przesłuchanie i przetrząsnąć dom: Pan notariusz będzie łaskaw iść też wraz ze mną do klasztoru; zaczekamy przed pokojem proboszcza, aby być pod ręką, jeśli pan pisarz nie będzie zadowolony z wyniku rozmowy. Czy nie pójdzie pan z nami, panie doktorze?

— W obecnej chwili nie widzę żadnej potrzeby — rzekł doktor i kazał sobie podać płaszcz. — Idę teraz

do Lecomta, a stamtąd do domu, skąd będzie można mnie wezwać, jeśli zajdzie tego potrzeba. Ale zapewne nie będzie i radziłbym panom, aby się nie ośmieszali robieniem, choć może w chwalebnym zamiarze, wyborczej propagandy. Któż za zniknięcie tej poczciwej damy — jeśli istotnie zniknęła — odpowiedzialnym może czynić proboszcza?

— Nie można tutaj mówić o propagandzie wyborczej, kiedy urząd nakłada na nas obowiązek, aby bezzwłocznie i z energią śledzić za przypuszczalnym morderstwem? — zawołał mer z patosem.

— Życzę powodzenia! — śmiał się doktor, żegnając się z obecnymi. — Weźcie nawet żandarma i strażnika i każcie zakrystianowi bić w wielki dzwon — to zrobi wrażenie.

— Niepoprawny żartowniś! — mówił gniewnie mer.

— Zresztą na wszelki wypadek możemy wziąć i żandarma, a zakrystian...

— Zakrystian, panie burmistrzu, pojechał wczoraj po południu do Marsylii i nie wrócił jeszcze. Zostawił u mnie klucz od mieszkania. Żandarm siedzi w drugim pokoju przy szklance piołunówki — objaśnił oberżysta.

— Weź pan klucz od mieszkania zakrystiana ze sobą i zawołaj żandarma. Pójdziemy wszyscy razem do klasztoru.

ROZDZIAŁ VII
Wizyta mera.

Milcząc szli trzej panowie ku klasztorowi, za nimi postępowali Corillou i żandarm z latarniami. Gdy weszli na dziedziniec klasztorny, ujrzeli światło w oknach proboszcza.

— Ej, ksiądz proboszcz nie śpi jeszcze o tak późnej

godzinie — rzekł mer — czyż to nie dziwne, skoro nie chciał, by mu przeszkadzano z przyczyny choroby?

— A patrzcie panowie, jak się przechadza niespokojnie po pokoju? Raz widać jego cień na oknie, to znowu znika! — zauważył notariusz.

— Hm, hm, wygląda to tak, jakby był w wielkim podnieceniu. Czyżby stara Zuzanna poszła mu jednak powiedzieć o zniknięciu pani Blanchard? — mówił mer.

— Nie sądzę. Nie odważyłaby się iść do tak ponurego domu o późnej godzinie w nocy — jest już po jedenastej — odezwał się Corillou.

— A więc naprzód! Jak wejdziemy do środka? Czy trzeba zadzwonić? Wolałbym, abyśmy zaszli niespodziewanie proboszcza — rzekł mer.

— O, ja mam przecież klucze Losera! — odparł Corillou i bez żadnej trudności otworzył furtkę.

*

*   *

Kiedy Loser opuścił ks. Montmoulin po niedokończonej spowiedzi, ten przez dłuższą chwilę nie mógł opanować swego wzruszenia. Pani Blanchard zamordowana. Ciało jej leży w komórce obok zakrystii! Zbrodniarz ucieka ze swym łupem, a on nie może i nie wolno mu w tym przeszkodzić! Nie wolno mu uczynić użytku z wiadomości, otrzymanej na spowiedzi. Ale czy to była naprawdę spowiedź? Nie mógł mieć co do tego wątpliwości. Człowiek ów nie spełniał co prawda koniecznych wymogów do tego aktu, miał jednakże chęć spowiadania się, wyznał mu tę zbrodnię jako zastępcy Chrystusa. Ks. Montmoulin wziął do ręki teologię moralną i przeczytał odnośny ustęp o tajemnicy spowiedzi. Miał on ten dobry zwyczaj, że nawet wtedy, gdy był pewien swojego zdania, dla własnego uspokojenia czytał opinie wytrawnych teologów. Sprawa była jasna. Miał obo-

wiązek dochowania tajemnicy spowiedzi, choćby musiał ponosić wszystkie tego skutki.

— Mój Boże — mówił do siebie — w końcu jeszcze i mnie wezmą za sprawcę tej zbrodni! — Ale nie! Nie ześlesz na mnie, Panie, tego doświadczenia! Chyba żaden człowiek nie uwierzy, żebym był zdolny do takiego czynu! A jednak gdyby się tak stało, i wtedy nie wolno mi nic mówić i muszę raczej narazić swój honor, życie oddać nawet, jak to sam wczoraj na kazaniu mówiłem. O Boże, odwrócić ode mnie ten kielich goryczy! Nie proszę o to dla siebie, chociaż przyznaję otwarcie, że gorycz ofiary wydaje mi się straszna.

— Proszę o to z przyczyny mej biednej starej matki, którą mógłby zabić taki cios; dla gminy, dla Kościoła katolickiego, który przeze mnie poniósłby ciężką szkodę i hańbę ze względu na tyle chwiejnych dusz, które zgorszyłyby się kapłanem obwinionym o morderstwo! Ale nie — to niemożliwe, to tylko mój strach i wzruszenie malują mi teraz straszliwe obrazy. Niech Matka Boska łaską swą uchroni mnie od tego!

Ks. Montmoulin przykląkł przy tej modlitwie na swym klęczniku i wzniósł błagalnie ręce ku Ukrzyżowanemu i Jego Matce Bolesnej. Wziął potem różaniec i długi czas modlił się, chodząc po pokoju.

Stopniowo odzyskał nieszczęśliwy kapłan spokój. Myśl, która nawiedziła go w pierwszej chwili, że na niego spadnie podejrzenie krwawego czynu, wydała mu się teraz nieprawdopodobna.

— Ani mer, ani jego polityczni stronnicy nie odważą się jednak na to — myślał. — Nie oszczędzą mi z pewnością różnych możliwych przykrości, przesłuchań, wezwań przed sąd, w końcu może nawet przeszukają dom. Złożą też może na mnie odpowiedzialność za stratę tej sumy i oczerniać mnie będą po gazetach, jako nieprzezornego zarządcę pieniędzy ubogich. Przed

samymi wyborami będzie im to bardzo na rękę. Muszę być na wszystko przygotowany. Bogu dzięki, że nie mam sobie nic do wyrzucenia! Teraz jednak położę się i spróbuję zasnąć. Muszę mieć jutro głowę na karku, gdy zbrodnia się wykryje i zaczną poszukiwania.

Ksiądz Montmoulin chciał właśnie iść do sypialni, zdawszy się opiece Boskiej, kiedy usłyszał kroki czyjeś na korytarzu i wkrótce potem pukanie do drzwi. Na jego zaproszenie wszedł pisarz gminny, a za nim notariusz i burmistrz. Zmienili oni pierwotny zamiar, gdyż ciekawi byli zobaczyć, jakie na znienawidzonym przez nich proboszczu uczyni wrażenie to niespodziewane ich najście. Chociaż nie mieli najmniejszej pewności, aby proboszcz miał na serio jakiś związek ze zbrodnią, o ile takowa zaszła, zdecydowali się jednak zaraz uczynić mu jak najwięcej nieprzyjemności.

— Czy się wystraszy, czy nie, jedno i drugie może być pretekstem do przesłuchania go i rewizji mieszkania — twierdzili.

Ks. Montmoulin nie przestraszył się jednak, przynajmniej nie okazał tego po sobie, że zaskoczyła go niespodziewanie wizyta trzech panów. Wydawało się raczej, że czekał na nią; mimowolne drżenie ust zdradzało więcej ból, niż zdziwienie. Rzucił tylko na krucyfiks szybkie, błagalne spojrzenie, jakby prosić chciał o pomoc w godzinie próby. Kapłan nie umiał dobrze udawać zdziwionego; bolesne przeżycie, malujące się na jego obliczu, od razu zauważyli przybysze.

— Wydaje się, że nasza nieoczekiwana wizyta nie zdziwiła zbytnio proboszcza — zaczął mer. — Ksiądz zdaje się wiedzieć, co za przykry obowiązek zmusił nas niepokoić go o tej porze.

Przemowa ta zmieszała biednego kapłana. Nie po-

winien był zdradzić po sobie, że wiedział o morderstwie, zachowaniem swym mimowoli to okazał. Przestraszony zbladł i wyjąkał:

— Doprawdy nie wiem nic — zdziwiony jestem, że widzę panów u siebie. Czym mogę służyć?

Pisarz chciał pytać o siostrę, ale powstrzymał go mer i rzekł;

— Chwileczkę!

Potem zwróciwszy się do proboszcza, mówił dalej:

— Hm, zatem ksiądz nie ma pojęcia o tym, po co przyszliśmy? A jednak nie wydawał się proboszcz zdziwiony naszymi nieoczekiwanymi odwiedzinami, gdy wchodziliśmy do pokoju! Ja przynajmniej odniosłem takie wrażenie — a panowie, panie notariuszu i panie pisarzu?

Obaj poświadczyli, że takie samo odnieśli wrażenie.

— Hm! jeszcze jedno pytanie: powiedziano nam, że proboszcz jest chory i że przykazałeś swej służącej, aby nie zakłócała mu spokoju dziś wieczorem. Dlaczego więc o tak późnej godzinie — jest już godzina 11-ta — ksiądz nie śpi jeszcze i jest nawet ubrany?

— Całe popołudnie leżałem w łóżku i nie mogłem teraz spać — odpowiedział proboszcz, który odzyskał tymczasem spokój. — Do czego zresztą prowadzą te pytania? Wydaje się że próbuje się mnie przesłuchiwać !

Trzej panowie spojrzeli po sobie, po czym mer rzekł do pisarza:

— Ponieważ ks. proboszcz nie może sobie przypomnić — albo też nie chce — co nas zmusiło do tej nocnej wizyty, to bądź pan łaskaw powiedzieć mu. Ta poważna sprawa pana najbardziej dotyczy.

Pisarz szorstkim tonem oświadczył, że jego siostra nie wróciła dotychczas do domu. Twierdzi się, że udała

się do proboszcza, aby zabrać dużą sumę pieniędzy. Z tego wnosić można, że zdarzyło się jakieś nieszczęście, lub zbrodnia.

— Wobec tego zmuszeni jesteśmy zarządzić poszukiwania i zacząć je od mieszkania księdza proboszcza, gdyż jak się zdaje, był ostatnim, który rozmawiał z moją biedną siostrą — zakończył pisarz.

— Pani Blanchard była istotnie u mnie dzisiaj rano, pomiędzy godziną 10 a 11-tą. Jeśli zdarzyło jej się nieszczęście, to podwójnie boleć nad nim będę, gdyż dałem jej wszystkie pieniądze, zebrane przez nasze Zgromadzenie pod wezwaniem św. Józefa.

— Zadziwia mnie znowu niepojęty spokój, z jakim przyjmuje ksiądz wiadomość o zniknięciu pani Blanchard. Spokój ten tym bardziej jest dziwny, iż ksiądz zaprzeczył, jakoby wiedział już o tym. Kto mówił proboszczowi o jej zniknięciu? — pytał mer.

— Nikt. Nie wiem o niczym — odrzekł proboszcz

— Trudno w to uwierzyć! No, ale ksiądz przyznaje, że pani Blanchard była dziś u niego rano pomiędzy godziną 10 a 11-tą. Gdzież udała się potem?

— Mówiła mi, że idzie do domu.

— Nie przyszła tam jednak. Od tego czasu nie widziano jej nigdzie. Mając ze sobą tak wielką sumę, nie mogła chodzić gdzieś dalej. Wypadek musiał ją spotkać w klasztorze.

— Nie wiem, jak sobie tłumaczyć to zniknięcie. Wypłaciłem jej w tym oto pokoju 12.000 franków.

— 12.000 franków! — zawołali jednogłośnie trzej panowie. — Jakże można powierzać taką sumę starej, bezbronnej kobiecie! Księże proboszczu, czynię go odpowiedzialnym za ewentualną stratę tych pieniędzy! I pani Blanchard zdołała schować tę sumę w kieszeni? — pytał dalej mer.

— Otóż stało się! — myślał ks. Montmoulin. — Wszystko tak, jak się spodziewałem! Chcą mnie pociągnąć do odpowiedzialności za stratę tych pieniędzy.

Dodał głośno:

— Włożyła tę całą sumę: 8.000 fr. papierami, resztę w złocie i srebrze do swego koszyka. Nie przyszło mi nawet do głowy, że w biały dzień, na tak krótkim dystansie stąd do jej domu, może grozić jej niebezpieczeństwo.

— Więc odprowadził ją proboszcz chociaż do bramy i może przysiąc, że opuściła bezpiecznie klasztor wraz z pieniędzmi? — pytał mer.

Ks. Montmoulin wzruszył ramionami.

— Mogę tylko na to przysiąc, że zaginiona opuściła ten pokój w najlepszym zdrowiu. Żałuję teraz niezmiernie, że nie towarzyszyłem jej aż do klasztornej bramy; chciałem to uczynić, ale nie pozwoliła na to z przyczyny, że byłem nieco przeziębiony.

— Przyrzekam, że przed sądem uczynię księdza odpowiedzialnym za przyczynienie się przez opieszałość do straty tak wielkiej sumy, gdyby się to zdarzyć miało. Jest to nowy, przekonywujący dowód, z jaką lekkomyślnością obchodzi się kler z pieniędzmi ubogich ludzi, których pieniądze znajdować się powinny pod opieką władzy świeckiej. To były pieniądze biednych, mój księże, choć były zebrane drogą dobrowolnych składek i za to ksiądz musi odpowiadać!

Pan burmistrz był bardzo zadowolony kierunkiem, który tej rozmowie nadał. Pytał potem dalej.

— Więc proboszcz nie ma pojęcia, co się zdarzyć mogło zacnej pani Blanchard?

Kapłan, który o smutnym losie pani Blanchard dowiedział się tylko ze spowiedzi, potrząsnął głową i rzekł:

— Nie widziałem jej od chwili, kiedy opuściła moje mieszkanie.

— A zatem, moi panowie — zwrócił się mer do towarzyszy — skoro proboszcz nie może, albo nie chce udzielić nam wiadomości o zaginionej, która według wszelkiego prawdopodobieństwa zniknęła tu, w klasztorze, to musimy zabrać się natychmiast do przeszukania domu. Czy takie jest i wasze zdanie?

— Oczywiście.

— Bezwarunkowo.

— Czy mógłby nas ksiądz proboszcz oprowadzić po klasztorze? — zapytał burmistrz.

— Proszę mnie zwolnić od tego, czuję się naprawdę niezdrów — mówił ks. Montmoulin dotknięty, jak to łatwo można zrozumieć tym szorstkim wystąpieniem swoich gości.

— Wydaje mi się to bardzo dziwne — zawołał mer — że ksiądz proboszcz nie chce poprzeć osobiście naszych usiłowań co do jak najszybszego odnalezienia zaginionej. Nie przeszkodzi nam to jednak w spełnieniu obowiązku. Panie pisarzu, weź pan lampę, ks. proboszcz zechce zadowolić się światłem świecy, jeśli nam nie chce towarzyszyć w przeszukaniu domu.

Ks. Montmoulin spostrzegł, że popełnił nieostrożność. Z pewnością winien był, jeśli nie wiedział nic o losie zaginionej, pierwszy chwycić lampę i szukać jej. Próbował teraz naprawić błąd i rzekł:

— Pójdę z panami. Nie mam żadnego powodu, żeby czynić panom trudności. Proszę o wybaczenie, jeśli nieco szorstkie wystąpienie panów, zrozumiałe oczywiście ze względu na okoliczności, podrażniło mnie trochę. Czy zaczniecie panowie od przeszukiwania mej sypialni?

— Hm, to jest chyba zbyteczne — mówił mer uła-

godzony nieco słowami proboszcza. — Obejrzymy wpierw korytarze i schody, prowadzące od drzwi księdza do bramy klasztornej, którymi iść musiała zaginiona w powrotnej drodze.

ROZDZIAŁ VIII
Poszukiwania.

Proboszcz szedł pierwszy z lampą w ręku korytarzem pawilonu Magdaleny ku głównym schodom i oświetlał podłogę oraz każdy kącik. Nie zauważono nigdzie najmniejszego śladu. Kiedy zeszli na dół, badali stopień po stopniu, oświetlali kamienne flizy krużganku, każdy kącik, utworzony przez wystający słup lub pilaster; nie ujrzano nic nadzwyczajnego. Towarzystwo stanęło nareszcie w sklepionej hali bramy klasztornej. Stali tam z latarniami żandarm i oberżysta. Proboszcz zbladł mimo woli, ujrzawszy policjanta; przestrach ów zauważył policjant, nie rzekł jednak ani słowa.

— To jest mieszkanie zakrystiana, prawda? — zauważył mer.

— Tak — odrzekł proboszcz.

Mer chwycił za klamkę i chciał wejść. Drzwi były zamknięte.

— Oto klucz, panie burmistrzu — zawołał usłużny Corillou. — Mówiłem już panu burmistrzowi przedtem, że Loser odjechał wczoraj po południu do Marsylii i zosławił u mnie klucz od mieszkania.

— Istotnie. Czy ksiądz proboszcz wiedział także o odejściu zakrystiana? — pytał mer.

— Naturalnie, Loser prosił mnie o zwolnienie na tydzień.

— I nie wrócił dotąd?

Ks. Montmoulin zawahał się chwilę z odpowiedzią.

Obiecał Loserowi, że nie zdradzi, iż go widział. Oświadczeniem, że zakrystian w czasie popełnionego czynu znajdował się w klasztorze, byłby niechybnie zwrócił podejrzenie na jego osobę. Tego unikać winien każdy spowiednik, nawet, gdyby miał wiadomość o przestępstwie poza spowiedzią. W miarę możności powinien też unikać nawet pozoru, że to, co na spowiedzi usłyszał, w jakikolwiek sposób wpłynęło na jego postępowanie, jednakże ta okoliczność, że Loser wszedł do jego pokoju, nie należała przecież do tajemnicy spowiedzi? Sama w sobie z pewnością nie! Ale przyszedł on tylko w celu spowiadania się i sama już wzmianka o tym byłaby w tych okolicznościach naruszeniem tajemnicy spowiedzi.

— Czy wzmianka o tym, że Loser przed godziną wychodził z mego pokoju, nie spowodowałaby licznych, badawczych pytań? — rozważał ks. Montmoulin. — Chcianoby się dowiedzieć, kiedy i gdzie go widziałem, czego sobie ode mnie życzył i co mówił. Sędzia śledczy zmieszałby mnie swymi pytaniami. A gdybym powiedział:

– To, o czym mówił ze mną zakrystian nie obchodzi nikogo, odmawiam wszelkich zeznań — to właśnie ta, jedynie w tym wypadku wskazana odpowiedź zdradziłaby już na pół, że chodzi tu o sprawę, tyczącą się sumienia, prawdopodobnie spowiedzi. Za żadną cenę nie wolno mi nawet wspomnieć o tym. Spowiedź Losera, o którym wiadomo wszystkim, że nie spowiadał się już lata całe, w tych okolicznościach musiałaby nasunąć najgorsze podejrzenie. To naraziłoby tajemnicę spowiedzi na wielkie niebezpieczeństwo i dlatego miejsca mieć nie może. Lepiej ponieść najcięższą ofiarę, niż dać choćby tylko pozory, że naruszyłem ten święty obowiązek!

Tak rozmyślał ks. Montmoulin i dlatego na pytanie burmistrza, czy Loser powrócił, odpowiedział krótko:

— O ile wiem, to nie.

— Jakież dziwne jest zachowanie ks. proboszcza! Dlaczegóż namyślał się ksiądz tak długo nad tą prostą odpowiedzią?

Ks. Montmoulin starał się pokryć swoje coraz to wzrastające zmieszanie uwagą, że nie czuje się dobrze i ma ból głowy. Obawia się też, że zaszkodzi mu przeciąg, będący w tym otwartym miejscu.

— Ponieważ zakrystiana nie było i nie ma go dotąd według świadectwa proboszcza, nie potrzebujemy zatrzymywać się tutaj dłużej. Istotnie jest tu zimno i przewiewnie. Czy z klasztoru nie ma innego wyjścia, prócz tej bramy? — pytał mer.

— Są jeszcze drzwi od tylnej strony krużganka, zamknięte jednakże, jak się przekonałem — rzekł żandarm.

— Dobrze, ks. proboszczu, czy nie ma innych schodów, wiodących z jego mieszkania na parter?

— Są jeszcze boczne schody na końcu pawilonu Magdaleny, którymi schodzi się do wielkiej kuchni klasztornej, gdzie obecnie znajduje się prasa do tłoczenia oleju. Ponieważ jednak zwykle miejsce to jest zamknięte, więc pani Blanchard nie mogła iść tą drogą. Możliwe jest jednak, że poszła przez oratorium, aby pomodlić się przed Najświętszym Sakramentem i zeszła potem schodami zakrystyjnymi do krużganka.

Ks. Montmoulin mówił te ostatnie słowa drżącymi ustami — wiedział, że znajdą tam zamordowaną.

— Niech nas proboszcz prowadzi zaraz tą drogą! — mówił mer.

Szedł kapłan krużgankiem ku kościołowi, trzej panowie za nim. Odmawiał cicho „De profundis" i przygo-

towywał się na straszny widok trupa. I tutaj szukano w każdym zakątku, za każdą kolumną krużganka, ale i tu bezskutecznie. Na kapitelach wykrzywiały się fantastyczne maski zwierząt i diabłów i nieprzyjemne uczucie owładnęło wszystkimi, kiedy w ciemnym, pu- stym kolumnianym ganku słyszeli tylko echo własnych kroków. Każdy miał to samo uczucie, że o tym czasie, w nocy, nie chcieliby znaleźć się samotnie w tym kruż- ganku; nikt jednak nie przyznałby się głośno do tego.

— Czy ktoś idzie z tamtej strony? — pytał mer.

— To tylko echo naszych kroków — odparł proboszcz.

— Która godzina? — spytał pisarz gminny.

— Pewnie zaraz wybije dwunasta. — Przecież nie boi się pan duchów? — próbował żartować notariusz.

— Człowiek oświecony i obawa przed duchami! — zamruczał prawie obrażony pisarz.

— Co znajdowało się poprzednio na miejscu okołonym przez krużganek? — zapytał mer.

— Cmentarz zakonnic — odrzekł proboszcz. Drogą tą wyprowadzano ciała z kościoła i dlatego brama, którą właśnie przestępujemy, nazywa się bramą śmierci. Stąd też te ornamenty u góry.

Z tymi słowami uniósł lampę i oświetlił wykute w kamieniu trupie głowy z napisem: Hodie mihi, cras tibi. „Dziś mnie, jutro tobie” przetłumaczył.

— Tyle łaciny rozumiemy i my, księże proboszczu!
– rzekł gniewnie mer, który nie lubił, gdy mówiono o śmierci.

Ks. Montmoulin otworzył bramę i znaleziono się w miejscu, gdzie wisiały sznury od dzwonów.

— Czy ta brama jest zawsze otwarta? — spytał burmistrz.

— Tak samo jak wszystkie wewnątrz klasztoru —

odpowiedział proboszcz. — Tutaj trzy razy dziennie dzwoni się na „Anioł Pański".

— Kto robił to w czasie nieobecności zakrystiana?

— Dzisiaj rano dzwoniłem ja sam; w południe i wieczorem uczynił to sąsiad Jacques, który zwykle zastępuje zakrystiana — objaśnił proboszcz.

— Zatem w południe on też nie zauważył nic podejrzanego — mówił mer, oglądając się podejrzliwie dookoła. Przystąpił potem do drzwi zakrystii, znajdujących się naprzeciwko bramy śmierci i próbował je otworzyć.

— Drzwi te otwarte są tylko w czasie nabożeństwa — rzekł proboszcz. — Ja sam zamknąłem je dzisiaj po mszy św. i zabrałem klucz do swego pokoju.

— Zatem tutaj nie można szukać zaginionej — powiedział mer i zwrócił się ku kręconym schodom, które były tak wąskie, że dwie osoby nie mogły iść obok siebie.

Proboszcz szedł na czele unosząc lampę w górę, aby świecić idącym. Za nim szedł mer; pisarz i notariusz szli na końcu.

Ks. Montmoulin stanął teraz na progu schodów i mimo woli rzucił niepewne spojrzenie na drzwi komórki. Mer zauważył to spojrzenie i zapytał dokąd te drzwi prowadzą?

— Do komórki, gdzie składa się różne sprzęty i stare rupiecie — odpowiedział proboszcz i chciał iść dalej. Ale mer chwycił już za klamkę i pchnął drzwi. Wpadające światło lampy oświetliło na chwilę nakrytego całunem trupa, potem zgasił lampę przeciąg spowodowany szybkim otwarciem drzwi i wybitym oknem komórki.

— Co to było to, co leżało na podłodze? — zapytał mer, przyszedłszy po szoku do siebie.

— Był to całun i coś leżące pod nim! — zawołał notariusz.

— Coś straszy w tym przeklętym klasztorze — zapewniał przejęty strachem pisarz. — Trzeba nam było odłożyć poszukiwania na godzinę odpowiedniejszą. Zdaje się, że biła dwunasta, kiedy wchodziliśmy na schody.

— Co ks. proboszcz na to powie? Czy nie widział nic? — pytał mer.

— Owszem — brzmiała względnie spokojna odpowiedź. — Obawiam się, że ujrzałem to, czego szukamy.

— Sprawiedliwe niebo — a my stoimy tu po ciemku przy zwłokach mojej biednej siostry! — biadał pisarz gminny. — Panie notariuszu, zawołajmy żandarma z latarnią! Proszę na wszystko w świecie, chodź pan ze mną; umieram z trwogi i nie odważę się iść sam przez ciemny krużganek.

— Dobrze, idź pan i przynieś latarnię! — rzekł mer.

— Tam na dole przy drzwiach krużganka. Grisable usłyszy pańskie wołanie.

Ks. Montmoulin wszedł tymczasem do komórki, do której wpadał z kościoła słaby promień wieczystej lampy i modląc się cicho, ukląkł koło całunu, którego zarysy rozpoznać już było można przywykłymi do ciemności oczyma. Modlił się za zamordowaną, jak to już cały wieczór czynił, czuł, że z tej modlitwy spływało na duszę jego ukojenie i moc, pomimo, iż z każdą chwilą coraz lepiej rozumiał, jaka go czeka zgryzota.

Mer stojący za nim na progu schodów, poznał teraz, że to nie wypadek, jak dotąd sądził, ale zbrodnia. Jeśli istotnie, jak mówił proboszcz, całun kryje zwłoki pani Blanchard, to kto ją nim przykrył? Jakim sposobem proboszcz odgadł tak szybko, co zakrywa to sukno? Dlaczego spojrzał tak dziwnie na drzwi tej odosobnionej komórki? Jakiż był powód tego szczególnego zachowania się, gdy weszli do jego pokoju i gdy oznaj-

mili mu o zamiarze przeszukania domu? Kiedy go pytał mer przy bramie o powrót zakrystiana, czy nie oznaczało to, że wiedział o zbrodni? Czyżby w końcu zrobił to sam proboszcz? — Nie, tego mer nie przypuszczał; ksiądz cieszący się dotąd nieskalaną reputacją — zbrodniarzem? — Jednakże ostatecznie i to nie byłoby niemożliwe! Wiadomo było, że ks. Montmoulin był biedny i miał ubogich krewnych; ta wielka suma mogła się stać pokusą. Na kogóż ma wreszcie paść podejrzenie, jak nie na niego, który jako jedyny znajdował się wraz z ofiarą w klasztorze, w czasie zbrodni?

Takie myśli przesuwały się po głowie mera, podczas gdy oczekiwał na powrót towarzyszy i ostatecznie doszedł do wniosku, że proboszcz jest co najmniej mocno podejrzany i jest to dostateczny powód, aby pociągnąć go do odpowiedzialności przed sędziego śledczego. Prawie cieszył się na myśl, że może znalazł się skandal, o jakim mówił niedawno przy winie i że będzie miał w swym ręku druzgocącą broń przeciw klerykałom.

— Trzeba będzie jej użyć! — mówił sam do siebie.

Słychać już było głosy, dochodzące z krużganka i wkrótce ukazał się blask latarni. Chwilę później żandarm oświecił nią schody i komórkę. Teraz ujrzano wyraźnie całun, spod którego sterczały nogi kobiece, zwrócone ku drzwiom. Obok całunu klęczał spokojnie Ks. Montmoulin. Pozostali wydali głośne okrzyki przerażenia i zgrozy. Nie było już żadnej wątpliwości: pani Blanchard padła ofiarą morderstwa!

— Proszę o latarnię — rzekł mer do żandarma, kiedy nastąpił już spokój. — Trzeba ostrożnie unieść nieco sukno w górę, tak, aby ciało nie zmieniło położenia. Żandarm uniósł sukno o tyle, że widać było twarz i górną część korpusu martwej. Widzów przeraziło posiniałe oblicze i zamglone oczy.

— Uduszono ją — zawołał mer.
— Została zakłuta — rzekł żandarm i wskazał na przesiąkniętą krwią suknię i kałużę krwi, w której leżał trup.
— Czy nie ma wątpliwości, że ona nie żyje? — spytał notariusz.
— Zimna i sztywna — odparł żandarm.
— Czy pan poznaje swoją siostrę? — zapytał mer pisarza.
— Niestety, aż nadto dobrze! Ale proszę zakryć ciało, nie mogę znieść tego widoku.
— Tak, trzeba przykryć! — wołał Corillou, odwracając oczy. — Widok ten przyśnić się może. Gdybym przeczuwał, co za okropności tutaj zobaczę, nigdy bym tu nie przyszedł.
— Jeszcze chwilę! — rzekł mer do żandarma, który chciał naciągnąć całun na trupa. Zwrócił się potem do ks. Montmoulin, który klęczał jeszcze przy zmarłej i rzekł, patrząc przenikliwie na kapłana:
— Co ksiądz proboszcz powie na to okropne zdarzenie?
— Modlę się za zamordowaną i za zbrodniarza.
— Hm — ale któż mógłby być tym zbrodniarzem?
— Tego nie wiem. Czyżby pan mnie posądzał?
— Nie wypowiedziałem jeszcze swego zdania. Jednakże takie podejrzenie samo się nasuwa i księdzu na myśl przyjść musiało, jak na to jego odpowiedź wskazuje. W każdym razie proboszcz musi złożyć wyjaśnienie sędziemu śledczemu. Jest też moim obowiązkiem dać zaraz znać policji w Akwizgranie. Ks. proboszczu, proszę iść z nami do swojego pokoju. Proszę ostrożnie przykryć trupa, Grisable, żeby nie zmienić w niczym jego położenia. Czy panowie mogą poświadczyć, że nie zmieniliśmy nic? Dobrze, Grisable, proszę tu zostać i pilnować trupa.

— Panie Corillou, zechce pan oddać na pocztę telegram służbowy, który panu zaraz wręczę. Telegram ten musi być wysłany natychmiast.

Żandarm zauważył, że można by zamknąć drzwi komórki, a jego osobę użyć do czego innego i mer zgodził się na tę propozycję. Zamknięto więc drzwi, mer włożył klucz do kieszeni i wszyscy milcząc weszli kręconymi schodami przez oratorium i korytarz na górę, do mieszkania proboszcza.

Kiedy ks. Montmoulin przechodził przez oratorium, spojrzał żałosnym wzrokiem na kościół. Przeczuwał, że upłynie dużo czasu, zanim znowu tam wejdzie, a może to już nigdy nie nastąpi. Jednakże w tej zgryzocie pokrzepiła go i dodała mu mocy myśl o obecności Jezusa Chrystusa w tabernakulum.

— Znasz moją niewinność, Jezu, dodasz mi sił, abym nie naruszył świętego, kapłańskiego obowiązku. Niech będzie, co ma być, jestem w ręku Boga!

Tak modlił się kapłan idąc pomiędzy dwoma ponuro spoglądającymi ludźmi, prawie już jako więzień, do swego pokoju.

ROZDZIAŁ IX
Protokół.

Przyszedłszy do pokoju, mer napisał prędko na ćwiartce papieru, podanej przez proboszcza następujące słowa:

“Akwizgran, prefektura policji. Odkryto w S-te Victoire morderstwo, połączone z rabunkiem, przysłać natychmiast doświadczonego sędziego z żandarmami. Grandjean, mer”.

Pan Corillou gotów był oddać zaraz telegram na pocztę, prosił jednakże, aby towarzyszył mu żandarm z latarnią. Trzeba było spełnić żądanie oberżysty, gdyż

ten oświadczył, że za nic w świecie nie pójdzie sam przez korytarze tego ponurego domu.

Zaledwie opuścili pokój, mer ujrzał leżący na biurku kwit, podpisany przez panią Blanchard.

— Co to jest? — zapytał proboszcza.

— Kwit pani Blanchard — odpowiedział ks. Montmoulin.

— Bardzo to było przezorne kazać podpisywać tej kobiecie na kilka minut przed jej śmiercią kwit, jak się zdaje, przedtem już przygotowany! — zauważył mer. — I ksiądz nie ma pojęcia, gdzie się pieniądze znajdują?

— Nie, nic o tym nie wiem!

— Taak! Hm, to już rzecz sędziego śledczego, który będzie tu zapewne nad ranem, aby tę rzecz wyjaśnić. Sądzę, że nie potrzebuję szukać daleko. Tymczasem, moi panowie, trzeba by spisać krótki protokół o smutnych wynikach naszego dotychczasowego poszukiwania. Przyda się to sądowi. Księże proboszczu, ksiądz wolałby może położyć się tymczasem? — Sypialnia nie ma przecież drugiego wyjścia?

Z tymi słowami mer wziął lampę i poświecił w małej sypialni.

— Nie sądzi pan chyba, abym chciał próbować ucieczki? — rzekł boleśnie dotknięty kapłan. — Doprawdy muszę z żalem zauważyć, że wydaję się panom podejrzanym. Mogę tylko zapewnić o swej niewinności, co, jak mam nadzieję, wyświetli wkrótce śledztwo. Próba ucieczki musiałaby usprawiedliwić najgorsze podejrzenie.

Mer przyznał to, a ponieważ i jedyne okno sypialni umieszczone było dość wysoko nad wybrukowanym dziedzińcem, pozostawił proboszcza samego i zasiadł z pozostałymi przy stole, aby dyktować protokół, spisywany przez notariusza. Przedstawił zachowanie się

i słowa proboszcza w takim świetle, że ksiądz musiał się wydać podejrzanym.

Tymczasem ks. Montmoulin chciał się położyć w sutannie do łóżka, zmówiwszy modlitwę o pomoc i siłę do zniesienia ciężkiej próby. Wtem spostrzegł ku swemu przerażeniu, że sutanna od kolan pokryta była wilgotnymi jeszcze plamami. Co by to mogło być? Obejrzał końce palców przy blasku świecy — była to czerwona, kleista ciecz.

— Krew! — naprawdę krew! — mówił do siebie.

Zrozumiał przyczynę i mimo woli zadrżał. Nie przeczuwając nic, ukląkł obok trupa na rozlaną krew, którą nieszczęsny Loser widział płynącą strumykiem ku niemu! Nie namyślając się nalał w miednicę wody i nie bez dreszczy zaczął zmywać z sutanny ślady. Po niedługim czasie woda się zaczerwieniła. Chciał wylać ją z miednicy za okno i nalać świeżej, gdyż zostały jeszcze liczne plamy. Kiedy jednak otwierał okno, co nie odbyło się bez hałasu, usłyszeli to panowie będący obok i w tej chwili mer wpadł do sypialni w mniemaniu, że duchowny próbuje uciekać.

Z okrzykiem: — Co ksiądz robi? Co ksiądz tam ma? — wpadł na proboszcza i wyrwał mu miednicę z ręki.

— To krew! — zawołał wzdrygnąwszy się. Moi panowie, przyjrzyjcie się!

— Miednica pełna krwi! — wykrzyknął notariusz blady, jak trup z przerażenia.

— Tak, to krew — względnie spokojnie odpowiedział ks. Montmoulin. — Musiałem klęczeć we krwi tam na dole, obok biednej pani Blanchard — obejrzyjcie panowie sutannę — chciałem właśnie wyprać te plamy.

Choć wyjaśnienie to było nader proste i jasne, nie zadowoliło ono jednak mera, który pozostał przy swym podejrzeniu.

— Kto wie, jak i kiedy splamiona została ta sutanna! — zawołał. — W każdym razie miednica wraz z zawartością niech stoi spokojnie, a sutannę zechce ksiądz zmienić na inną. Jeśli się nie mylę, to nauka posiada środki, aby ze składników krwi wywnioskować, kiedy została wylana.

— Mam tylko jeszcze jedną sutannę i ta zabłocona jest bardzo, gdyż zeszłej nocy, w niepogodę, musiałem chodzić do chorego. Wisi w kuchni — odrzekł ks. Montmoulin.

— Pójdziemy po nią obaj — odparł mer. — Obstaję przy tym, żeby ksiądz zdjął sutannę, aby można było zbadać naukowo te podejrzane plamy.

Wzruszając ramionami wziął proboszcz lampę i wszyscy poszli przez ganek do małej kuchenki. Ks. Montmoulin poświecił w ciemnym kącie koło ogniska, gdzie wisiała sutanna, sucha wprawdzie, ale cała pokryta błotem. Stara Zuzanna nie miała jeszcze czasu jej oczyścić. Proboszcz chciał właśnie zdjąć suknię z haka, kiedy pisarz krzyknął i wskazał ręką koszyk, stojący w kącie obok ogniska.

— Koszyk mojej biednej siostry! — zawołał. Mer uniósł go w górę i otworzył. Nie było wątpliwości. Wewnątrz znajdowała się umieszczona na wieku karta z nazwiskiem pani Blanchard. Koszyk był pusty.

— Czy ksiądz zna ten koszyk? — zapytał mer proboszcza.

Zmieszany proboszcz odpowiedział:

— Tak, to jest koszyk pani Blanchard. Ja sam włożyłem tam pieniądze, zawinięte w chustkę.

— Jak wyjaśni nam ksiądz jego obecność tutaj?

— Tego ja właśnie nie rozumiem i wyjaśnić nie mogę.

Zaledwie wyrzekł to ks. Montmoulin, kiedy przyszła

mu do głowy myśl, że może morderca umyślnie zostawił tu koszyk, aby rzucić podejrzenie na proboszcza; być może, że tylko dlatego spowiadał się u niego, aby zamknąć mu usta tajemnicą spowiedzi. Gdy tak było, to i spowiedź byłaby udawana (symulowana) i nie byłaby istotną spowiedzią; takie udawane wyznanie nie nakłada na kapłana obowiązku zachowania tajemnicy spowiedzi. Znalazł ratunek w swym ciężkim położeniu. Potrzebowałby tylko wyjaśnić, że Loser był u niego i wyznał wszystko pod fałszywą przykrywką, że pragnie się spowiadać; że z początku wyznanie jego uważał za prawdziwą spowiedź i dlatego nie mógł nic mówić o pobycie zakrystiana i o morderstwie. Teraz jednak przejrzał szatański plan zabójcy i nie jest zobowiązany milczeć. To wyjaśni całą sprawę i podejrzenie o winę skieruje na innego sprawcę. Łatwo sobie wyobrazić, jak chętnie udzieliłby ks. Montmoulin tego wyjaśnienia, ale powstrzymała go wątpliwość, czy to pewna rzecz, że Loser tylko udawał. Gdyby wyznanie jego na pewno nie było spowiedzią, tym samym nie istniałby obowiązek dochowania tajemnicy. Jednakże choćby nawet było najmniejsze prawdopodobieństwo, nie zwalniało go ono w żadnym razie od świętego obowiązku tajemnicy spowiedzi. Niestety, proboszcz musiał przyznać w końcu, że wprawdzie zakrystian wyznał swój czyn jedynie ze strachu, jednak uczynił to w zamiarze, aby wina była mu odpuszczona. A nawet choćby morderca w celu zrzucenia winy na kapłana, pozostawił w kuchni po swej spowiedzi nieszczęsny koszyk, to i to nie byłoby dostatecznym dowodem, że spowiedź była fikcją. Zrozumiał ks. Montmoulin, że niemożliwa jest dla niego droga ratunku, jaka wydawała się przed nim otwierać i że mimo wszystkich następstw, które ukazywały mu się w coraz groźniejszej postaci, tajemnica spowiedzi zachowana być musi.

Podczas gdy myśli te krzyżowały się w umyśle proboszcza z błyskawiczną szybkością i doprowadziły go w końcu do wiadomego wyniku, mer chodził tymczasem po kuchni, szukając nowych śladów przestępstwa.

Po chwili znalazł koniec chustki, wsuniętej w pośpiechu przez Losera pod kuchenną szafę. Mer wyciągnął ją, a z nią razem duży nóż. Okrzyk grozy wydarł się z piersi obecnych, kiedy rozłożył na stole pokrwawioną chustkę i nóż, który na ostrzu i rękojeści nosił także wyraźne ślady krwi.

— Nie ma wątpliwości — mówił mer — że mamy w ręku narzędzie krwawego czynu.

— Biedna siostro! — i te klechy, którym zanosiłaś każdy szeląg, z wdzięczności zamordowali cię! — mówił pisarz, rzucając na proboszcza groźne spojrzenie.

— Nóż oczywiście należy do proboszcza — zauważył notariusz. — Na rękojeści ma litery F. M. Chustka też jest tak oznaczona.

— Co ksiądz na to powie? Jak to ksiądz wytłumaczy? — pytał ze zrozumiałym oburzeniem mer i schwycił proboszcza za ramię.

Ks. Montmoulin zbladł na widok tych nowych dowodów, które świadczyły niezbicie przeciw niemu. Wydawało się już pewne, że Loser zaniósł to wszystko do kuchni w tym celu, aby podejrzenie skierować na księdza. Użycie już choćby tego właśnie noża do morderstwa należeć musiało do jego szatańskiego planu. Widocznie człowiek ten nie liczył na to, że go proboszcz będzie ochraniał.

Ale kapłan pomyślał znowu:

— To wszystko nie jest jednak pewnym dowodem, że Loser nie myślał spowiadać się naprawdę i muszę milczeć.

— Ten nóż — odpowiedział po chwili, walcząc widocznie ze wzruszeniem — należy do mnie bez wątpie-

nia. Chustka także. Jest to ta sama, w którą zawiązałem pieniądze, oddane pani Blanchard. Jakim sposobem nóż i chustka dostały się tutaj, kto je wsunął pod szafę, tego powiedzieć nie mogę. Zuzanna szukała tego noża rano, przy śniadaniu.

— Widocznie zbrodniarz usunął go już przedtem, by mieć go w pogotowiu! Zdaje się, że dobrze swój plan obmyślił. Sądzę tylko, że zbyt naiwnie liczył na to, że pewne okoliczności, może świątobliwość jego stanowiska, odwróci od niego wszelkie podejrzenie — rzekł mer.

— Panie burmistrzu, kilkakrotnie już w różnych zwrotach wypowiedział pan podejrzenie albo dał mi wprost do zrozumienia, że mnie uważa za sprawcę tego ohydnego czynu — muszę z całą stanowczością sprzeciwić się temu! — zawołał proboszcz.

— O, naturalnie! To oburzenie jest potrzebne, tylko, niestety, przychodzi za późno wobec tak przygniatających dowodów! — rzekł drwiąco mer. Zmienił potem ton i rzekł:

— Byłoby lepiej dla księdza przyznać się otwarcie. W ten sposób mógłby ksiądz liczyć przynajmniej na łagodniejszy wymiar kary.

— Choćby znalazły się okoliczności z pozoru jeszcze więcej mnie potępiające — to tylko rzec mogę, że jestem niewinny! — zawołał kapłan.

— To niech ksiądz wyjaśni mi zachodzące tutaj fakty! Loser, na którego w każdym razie padłoby pierwsze podejrzenie, był, jak to proboszcz sam zeznał, nieobecny. Któżby inny wszedł do kuchni proboszcza i wziął nóż? Któż wiedział o tym, że pani Blanchard miała o oznaczonej godzinie zabrać pieniądze? Kto znał jej przyzwyczajenie, że chodziła przez oratorium i ciemne schody, aby tam właśnie czatować na nią i zamordować

ją w dogodnym miejscu? Pytam kto? Chyba ksiądz nie powie, że zrobiła to stara Zuzanna?

— Powtórzyć tylko to mogę, że jestem niewinny, a Bóg jest moim świadkiem! — mówił ks. Montmoulin, zwróciwszy w górę oczy.

— Nie wzywaj jeszcze ksiądz Boga na świadka i nie wywracaj oczu, hipokryto! — wybuchnął mer.

— Czy ksiądz myśli, że otumani nas swoją świątobliwą miną? — rzekł notariusz.

— Krew mojej biednej siostry woła o zemstę! — zawołał pisarz gminny. — Nie spocznę, póki nie ujrzę księdza na szafocie, pod gilotyną!

Ks. Montmoulin zdawał sobie z tego sprawę, że i przed sądem inaczej myśleć o nim nie będą, a jego zapewnienia o niewinności wezmą za hipokryzję. Odczuwał głęboko doznawane upokorzenia i myślał o goryczy, jaką jeszcze znieść będzie zmuszony. Nic jednak nie mógł uczynić, nic go od tego nie mogło uchronić. Pozostała mu tylko modlitwa. Modlił się więc w duchu z Chrystusem na górze Oliwnej:

— Panie, jeśli można, to oddal ode mnie ten kielich, ale nie moja, tylko Twoja wola niech się stanie!

— Więc ksiądz nie chce się przyznać? — pytał raz jeszcze burmistrz.

— Nie mam powodu do przyznania się — powtórzył kapłan ze spokojem. — Może mnie pan uważać za hipokrytę; ja jestem niewinny i ufam w Bogu, że ta niewinność wyjdzie na jaw.

— Zobaczymy przed sądem, co będą myśleli sędziowie przysięgli wobec tak przekonywujących dowodów winy księdza! Tymczasem proszę iść z nami do pokoju, gdzie proboszcz będzie łaskaw zamienić tę pokrwawioną sutannę na drugą, chociaż co prawda też niezbyt czystą. Złożymy potem razem dowody obciążające księdza: sutannę, koszyk, chustkę i nóż. Trzeba tylko

znaleźć jeszcze u księdza te 12.000 franków, a może i to nam się uda. Na razie możemy być zadowoleni z wyniku dotychczasowych poszukiwań. Ale oto pan Corillou i żandarm. Czy telegram wysiany? Dobrze!

Przez ten czas i my nie próżnowaliśmy, panie Corillou. Znaleźliśmy koszyk zamordowanej, pokryty krwawymi plamami nóż, którym popełniono morderstwo, oraz chustkę, w którą wytarł go morderca — obie te rzeczy oznaczone literami naszego czcigodnego proboszcza!

— Nie może być! — zawołał oberżysta, spoglądając złośliwie na znienawidzonego proboszcza. — Niezbyt budujący przykład: klecha mordercą i rabusiem.

— I obłudnikiem w dodatku, to wszystko razem pod sutanną. Tak, ta sprawa będzie głośna — stwierdził mer i postanowił wygrać ten potężny atut przy nadchodzących wyborach. — Teraz chodźmy do mieszkania skończyć protokół przed przybyciem sędziego. Grisable! — zwrócił się do żandarma — proszę iść z księdzem proboszczem i nie spuszczać go z oczu, nawet kiedy będzie zmieniał sutannę. Ten pan na ukoronowanie swego czynu mógłby jeszcze zechcieć zakończyć śmiercią judaszową, a ja jestem tego mniemania, że postawienie jego przed sądem kryminalnym będzie więcej budupokutą.

Fizyczne niedomaganie i udręczenia duchowe sprawiły, że ks. Montmoulin ledwie trzymał się na nogach i chętnie udał się wraz z żandarmem do swej sypialni. Nałożywszy zabłoconą sutannę, rzucił się na łóżko i wkrótce popadł z wyczerpania w dobroczynny sen.

Tymczasem obok w pokoju notariusz pisał długi i mozolny protokół, który zamienił się w formalny akt oskarżenia biednego kapłana. Nareszcie protokoł skończono, przeczytano jeszcze raz, uzupełniono dopiskami

po brzegach arkusza i podpisano. Nawet oberżysta położyć musiał swój podpis pod ustępem dotyczącym: „Odnalezienia ciała”.

Z głębokim ukłonem oświadczył Corillou burmistrzowi, że uważa to sobie za wielki zaszczyt. Przyniósł potem koszyk, po który wstąpił do domu w drodze z poczty i ustawił na stole butelki, kieliszki, salami i ser, talerze i wszystko potrzebne do posiłku.

— Doskonały Chateau-Margout, stary i czysty, moi panowie! — zachwalał pan Corillou. — Prawdziwe lekarstwo po wzruszeniach i strachach dzisiejszej nocy! Proszę nie gardzić tym małym darem z mojej piwnicy. Niechaj będzie on wyrazem bezgranicznej czci, z jaką odnoszę się zawsze do władz, a szczególnie do naszego nieocenionego mera. Proszę wypić ze mną tę szklankę za jego zdrowie. Energia, przezorność, nie skończona mądrość, z jaką przystąpił do ponurej sprawy zbrodni i zdarł już z klerykalizmu niejako maskę obłudy, wyznacza mu honorowe miejsce między najwybitniejszymi urzędnikami naszego powiatu i departamentu, nawet całej Francji.

Panowie mogli uważać mowę pana Corillou, który za młodych lat był prowincjonalnym aktorem, za stosowną, lub nie, godzili się jednak na jedno, że jego pomysł przyniesienia wina i przekąsek był szczęśliwy i nie wzięli mu za złe ulubionych retorycznych popisów. Spędzono zatem resztę nocy przy butelce, omawiając jeszcze uczynione odkrycia i umacniając się w przekonaniu, że nikt inny nie mógł zamordować pani Blanchard, jak tylko ks. Montmoulin.

ROZDZIAŁ X
Sędzia śledczy.

Nareszcie nadszedł dzień. Pierwsze promienie słońca, które w całej swej wspaniałości wzeszło ponad wzgórzami Brignoles, oświeciły cudowny obraz prowansalskiej wiosny. Małe wioski i pojedyncze zagrody, rozsiane w dolinach pomiędzy S-te Baume, a łańcuchem: wzgórz S-te Victoire, obramowane były wieńcem kwitnących śliw i brzoskwiń, wśród których uwijały się i brzęczały pracowite pszczółki, zbierając skrzętnie słodki nektar i znosząc go do swych słomianych domków, podczas gdy zięby wydzwaniały na wszystkich gałęziach radosny wiosenny hymn. Tu i tam rozlegał się odgłos dzwonu, wzywający mieszkańców wiosek na mszę świętą.

Pobożne kobiety i gromadki szkolnych dzieci kierowały się w stronę kościołów, pozostali — ku ogrodom i winnicom do pracy.

Jedynie życie mieszkańców S-te Victoire nie biegło dzisiaj zwykłym trybem. Zaledwie rankiem otworzono drzwi domostw, straszna wieść o popełnionym mordzie szerzyć się zaczęła z ust do ust.

— Słyszeliście, sąsiadko — wołała Kamila do Teresy przez ulicę — zamordowano dobrą panią Blanchard!

— Na miłość Boską! To nie może być!

— Tak, a co najokropniejsze — rozlegało się z drugiego okna — powiadają, że zabił ją ksiądz proboszcz nożem od krajania chleba!

— Ach Boże, jak możecie mówić tak straszne rzeczy? Popełniacie grzech śmiertelny!

— Dlaczego nie miałoby tak być? Księża nie są wcale lepsi od innych ludzi. Czyż w Paryżu, przed laty, nie zasztyletował w kościele ksiądz arcybiskupa i został za to zgilotynowany?

Mówiła mi o tym służąca pana Corillou, oberżysty spod „Złotej Róży”. Musiała nosić posiłek do klasztoru dla pana mera i panów z sądu. Pan mer, pan notariusz i pisarz gminny — mój Boże, toż to była jego siostra! — siedzieli w klasztorze przez całą noc i wszystko odkryli!

— Ach ci! Teraz już doprawdy nie wierzę, żeby nasz ksiądz proboszcz, taki pobożny, świątobliwy i miłosierny człowiek, miał dopuścić się zbrodni. Żaden z tych panów nie chodzi w niedziele na mszę, ani na Wielkanoc nie przystępuje do komunii. Proboszcz jest już im od dawna solą w oku, będą się starali spędzić na niego to przestępstwo.

Tak stawała w obronie ks. Montmoulin rosła krzepka kobieta, zaciskając pięści na wspomnienie „tych panów”.

— Strzeż się, pani sąsiadko! — rzekła jej nieśmiało kobiecina, która przysłuchiwała się dotąd niema z przestrachu. Gdyby mer słyszał, co pani mówi, kazałby wtrącić panią do więzienia.

— Niechby tylko spróbował, taki człowiek, który nawet nie dochowuje wierności żonie.

— Patrzcie, patrzcie! Kto tam jedzie drogą? Na Boga, to konni żandarmi! A tam bryczka — to pewnie panowie z sądu! — wołały teraz jedna przez drugą sąsiadki, przerywając oskarżenia mera, przez ich towarzyszkę głoszone.

— Miłe nieba! Policja zabierze naszego proboszcza! Jednak musi w tym coś być! Chodźmy do klasztoru, musimy to zobaczyć!

— Tak, lećcie, głupie baby! Nie spojrzę ani jednym okiem, kiedy będą wlekli tędy tego dobrego człowieka, który czynił tyle dobrego dla biednych i chorych. Nie wierzę, że proboszcz był mordercą, choćby nawet mer przysięgał, że widział zabójcę na własne oczy!

Mówiąc to dzielna niewiasta zamknęła okno z hałasem i w złym humorze pobiegła do kuchni, gdzie wyładowała swój gniew na garnkach i miskach.

Na dziedzińcu przed klasztorem tłoczyli się ciekawi i z właściwym południowcom temperamentem omawiali głośno i hałaśliwie straszne zdarzenie. Nawet przez zamknięte okno do uszu ks. Montmoulin dojść musiało niejedno ostre słowo, wypowiedziane przez tych, którym tyle dobrego wyświadczył. Takim już jest ludzkie serce; zmienne, zawsze skłonniejsze, by uwierzyć w zło, niż w dobro o swych bliźnich, odczuwające skryte zadowolenie z każdego skandalu, mianowicie, jeśli dotyczy on przełożonych i wyżej postawionych ludzi i aż nadto łatwo dające się porwać tłumowi, by krzyczeć wraz z nim: Ukrzyżuj go! Ludzie szlachetni, którzy w takich chwilach podniecenia umysłów znajdą słowo obrony dla atakowanego, których duszę upadek człowieka nieposzlakowanego dotąd istotnym napełnia smutkiem, tacy ludzie rzadko mieszają się w tłum cieIcawych.

— Powinno się zaraz powiesić klechę na drzewie — mówił barczysty wyrostek, rzucając groźnie oczyma — zaraz zanim z Akwizgranu nadjadą żandarmi. Zobaczycie, że przed sądem jakiś adwokat wybroni go od gilotyny. A tutaj i my przy tym przyjrzelibyśmy się, jak będzie dyndał!

— Nie, nie — mówił rzeźnik. — Mają takie dowody, i najlepszy adwokat nic mu nie pomoże. Sutanna jego jest cała we krwi, a duży nóż od chleba, którym przebił ofiarę, także. Nie przypisywałbym małemu księżykowi takiej odwagi.

— Cóż znowu! Stara dewotka nie bardzo się chyba broniła. A przy tym ta masa pieniędzy, którą jej zabrał i innym pewnie dodała by odwagi. Powiadają, że było ponad 20.000 franków — mówił sklepikarz.

— Więcej, więcej, 50.000! 100.000! — wołano na prawo i na lewo.

— Powiem wam coś! — szepnął mały krawczyna. — To prawdziwe szczęście dla Losera, zakrystiana, że wyjechał w niedzielę wieczorem do Marsylii i jeszcze nie wrócił. Gdyby tu był, podejrzenie z pewnością spadłoby na niego, a nie na proboszcza.

— Ach, mówisz to tylko dlatego, że sam byłbyś rad zostać zakrystianem i dlatego nie możesz ścierpieć tego człowieka! — zawołał kramarz.

— Jednak jest w tym coś z prawdy, co mówi ten krawczyna — nadmienił rzeźnik. — Spodziewałbym się prędzej takiego czynu po Loserze; ten wyuczył się tego rzemiosła podczas ostatniej wojny i podobno własnoręcznie wyprawił na tamten świat kilka tuzinów Prusaków. Gdyby ten tu był...

— Słuchajcie, co mówi pan Corillou! — zawołano ze wszech stron.

Oberżysta spod „Złotej Róży” stanął właśnie u furty klasztornej i wszyscy cisnęli się do niego, aby usłyszeć coś nowego i jeśli się uda, wcisnąć do klasztoru, który był dotąd zamknięty.

— Cofnijcie się, drodzy współobywatele! — zaczął pan Corillou. — Nie wolno nikomu wejść do klasztoru, dopóki panowie z sądu nie zbadają i nie potwierdzą tego co my dzisiejszej nocy — ba, była ona najokropniejsza w moim życiu! — w szczytnej służbie sprawiedliwości po poszukiwaniach, odkryliśmy. Mówiłem „my”, współobywatele, gdyż i ja skromnym swym udziałem przyczyniłem się do tego, że niewinność będzie pomszczona, a zbrodnia ukarana. Pan mer — nie ma człowieka świetlejszego, jak nasz mer i nasza wioska dumna z niego może być! — Otóż on obstawał przy tym, abym i ja umieścił swoje skromne nazwisko pod oskarżeniem i rzec nawet mogę, prowadzi całe gniazdo

tych wilków w owczych skórach pod nóż gilotyny. Gdyż jeśli nasz proboszcz, jeden z lepszych w kraju, zdolny był do tego, o pomstę wołającego krwawego czynu, czego można się spodziewać po innych księżach? Ale dobrze się stało, że właśnie teraz, przed wyborami ujawniliśmy ten czyn haniebny i zdarliśmy zasłonę obłudy, w jaką stroił się klerykalizm. Departament, cała Francja niech słyszy o tym i niech się oburza. Światło, które wznieciliśmy tutaj, w S-te Victoire, niechaj będzie jak morska latarnia dla naszej ojczyzny, a w jej promieniach niech odbijają się słowa wielkiego naszego Gambetty: klerykalizm — to wróg! Zdrajcą więc jest względem Francji ten, kto w najbliższych wyborach da swój głos na klerykalnego kandydata. Precz z klerem!

Obrotny język mówcy byłby pracował jeszcze długo, lecz na dziedzińcu ukazali się konni żandarmi i personel sądowy z Akwizgranu. Policjanci ustawili się po prawej i lewej stronie bramy. Podjechał ekwipaż. Pan Corillou podskoczył otworzyć drzwiczki. Wyszedł pan ubrany na czarno, w niebieskich okularach, z siwym zarostem. Uchylił lekko cylinder, odpowiadając na głęboki ukłon oberżysty i zapytał:

— Czy mam zaszczyt z panem merem?...

— O, nie, — ja nazywam się Corillou, właściciel oberży „Pod Złotą Różą”. Ujrzy pan moje nazwisko pod protokółem, panie sędzio śledczy! Pan mer znajduje się na górze z podejrzanym, a raczej rzeczywistym mordercą. Przekona się pan sędzia, że rzetelnie ułatwiliśmy sądowi pracę. Będę miał zaszczyt wskazać panu sędziemu drogę na górę. Panowie żandarmi zechcą może tymczasem powstrzymać przejęty sprawiedliwym oburzeniem lud, aby nie wkroczył do klasztoru i będą starać się o to, by w słusznym gniewie nie zemścił się na mordercy w sutannie.

Sędziemu śledczemu towarzyszył oficer policji. Nie

odrzekłszy ani słowa na długą przemowę oberżysty, poszli za nim wszyscy do mieszkania proboszcza, gdzie mer przedstawił im siebie i swoich towarzyszy. Potem sędzia śledczy, pan Bartholot, kazał opowiedzieć sobie krótko cały wypadek.

— Sądziliśmy najpierw, że starej damie zdarzyło się jakieś nieszczęście, gdy opuszczała rozległy budynek i dziwiliśmy się tylko, że proboszcz był tak mało pochopny w udzielaniu nam pomocy, kiedy chcieliśmy przeszukiwać korytarze. Dopiero później, kiedy odnaleźliśmy ciało, nasunęło nam się podejrzenie, że winny jest proboszcz, po części z przyczyny dziwnego jego zachowania się, po części dlatego, że nikt inny nie znajdował się w klasztorze podczas zbrodni.

Potem widzieliśmy go, gdy zajęty był potajemnym zmywaniem ogromnych plam krwi ze swej sutanny i zaraz potem znaleźliśmy w kuchni proboszcza koszyk zamordowanej i nóż, którym widocznie zabójstwo zostało dokonane, oraz chustkę, którą został wytarty z krwi.

— Istotnie, ciężkie, bardzo przygniatające dowody winy. Winszuję panu takiego wyniku poszukiwań. Co mówi na to obwiniony?

— Zaprzecza winy, obstaje zuchwale przy swej niewinności. Ma jeszcze odwagę wzywania Boga na świadka. Czy chce go pan zobaczyć? Tu obok strzeże go nasz żandarm.

— Teraz nie. Przeczytamy wpierw z panem oficerem protokół, któryś pan napisał o tym tak owocnym poszukiwaniu. Potem obejrzymy dokładnie miejsce zbrodni i inne miejsca tego budynku. Sprowadzono sądowego lekarza? Dobrze, wysłuchamy jego sprawozdania. A pieniądze, ta zrabowana suma, czy znalazła się także?

— Niestety, nie. Przypuszczamy, że proboszcz ukrył pieniądze w jakimś schowku tego ogromnego budynku.

— To jest możliwe. W każdym razie trzeba przeszukać cały dom jak najdokładniej. Panie Picard, bądź pan łaskaw wziąć się zaraz do tego z jednym ze swych ludzi. My obejrzymy tymczasem miejsce zbrodni i wszystko, co ma z tym związek.

Kiedy sędzia śledczy przeczytał uważnie protokół, zaprowadził go mer najpierw do kuchni i pokazał mu nóż i chustkę, oraz miejsce gdzie były znalezione.

— To bardzo dziwne — rzekł sędzia — że te rzeczy tak źle były schowane. Wygląda, jakby włożono je tak umyślnie, aby były znalezione. Są jednak przykłady, że sprawca zrobił to z myślą, aby móc powiedzieć: nie byłbym przecież tak mało przezorny, żeby się sam zdradzać. Czy proboszcz mówił coś podobnego, kiedy znaleziono ten nóż?

— Nie. Udawał zmieszanego i zapewnił o swej niewinności — odrzekł mer.

Obejrzano pokrwawioną sutannę..

— W jaki sposób tłumaczy proboszcz te plamy? — pytał sędzia, a usłyszawszy odpowiedź mera, powiedział, wzruszając ramionami:

— Jeżeli objaśnienie proboszcza jest prawdziwe, to nie mógł uczynić nic gorszego na swoją niekorzyść! Można było poznać, czy te plamy pochodziły z zakrzepłej krwi; teraz rozpuścił je znowu wodą i trudno będzie dojść, czy to była świeża krew, czy zakrzepła.

Teraz mer zaprowadził sędziego przez ciemny korytarz do pawilonu Marii do oratorium i zauważył, że według świadectwa proboszcza, zamordowana chodziła stale tą drogą, by modlić się przed Najświętszym Sakramentem, a potem schodziła po ciemnych, kręconych schodach na dół. Zapalił świecę i poświecił sędziemu aż do progu zakrystyjnej komórki.

— Tutaj stało się morderstwo! — objaśnił. — Tu,

w tym kącie, za otwartymi drzwiami musiał morderca oczekiwać na swą ofiarę!

— Jak mógł proboszcz przyjść tutaj, kiedy, według jego objaśnienia i pańskiego przypuszczenia, pożegnał się z ofiarą na górze, przed swymi drzwiami?

— W dwojaki sposób: albo głównymi schodami i krużgankiem przez te schody, albo, gdy modliła się w skupieniu w oratorium, przesunął się niedostrzeżony obok niej.

— Mógłby także towarzyszyć jej i napaść w tym najdogodniejszym miejscu. — Jedno jest tylko pewne, że mordu dokonał człowiek, dobrze zorientowany w położeniu tego domu i zwyczajach zamordowanej.

— Poza tym musiał wiedzieć, że nieboszczka pójdzie tą drogą o tej właśnie godzinie i z taką a taką sumą pieniędzy. Któż inny mógł o tym wiedzieć, prócz proboszcza?

— Ma pan rację. Dowody winy są istotnie przygniatające. Proszę, otwórz pan drzwi.

Od progu przyglądał się sędzia śledczy przykrytemu całunem trupowi.

— Naturalnie, to pan kazał przykryć trupa całunem?

— Nie, nie! Właśnie tak znaleźliśmy go i unieśliśmy sukno tylko o tyle, żeby się przekonać o tożsamości pani Blanchard.

— To jest szczególne! Tego by chyba nie zrobił zwykły morderca! W tym zdradza się ręka duchownego! — zawołał sędzia. — Zostaw pan całun, jak był, aż zjawi się lekarz sądowy. A teraz powiedz mi pan, jakie było zachowanie się proboszcza, gdy znaleźliście ciało?

— Zdaje się, iż wspomniałem już o tym panu sędziemu, że prowadził nas najpierw inną drogą, pomimo, że wiedział, którędy pani Blanchard zwykle chodziła. Dopiero na nasze wyraźne żądanie raczył nas tutaj za

prowadzić, rzucił przy tym dziwnie bojaźliwe spojrzenie na drzwi — tego pewien jestem, gdyż właśnie to spojrzenie skłoniło mnie do ich otworzenia — i w tej chwili zgasła lampa.

— Czy zdmuchnął światło?

— Nie, przynajmniej nie zauważyłem tego. Sądzę, że przeciąg był przyczyną. Wszystkich nas jednak uderzyło to, że natychmiast poznał, rzuciwszy jedno tylko spojrzenie, czyje to było ciało, gdy my dojrzeliśmy jedynie całun. Potem przykląkł zaraz, nie czekając na światło, tu przy trupie i udawał zamodlonego.

— Zdaje się, że istotnie klęczał w zakrzepłej krwi, wobec tego wydaje się prawdziwym jego wyjaśnienie co do krwawych plam. — Ale oczywiście nie dowodzi to jeszcze jego niewinności! Tymczasem zamknij pan komórkę. Pójdziemy z powrotem na górę.

Podczas gdy szli po schodach, sędzia śledczy pytał, czy jest zupełnie pewien, że w domu, w czasie zbrodni, nie było zakrystiana. Mer oświadczył, że to jest dowiedzione i potwierdzone przez samego nawet proboszcza. — Kto mógł być jeszcze w klasztorze w tym czasie, a więc między 10 a 11 godziną? — Nikt, prócz proboszcza i zamordowanej. Starą Zuzannę, służącą, odesłał proboszcz jeszcze przed przybyciem pani Blanchard pod pozorem, że jest chory i chce się położyć i przyjść miała dopiero na drugi dzień. Stary Jacques, który w nieobecności zakrystiana dzwonił w południe na Anioł Pański, przyszedł do klasztoru na kilka minut przed 12-tą, a więc w czasie, kiedy czyn był już popełniony i zaraz opuścił klasztor.

— Jeżeli rzeczywiście da się to udowodnić — mówił sędzia śledczy — to już to samo w sobie jest ważnym dowodem winy. Przesłucham służącą i człowieka, który dzwonił na Anioł Pański; niech pan każe zawołać ich natychmiast. Gdybyśmy mogli jeszcze odkryć motyw,

powód, jaki popchnąć mógł proboszcza do tego czynu. Zemsta, zazdrość lub coś podobnego, nie może tu wchodzić w rachubę — jedynie mogłaby nim być ta wielka suma pieniędzy. Czy proboszcz uchodzi za chciwego?

— Przeciwnie. Muszę mu oddać sprawiedliwość, że jest względem chorych i biednych dobroczynny, nawet ponad swoje środki.

— Hm, może go to właśnie wprowadziło w przykre długi?

— O tym nic nie wiem. Ale jest on biedny, ma matkę też biedną i od dawna chciał ją wziąć do siebie. W niedzielę była tutaj i dopiero w poniedziałek rano — w istocie zaledwie w godzinę przed morderstwem — powróciła do Akwizgranu, gdzie żyje w nieszczególnych warunkach. Hm, przychodzi mi coś na myśl...

— I mnie — przerwał mu żywo sędzia. — Przecież to ona mogła zabrać ze sobą pieniądze do Akwizgranu i na próżno ich tutaj szukamy.

— Myślałbym tak, gdyby nie było kwitu, podpisanego przez nieboszczkę!

— Taaak? Kazał więc sobie nawet kwit wystawić? To czyni tę sprawę jeszcze wyraźniejszą. Podpis łatwowiernej osoby otrzymać mógł łatwo jakimś fortelem, np. mógł jej powiedzieć: pieniądze mam schowane w pewnym ukryciu w zakrystii i wypłacę je tam na dole. Pan mi mówił, że kręcone schody wiodą także do zakrystii? Więc pani Blanchard, żeby nie wracać, podpisała na górze kwit, a w drodze do zakrystii, zamiast pieniędzy, otrzymała pchnięcie nożem. Co pan mówi na to przypuszczenie?

— Podziwiam pańską przenikliwość, panie sędzio. To bardzo prawdopodobne, tak musiało być!

— Doświadczenie, tylko doświadczenie, drogi merze! Gdy ktoś jest na urzędzie tak długo, jak ja, ten poznaje wszystkie sztuczki zbrodniarzy. A więc, dzięki pań-

skiej doskonałej pomocy, mamy to, co ja nazywam „operacyjną podstawą śledztwa”. Na tej podstawie teraz budować będziemy. Przede wszystkim należy wysłać do Akwizgranu telegram, aby policja miała baczne oko na ową panią Montmoulin. Pan zna zapewne adres?

— Niestety, nie znam. Nie wiem też, kto by go tutaj miał, prócz proboszcza.

— No, to on nam powie. Teraz jeszcze, dla formy tylko, przesłuchamy służącą i tego człowieka, który dzwonił na Anioł Pański, potem przyjdzie kolej na obwinionego.

ROZDZIAŁ XI
Śledztwo.

W czasie tej rozmowy, sędzia śledczy wraz z merem przeszli długi korytarz i stanęli przed mieszkaniem proboszcza. Oczekiwał ich tam pan Corillou i oświadczył, że ma zaszczyt prosić na małe śniadanko, przygotowane w znajdującym się pokoju obok. Zapewe wobec tak nagłego wyjazdu, pan sędzia śledczy nie miał czasu się posilić.

— W istocie zdążyłem zaledwie wypić filiżankę kawy i zaraz po skończeniu śledztwa skorzystam z pańskiego uprzejmego zaproszenia. Teraz jednak zabierzemy się do sprawy. Nie można wysyłać zbyt późno telegramu do Akwizgranu — dodał, zwracając się do mera. Dał się jednak namówić na szklankę madery i kawałek zimnego kurczęcia, a tymczasem zawołano starego Jacquesa i Zuzannę.

Stary przyszedł na kilka minut przed 12-tą, zadzwonił i zaraz wrócił do domu, jak tego dowieść może; nie widział i nie słyszał nic — to ostatnie było bardzo zrozumiałe ze względu na jego głuchotę. Nie widział

zakrystiana Losera i nic o nim nie słyszał, zresztą już nigdy w życiu nie wyświadczy mu takiej przyjacielskiej przysługi, kiedy za to ma ambaras z policją, a w końcu może jeszcze trzeba będzie iść do sądu do Akwizgranu.

Zuzannę musiał żandarm przyprowadzić gwałtem przed sędziego śledczego i z początku nie można było wydobyć z niej jednego rozsądnego słowa. Tak biadała i płakała, kryjąc twarz w fartuchu, że kamień wzruszyć by mogła. Nagle odjęła fartuch od oczu i krzyknęła na mera i sędziego, jak można było jej, siedemdziesięcioletniej, nieposzlakowanej kobiecie, uczynić taki wstyd, żeby ją przez żandarmów sprowadzać! Może w końcu uważają ją za zabójczynię biednej pani Blanchard? Niech to powiedzą, nic by jej już nie zdziwiło, jeśli uważają za zbrodniarza tak dobrego, świątobliwego, świętego nawet człowieka, jak ks. proboszcz! Tak, jakie to teraz czasy! Ale to pochodzi stąd, że ma się w gminie mera, który nie spełnia obowiązków religijnych, który — no, już ona więcej nie powie, niech spytają jego żonę! Potem z napadu gniewu biedna starowina przeszła znów do płaczu i na nowo ukryła oczy w fartuchu.

Gdy stara występowała tak energicznie przeciwko merowi, sędzia z trudem tłumił uśmiech i kiwnął na mera, aby pozwolił jej się wygadać. Potem udzielił nagany żandarmowi, że ośmielił się wystąpić tak niegrzecznie wobec czcigodnej panny Zuzanny. To nieco podziałało. Potem wytłumaczył jej, że właśnie dlatego ją zawołano, aby odwrócić podejrzenie od proboszcza; powinna zatem w interesie jego odpowiadać na zadawane pytania.

Uczyniła to chętnie i poświadczyła, że już rano noża nie było, że przed 10 godziną proboszcz powiedział jej, iż jest chory, chce spocząć i ona nie potrzebuje przy-

chodzić więcej tego dnia; że opuszczając klasztor, spotkała panią Blanchard i odtąd nic o niej nie słyszała, aż dopiero wieczorem przyszła Joasia i wystraszyła ją wiadomością, że pani Blanchard nie powróciła jeszcze do domu.

— Co pani odpowiedziała Joasi?

— Jezus, Maria! — zawołałam — musiał ją spotkać wypadek!

— Skąd przyszło to pani na myśl?

— Bo ksiądz proboszcz powiedział mi, że ma zabrać od niego wiele pieniędzy, przeznaczonych na budowę szpitala.

— Czy jeszcze ktoś wiedział o tym, że pani Blanchard ma w tym czasie zabierać z klasztoru pieniądze?

— Nie, nie, co pan myśli? Sądzi pan, że ja jestem plotkarką? — Nie zna mnie pan! Nie powiedziałam o tym żywej duszy!

— Ale pani widziała, jak pani Blanchard wchodziła do klasztoru? Która godzina mogła wtedy być?

— To mogę powiedzieć na pewno. Właśnie biła 10-ta. Pozdrowiła mnie i zapytała, czy ks. Montmoulin jest sam, a ja odpowiedziałam:

— Samiuteńki! — Bo matki jego już nie było.

— Czy jego matka miała w ręku jakąś torbę, lub koszyk, gdy odchodziła?

— Tak, proboszcz dał jej torbę; zdaje mi się, że tam była bielizna, którą wzięła do reperacji.

— Czy torba była ciężka, czy też lekka?

— Tego nie wiem. Chciałam znieść ją ze schodów, ale nie puściła jej z ręki.

Sędzia śledczy spojrzał na mera.

— Może pani wie, gdzie mieszka matka czcigodnego proboszcza?

— Wiem, w Akwizgranie, rue de la Colombe. Nu-

meru nie wiem. Ona ma sklepik wełnianych towarów na lewo, jak się idzie z rynku. Może pan zechce kupić tam sobie skarpetki?

— Być może, że załatwię z nią jakiś interes — rzekł sędzia, notując pośpiesznie adres. Potem zapytał znów:

— Pani mówiła, że proboszcz był sam w klasztorze, wtedy, gdy pani Blanchard szła do niego. Czy pani jest tego zupełnie pewna?

— Zupełnie.

— Nie było więc wtedy zakrystiana?

— Nie było; ten nicpoń jechał w niedzielę do Marsylii i jeszcze nie powrócił.

— A więc, panno Zuzanno, jak pani sądzi? Jeżeli w całym klasztorze znajdował się tylko ks. proboszcz z ową starą damą, na kogóż spaść ma podejrzenie popełnienia zbrodni?

— Tego nie wiem! W każdym razie nie na księdza proboszcza, który jest tak świątobliwym człowiekiem.

— Tak, ale na kogóż tedy? Przecież pani Blanchard nie mogła się sama zabić i obrabować?

— Z pewnością nie. To była taka pobożna i bogobojna kobieta, że nigdy by tego nie uczyniła. Prędzej uwierzyłabym, że to zrobił sam diabeł, albo inny jakiś łotr, którego diabeł z łatwością mógł przynieść i znowu odnieść, byle tę straszną historię zwalić na głowę biednego proboszcza.

Wszyscy roześmiali się na to, oczywiście mało prawdopodobne wyjaśnienie starej Zuzanny. Ta jednakże nie przyjęła śmiechu zbyt łaskawie i zapytała:

— Co tu jest do śmiechu? Czy to coś nadzwyczajnego, że diabeł ludzi porywa? Chrześcijanin powinien się przerazić, zamiast śmiać! A pan mianowicie, panie burmistrzu, nie ma bynajmniej powodu do śmiechu. Pan nie wierzy wprawdzie w diabła, wcale się jednak nie będę dziwiła, gdy pana kiedyś porwie!

— Brawo, brawo, panno Zuzanno! Ha, ha, ha! — wołał korpulentny doktor Corbillard, który wszedł właśnie w chwili, gdy gospodyni wygłaszała swą apostrofę i trząsł się cały ze śmiechu. — Brawo, powiedz prawdę staremu grzesznikowi! Nigdy bym nie przypuszczał, że z was taka mówczyni. Stary Ciceron niedołęgą jest wobec was. Gdyby klerykałowie choć trochę byli rozumniejsi, posłaliby was do Paryża, do Izby. Sądzę, że wysłalibyście do diabła wszystkich tych nicponiów liberałów! — Ale nie róbcie sobie z tego nic moi panowie! Mam honor stawić się do dyspozycji sądu!

— Nasz doktor, pan Corbillard — przedstawił dosyć gniewnie mer, a tymczasem dano Zuzannie do zrozumienia, że już jest niepotrzebna.

— Hm, panie doktorze, mógł pan doprawdy przyjść wcześniej.

— Nie mogłem. Moja zasada jest taka: najpierw żywi, którym można jeszcze pomóc, a potem umarli. którzy zresztą czekają cierpliwiej, niż pan, panie merze. Równocześnie z pańskim zaproszeniem, otrzymałem pilne wezwanie do chorego, w górach. Zajęło mi to dużo czasu, dopiero teraz stawiam się do dyspozycji i oddaję zupełnie na pańskie usługi.

Dokonano zaraz oględzin ciała. Okazało się, że istotnie nóż ks. Montmoulin pasował dokładnie do śmiertelnej rany. Znaleziono jeszcze pod ciałem świecę z lichtarzem, które jak nam już wiadomo, upuścił siostrzeniec księdza ze strachu przed namalowaną na całunie trupią głową. Poznano, że lichtarz jest własnością proboszcza i sędzia śledczy potraktował ten dowód jako potwierdzenie swego przypuszczenia, że pod pozorem wypłacenia jej pieniędzy w zakrystii, kapłan prowadził zamordowaną korytarzem i kręconymi schodami, aż do miejsca, gdzie mu było najdogodniej zbrodnię spełnić.

— Mamy teraz cały łańcuch dowodów — mówił z zadowoleniem sędzia. — Od razu zarzucimy nimi oskarżonego i dziwiłbym się, gdyby się nie przyznał.

Pan Bartholot udał się więc do mieszkania proboszcza i zasiadłszy wraz z sądowym pisarzem za stołem, kazał przyprowadzić oskarżonego.

* *
*

Wyczerpany przejściami poprzedniego dnia i nocy, ks. Montmoulin aż do rana pogrążony był w głębokim śnie. Kiedy zbudzony zgiełkiem, jaki czynili na dziedzińcu zebrani ludzie, podniósł się nareszcie z łóżka, pewien był, że to wszystko było tylko przykrym snem. Chciał się wyprostować z westchnieniem ulgi, kiedy ujrzał siedzącego żandarma, który mu się przyglądał, a na umywalni miednicę, pełną krwistej wody.

— A więc to jest prawda, a nie przykry sen! — zawołał żałośnie i w myśli przesunął mu się szereg strasznych wydarzeń ubiegłej nocy — spowiedź Losera, rewizja, znalezienie ciała i skrwawionego noża. Z drżeniem spojrzał w przyszłość. Uwięziono go z powodu silnego podejrzenia, że popełnił ohydne morderstwo; wkrótce odprowadzą go do więzienia, jak zwykłego zbrodniarza, w biały dzień, na oczach parafian. Słyszał już hałas, jaki czynił tłum pod jego oknami. Co za udręczenie! Co za hańba! Widzi się potem stojącym przed sądem, a na okropne oskarżenie może tylko odpowiedzieć gołosłownym twierdzeniem, że jest niewinny. Czy mu uwierzą? Nie śmie nawet mieć tej nadziei. A więc musi paść słowo: „Winien” — ze strony przysięgłych, a sędziowie wydać muszą wyrok śmierci. Z drżeniem zgrozy widzi już rusztowanie gilotyny!

Ks. Montmoulin nie byłby człowiekiem, żeby go te obrazy nie poruszyły do głębi.

— Gdyby to mnie tylko dotknął ten smutny los — myślał — ale dotknie on i moją biedną matkę i siostrę i wielkim będzie zgorszeniem dla mojej parafii a nawet poza jej granicami.

Raz jeszcze przemyślał wszystko. Musiał przyznać, że wyznanie Losera, chociaż z bojaźni jedynie, jednakże uczynione było w zamiarze otrzymania sakramentalnego rozgrzeszenia i skutkiem tego było istotną spowiedzią. Pod żadnym więc warunkiem nie wolno mu było nic z tego powiedzieć. I tego nawet nie mógł zeznać, że wczoraj wieczorem Loser się spowiadał. W tych okolicznościach równało by się to rzuceniu na niego podejrzenia. Czy nie mógłby jednakże chociaż tego powiedzieć, że widział Losera wczoraj wieczorem? Przecież istotnie widział go, zanim się dowiedział, że ten chce się spowiadać, a sam fakt widzenia nie należy do tajemnicy spowiedzi. Z drugiej strony jasnym było, że wzmianka o widzeniu Losera byłaby wielkiej wagi ze względu na własną obronę. Jednakże na pytanie, czy widział zakrystiana od niedzieli, odpowiedział: nie, gdyż był tego zdania, że tylko z powodu spowiedzi Loser przyszedł do niego i sądził, że już samym tym zeznaniem naraziłby swoje święte zobowiązanie. I teraz więc postanowił wytrwać przy tym.

— Gdyby mi nawet jeszcze wczoraj wieczorem wolno było zdradzić powrót Losera, to jednak dzisiaj nie mogę już odwoływać tego, co powiedziałem. Takie odwołanie mógłbym tylko tym wytłumaczyć, że byłem zdania, iż mi moje sumienie zabraniało zeznać o powrocie zakrystiana. To by pośrednio nasuwało przypuszczenie, że był on u mnie w celu spowiedzi i rzucałoby podejrzenie na jej treść. Zresztą, prawdopodobnie i to nie zdjęłoby ze mnie podejrzenia o morderstwo. Przeciwko mnie przemawiają takie dowody, jak: nóż, koszyk, moja sutanna skrwawiona i inne okoliczności.

Wszystko zależy od tego, czy sędzia uważać będzie mnie, nieskazitelnego dotąd człowieka, za zdolnego do tego czynu. Ale on uzna mnie winnym. Przecież byłem jedynym człowiekiem, który w czasie przestępstwa widział Losera w S-te Victoire, wziąłby więc moje zeznanie za kłamstwo, popełnione w tym celu, aby podejrzenie o morderstwo zrzucić na niewinnego człowieka. Kto uważa kapłana za zdolnego do zbrodni, to może mu tym bardziej zarzucić kłamstwo. Jeśli ktoś inny nie dowiedzie, że Loser był tu podczas morderstwa, to bez wątpienia, jako ofiara tajemnicy spowiedzi, wypić będę musiał do dna cały kielich hańby.

Różne, przypomniane sobie teraz okoliczności przygniotły swym ciężarem znękaną duszę biednego kapłana.

Na przykład, jakie rzuci na niego niekorzystne światło zmieszanie, okazane wobec przybycia mera oraz przy znalezieniu ciała, zmieszanie, którego nie mógł opanować? Czyż nie mógłby przynajmniej wyjaśnić tej fatalnej okoliczności powiedzeniem:

— Tak, wiedziałem o morderstwie, ale tylko ze spowiedzi!

O ile przez to nie byłaby podana w podejrzenie, albo wprowadzona w przykre położenie jakaś osoba, to nie byłoby to przecież naruszeniem tajemnicy spowiedzi. Czyż jednak nie byłoby przeciwnie? Kiedy morderstwo zostało popełnione, jeden tylko Loser spowiadał się u niego i on jeden tylko był u niego. Gdyby więc odkryto za pomocą poszukiwań, albo jakimś przypadkiem, że Loser był u niego, to przyznanie się, że wie o zabójstwie dzięki samooskarżeniu spowiadającego się, równe byłoby zeznaniu: ten spowiadający się, ten jedyny, który u mnie był, Loser, wyznał mi na spowiedzi swoje przestępstwo. Nie, to jest jasne jak słońce: za

nic w świecie nie wolno mu usprawiedliwiać się, że wiedział o zabójstwie ze spowiedzi. Nie ma dla niego żadnego wyjścia!

Jedno jeszcze przyszło na myśl ks. Montmoulin; zakrystian zaszedł go niespodziewanie w chwili, gdy w niedzielę po południu liczył ową sumę pieniędzy. Może o tym chociaż mógłby wspomnieć sędziemu śledczemu, gdyż to nie miało związku ze spowiedzią. Ważna ta okoliczność powinna zwrócić uwagę na mordercę.

Kapłan byłby na pewno poruszył tę kwestię, gdyby nie to, że później Loser się spowiadał. Teraz i tej usprawiedliwionej wskazówki nie uważał za stosowne udzielić sędziemu.

— Mógłby sądzić, że to dopiero spowiedź nasunęła mi to podejrzenie. Nie, nie, nie mogę dać żadnego powodu do podejrzenia Losera, a tym samym obudzenia wątpliwości co do sumiennego przestrzegania tajemnicy spowiedzi. Lepiej umrzeć, niż to zasugerować!

Powziąwszy takie heroiczne postanowienie, kapłan uspokoił się nieco. Zabrał się do odmawiania porannych modlitw i do brewiarza.

Żandarm, który nie spuszczał oka z proboszcza, dziwił się, że ten modlił się w spokoju i ze skupieniem, pomimo, że z dziedzińca dochodziła wrzawa zebranego tłumu, wśród którego rozróżnić można było pojedyncze głosy, domagające się śmierci „klechy”.

Dziwna rzecz — myślał żandarm — gdybym nie widział krwawego noża własnymi oczyma, uważałbym go za niewinnego. Ale cóż! Zawsze mi mówiono, że księża, to urodzeni obłudnicy! — Wypluł przeżuty tytoń i nabrał w usta nowy zapas.

Nareszcie koło godziny 10-tej wezwano ks. Montmoulina do sędziego śledczego. Przyjął go dość uprzejmie i wskazał miejsce naprzeciw siebie. Po zwykłych

pytaniach o nazwisko, datę urodzenia itp., co notowane było zaraz przez pisarza, sędzia rzekł:

— Nie potrzebuję wyjaśniać smutnej okoliczności, która mnie zmusza badać ks. proboszcza, gdyż jest mu ona wiadoma. Również zwolni mnie ksiądz zapewne od przytoczenia ważnych dowodów, usprawiedliwiających podejrzenie, które wstępne badania ujawniły natychmiast, a które, niestety, obciążają ks. proboszcza. Daję więc księdzu przyjacielską radę, aby przyznał się od razu, gdyż to jest jedyna droga, aby uniknąć kary śmierci!

Ks. Montmoulin podziękował sędziemu za uprzejmość i zapewnił o swej niewinności.

— Niestety, twierdzenie to nader mało księdzu pomoże wobec niezbitych dowodów, — mówił dalej p. Bartholot surowszym już tonem. — Mamy dowody, że wczoraj o tej godzinie — właśnie o 10-ej — przyszła pani Blanchard do proboszcza, by zabrać od niego dużą sumę pieniędzy. Jak ksiądz wyjaśni jej zabójstwo o tej porze, w której tylko ksiądz i ona znajdowaliście się pod tym dachem?

— Czy to jest stwierdzone, że tylko ja sam i ona znajdowaliśmy się pod tym dachem?

— Z pewnością. Co więcej: jedyną osobę, która mogłaby przeszkodzić, — swoją służącą — odesłał ksiądz bardzo przezornie do domu z rozkazem, aby nie przychodziła przed ranem.

— Źle się czułem.

— Hm, można wnosić, że w takim razie ksiądz tym więcej potrzebował jej usług.

— Byłem tylko bardzo zmęczony i potrzebowałem spokoju.

— Tymczasem wieczorem o 10-tej proboszcz był jeszcze na nogach! — Ale mniejsza o to, przyjmujemy tę wymówkę. W każdym razie służącej nie było tu

w czasie zabójstwa. Również zakrystiana, któremu proboszcz dał wczoraj wieczorem urlop — a może sam go ofiarował? Ksiądz sam przyznał, że o ile mu wiadomo, ten nie powrócił.

Odpowiedź: mógł on powrócić bez mojej wiedzy, cisnęła się na usta proboszcza. Jednak obawa, że mogłoby to może trącić o spowiedź, wstrzymała go od tej dozwolonej zresztą uwagi, że przecież mógłby się ktoś wślizgnąć do klasztoru potajemnie.

— Tego czynu nie mógł spełnić pierwszy lepszy złoczyńca — nacierał sędzia. — Ten, kto to uczynił, musiał znać dokładnie miejscowość i przede wszystkim wiedzieć o tym, że pani Blanchard ma odebrać pieniądze o oznaczonej godzinie i sama (nie odprowadzana przez proboszcza) pójdzie przez kręcone — jeśli oczywiście opowiadanie księdza jest ścisłe. Ja wyobrażam to sobie nieco inaczej. A teraz proszę mi jeszcze jedno powiedzieć: skąd mógł mieć ktoś obie te potrzebne do spełnienia czynu wiadomości? Czy ksiądz wspominał komuś, że pomiędzy 10-tą a 11-tą godziną pani Blanchard pójdzie sama z pieniędzmi tą boczną drogą?

— Ja sam nie wiedziałem o tym! — zawołał proboszcz.

— I chciałby mi ksiądz wmówić, że wiedział to jakiś przybyły ze świata rabuś? Albo też ksiądz kogoś podojrzewa?

Gdyby nie wzgląd na spowiedź, byłby zapewne kapłan powiedział, że zakrystian mógł powrócić z udanej podróży, czatować na swą ofiarę i zamordować ją. Teraz nie mógł tego powiedzieć, odrzekł więc, że nie odważy się rzucić na nikogo podejrzenia.

— A w jaki sposób wyjaśni ksiądz znalezienie w kuchni pokrwawionej chustki, noża i koszyka zamordowanej? Może proboszcz powie, że zbrodniarz uczynił to w tym celu, aby na niego rzucić podejrze-

nie? Czyż jednak nie wystarczyłoby już to, że mając nóż proboszcza, pozostawiłby go przy trupie? Dlaczego ktoś obcy, zamiast uciekać czym prędzej ze zdobyczą, nosił te wszystkie przedmioty do kuchni, narażając się na to, że może go zobaczyć ksiądz, lub ktoś inny?

— Nie umiem tego wytłumaczyć, a jednak tak być musiało.

— Tą odpowiedzią nie zadowoli się żaden sąd. Jeszcze jedno! Zna ksiądz ten lichtarz? — Mówiąc to, pan Bartholot wyciągnął nagle lichtarz, upuszczony przez małego Karolka.

— Oczywiście — odrzekł ks. Montmoulin.— Używałem zawsze tego lichtarza przy odprawianiu mszy św.; wczoraj rano nie mogłem go znaleźć.

— Tak, jak noża! — A wie proboszcz, gdzie go znaleziono? — Pod ciałem zamordowanej!

Ks. Montmoulin zbladł. Zrozumiał, że dowodów, świadczących przeciwko niemu, zebrało się więcej, niż sam z początku myślał. Mimo woli łza stanęła mu w oku i odparł drżącym głosem:

— Nie mogę zaprzeczyć, że wszystkie pozory świadczą przeciwko mnie, ale mimo wszystko, jestem niewinny. Bóg jest moim świadkiem!

— W swoim własnym interesie lepiej by ksiądz uczynił, gdyby przyznał się od razu do winy, jak mu to już radziłem, zamiast usiłować wyprowadzić mnie w pole teatralnym wystąpieniem — rzekł ostro sędzia. — Takie sceny nie działają na mnie. Jeszcze raz pytam: przyznaje się ksiądz, czy nie?

— Mogę tylko powtórzyć, że jestem niewinny. Na miłość boską! Jaki miałbym powód popełnić taką zbrodnię!

— To jest istotnie psychologiczna zagadka, nie tak jednak trudna do rozwiązania, jak się wydaje. Ksiądz jest biedny, potrzebuje książek, sądząc po jego skrom-

nej bibliotece i zamówieniu, zrobionym zaraz po zabójstwie, które znalazło się na biurku. Proboszcz chciał urządzić pokoje dla matki; ta matka jest niezamożna, jak mi mówiono. Nadarza się sposobność przyjścia z pomocą matce, a może i innym również — i oto ulega ksiądz pokusie! Widzi ksiądz, myśl, że spełnił on ten straszny czyn dla matki, łagodzi nieco jego doniosłość i obiecuję, że jeśli ksiądz przyzna się teraz otwarcie, to ze względu na tę okoliczność, traktować będę tak jego, jak i matkę z łagodnością, na jaką tylko może prawo pozwolić.

— Moja matka! — zawołał blady z przerażenia ks. Montmoulin — Jak można rzucać na moją matkę choćby tylko cień podejrzenia!

— Jeżeli pieniądze nie znajdą się tutaj, to przekonany jestem, że matka proboszcza musiała je zabrać ze sobą. W każdym razie będzie też uwięziona, jako przypuszczalna wspólniczka.

— Na miłość boską! Miejcie litość! To byłaby dla niej śmierć! — błagał kapłan.

Ale sędzia odrzekł niewzruszenie:

— Niech się proboszcz przyzna, a postaramy się oszczędzić, o ile się da, jego matkę — inaczej, każę ją uwięzić. Księdza zabierzemy do Akwizgranu w zamkniętym powozie, jeśli jednak ksiądz będzie się upierał i nie przyzna się do winy, traktowany być musi, jak najgorszy zbrodniarz. Proszę nie liczyć na to, że uwzględnię stan kapłański! Ksiądz, który popełnił taki czyn, dziesięć razy więcej zasługuje na hańbę, niż inny morderca!

— Powtórzyć tylko mogę, że jestem niewinny, a resztę zdaję na Boga — odrzekł ks. Montmoulin z godnością.

Sędzia wzruszył ramionami, kazał pisarzowi przeczytać protokół i dał go do podpisania oskarżonemu. Ka-

płan miał takie wrażenie, jakby podpisywał własny wyrok śmierci.

Potem pan Bartholot wezwał żandarma i przekazał mu więźnia ze słowami:

— Proszę mu nałożyć kajdanki.

Z rezygnacją wyciągnął nieszczęsny ręce, ale dotkliwy ból odbił się w jego rysach, kiedy stalowe łańcuszki, dźwięcząc przykro, zacisnęły się dokoła nich. Spojrzał na krucyfiks, szukając w nim otuchy. Do pokoju wkroczył mer i jego towarzysze.

— Zadanie nasze jest na razie skończone — rzekł sędzia śledczy. — Z pomocą pana mera, którego bystrości i energii zawdzięczamy tak prędkie zdemaskowanie mordercy, przeszuka pan oficer policji dom do końca i prześle do sądu listy oskarżonego.

— Tymczasem powinno się zaraz odwieść aresztowanego pod silną strażą do Akwizgranu. My pośpieszymy pierwsi, aby zatrzymać też jego matkę. — Panie merze, to zbyteczne starać się o zakryty powóz dla więźnia, nie zasługuje on na takie względy i lepiej, gdy lud zobaczy, że sprawiedliwość nie czyni dla księży żadnych wyjątków.

— Myślę zupełnie tak samo, panie sędzio — odrzekł z ukłonem mer i wydał odpowiednie rozkazy. Na próżno dobroduszny dr Corbillard próbował protestować przeciwko tak surowym zarządzeniom.

— Nie jestem wcale przyjacielem księży — mówił — muszę jednak wystawić proboszczowi świadectwo, że wobec wszystkich biednych i chorych występował humanitarnie i po ludzku. Trudno mi uwierzyć w jego winę, pomimo, że wszystko przeciw niemu świadczy. Zresztą nie jest ona jeszcze dowiedziona i zanim to nastąpi, nie powinno się chyba traktować go, jak zbrodniarza.

— Jak go należy traktować i czy dowiodłem mu wi-

ne, lub nie, to zechce pan doktor mnie pozostawić — odrzekł chłodno sędzia.

— Otóż to! — zawołał gniewnie korpulentny doktor. — Wystawienie księdza na widok publiczny to tylko manewr wyborczy przeciwko klerykałom.

Mer i pan Bartholot odparli z oburzeniem zarzut, jakoby mieli na myśli wybory i obstawali przy swoim zarządzeniu.

Doktor pokazał im swoje szerokie plecy i mrucząc pod nosem, opuścił pokój. Na progu odwrócił się jeszcze i rzekł do więźnia:

— Księże proboszczu, nie chodziłem na twoje kazania i nie męczyłem przy konfesjonale, zawsze jednak szanowałem, jako dobrego człowieka i nie wierzę, żebyś był zdolny do takiej ohydy. Księże, głowę do góry! Jeśli jest Bóg, to On księdzu dopomoże!

— Dziękuję, panie doktorze! Bóg ujawni moją niewinność, jeżeli nie przed ziemskim, to przed wieczystym sądem — odrzekł ksiądz Montmoulin.

ROZDZIAŁ XII
W więzieniu.

Tymczasem mer kazał przynieść ciało zamordowanej. Leżała ona teraz na stole w krużganku, a tłum cisnął się tam przez otwartą bramę. Wyśmiewano często panią Blanchard z przyczyny jej gorliwej pobożności, jednakże nikomu nie uczyniła ona nic złego i biedni czcili swoją dobrodziejkę. Toteż łatwo sobie wyobrazić, jaki żal ogarnął biedaków, kiedy ujrzeli zamęczoną poczciwą „matkę Blanchard”, a nie mniejsza od żalu była ich zaciekłość przeciwko mordercy.

— Patrzcie, ten potwór udusił biedną kobietę!

— Udusił i przebił! Widzicie krew, którą suknia przesiąkła?
— Nie, nie, tego nie mógł zrobić nasz proboszcz!
— A kto? To był jego nóż, dowiedziono tego!
— Powinno się poszarpać na kawałki tego łotra!
— Widzicie teraz, co sądzić o klerze! Już póki żyję nie pójdę do żadnego kościoła!
Takie sądy rozlegały się dokoła i kilka tylko głosów odważyło się bronić niewinności biednego proboszcza, albo przynajmniej poddawać w wątpliwość jego winę.
Gdy rozległ się okrzyk: Otóż i on! Prowadzą go! — wszyscy rzucili się naprzeciw żandarmom, którzy mieli obnażoną broń w ręku, aby bronić więźnia przed zemstą tłumu i utorować sobie drogę do bramy. Przechodzili koło ciała. Mimowoli ks. Montmoulin padł na kolana i wzniósł okute dłonie w krótkiej modlitwie.
— Panie, daj jej wieczny odpoczynek, a światłość wiekuista niechaj jej świeci na wieki wieków! — błagał ze łzami w oczach. Chciał jeszcze przemówić do ludzi, gdy nastała chwila spokoju, zaledwie jednak wymówił słowa:
— Kochani parafianie, jestem niewinny! — kiedy przerwali mu główni krzykacze najokropniejszymi obelgami i żandarmi, obawiając się zamieszek, pociągnęli za sobą kapłana do bramy klasztornej.
Stał tam wózek pana Corillou, na którym wożono do Akwizgranu trzodę rzeźnikom. Gdy woźnica ujrzał kapłana w zabłoconej sutannie, zauważył urągliwie, że nigdy jeszcze nie woził do miasta tak marnego ładunku. Takie i tym podobne ordynarne żarty przyjmowane były przez pospólstwo głośnymi oznakami zadowolenia, a tymczasem ks. Montmoulin wraz z żandarmem zajęli miejsce w wózku na snopku słomy.
Gdy koń ruszył, przygnębienie owładnęło kapłanem.
Rzucił jeszcze raz na kościół ostatnie spojrzenie i po-

myślał o kazaniu, jakie dwa dni temu wygłosił o obowiązku dotrzymania tajemnicy spowiedzi, ani przeczuwając, że sam padnie jej ofiarą. Po czym oko jego spoczęło na tłumie. Poza kołem największych krzykaczy, otaczających wózek, dojrzał tu i ówdzie zasmucone oblicza ludzi, którzy byli zmieszani i wystraszeni i nie śmieli odezwać się głośno, że wierzą w niewinność proboszcza.

Pomyślał kapłan, że tak samo musiało być wówczas, gdy w Jeruzalem prowadzono związanego Jezusa od Kaifasza do Piłata i wspomnienie to dodało mu siły. Przymknął oczy i błagał cierpiącego Zbawiciela o pomoc i wytrwanie, a wózek toczył się tymczasem wyboistą, wiejską ulicą. Raz tylko kapłan otworzył oczy, gdy mijając szkołę, usłyszał mieszające się z krzykami tłumu chłopięce wołania:

— Morderca! Morderca!

Było to jakby uderzenie nożem w serce. Proboszcz obejrzał się na nich ze smutkiem i wzrokiem tym przywiódł ich do milczenia. Równocześnie jednak ujrzał gromadkę chłopców, stojących na schodach szkoły, którzy patrzyli nań ze łzami w oczach i milczące to współczucie było prawdziwym balsamem dla jego duszy.

Przeszło nareszcie najgorsze — wózek minął wieś i toczył się teraz drogą ku miastu. Stopniowo ubywało krzykaczy, którzy towarzyszyli wózkowi daleko, aż za Quatre Bras. Jednakże i dalej spotykano gromadki wieśniaków, dążących na targ do Akwizgranu, a na widok konnych żandarmów i okutego w kajdany kapłana, z pobliskich winnic i sadów zbiegali się ludzie, by przyjrzeć się temu niezwykłemu widowisku.

I znowu usłyszał ks. Montmoulin słowa:

— Patrzcie, patrzcie, ksiądz jakiś pod strażą policji! Ma kajdany na rękach! Mój Boże, co on też zrobił? Czy to nie jest proboszcz z S-te Victoire?

Woźnica był zawsze gotów dać pytającym odpowiedź, kogo wiezie:

— Śliczną historię zmalował ten ksiądz swoim nożem. Tylko mu się przyjrzyjcie — kończył chłopak każde swoje objaśnienie, podczas, gdy żandarmi jechali obok, nie mówiąc ani słowa — przyjrzyjcie się temu łotrowi! Tacy oni wszyscy! No, ten przynajmniej powie niedługo swoje ostatnie kazanie na gilotynie. Żeby tak poszli tam za nim wszyscy jego koledzy.

Tak działo się podczas całej podróży do Akwizgranu — była to prawdziwa droga krzyżowa hańby. W Akwizgranie było jeszcze gorzej. Lotem błyskawicy rozeszła się po mieście wieść, że uwięziono księdza pod zarzutem morderstwa, połączonego z rabunkiem. Otworzyły się wszystkie okna, wszystkie ulice zapełniły ciekawymi, a niezliczone tłumy cisnęły się dokoła wózka, który musiał się wolno posuwać naprzód. Mijali targ warzywny i z powodu tłoku musieli się na chwilę zatrzymać. Czy był to przypadek, czy Boskie zrządzenie, ale zdarzyło się, że matka ks. Montmoulin znajdowała się właśnie na tej drodze, czyniąc jakieś zakupy u przekupki.

— Chwileczkę tylko, matko Montmoulin — rzekła korpulentna przekupka o twardych rysach twarzy. — Zaczekajcie chwilkę, a za to dam wam potem najpiękniejszą marchew. Trzymaj mi krzesło mała, żebym mogła na nie wejść — zwróciła się do wnuczki pani Montmoulin, która niosła koszyk babci. — Tak, dobrze, nie jestem już teraz taka sprawna, jak kiedyś. Właśnie mówiono, że prowadzą jakiegoś proboszcza, który popełnił morderstwo. Faktycznie, jakiem uczciwa kobieta! Ten człowiek z kajdanami na rękach, w towarzystwie żandarma, ma na sobie sutannę! Nie widzisz, mała? Wejdź na stół, ale nie nadepnij na szparagi!

W jednej chwili Julka stała na stole i ujrzała więź-

nia, który blady z zamkniętymi oczyma, siedział na snopku słomy. Dziewczynka spojrzała i krzyknęła przeraźliwie:

— Babciu, to wuj!

Nie pojmując tych słów, stara kobieta zwróciła się także w stronę wózka, który przesuwał się teraz wolno, tuż koło niej. Oczy jej rozszerzyły się z przerażeniem i z okrzykiem:

— Franciszku! Franciszku! — padła na ziemię bez zmysłów.

Usłyszawszy głos matki, ks. Montmoulin zerwał się i błagał żandarmów, aby zatrzymali wózek i pozwolili mu pocieszyć i uspokoić ją kilkoma słowami. Jednakże żandarm, prowadzący konwój, rozkazał, aby jechano dalej wśród krzyczącej i lżącej tłuszczy. Nie zatrzymano się, aż przy drzwiach więzienia. Po spełnieniu zwykłych formalności, zaprowadzono więźnia do dyrektora, który oddał go w opiekę dozorcy więzienia wraz z suchą wzmianką:

— Zabójca i rabuś, wina prawie już dowiedziona. Zaprowadzić tego człowieka do celi numer 11. Pilnować go dobrze.

Odsunęły się zasuwy ciężkich żelaznych drzwi, dzielących właściwe więzienie od skrzydła, w którym znajdowały się biura i pokoje zarządu. Z ciężkim sercem szedł ks. Montmoulin za dozorcą długim gankiem, po którego obu stronach znajdowały się cele. Dozorca otworzył celę nr 11 i kapłan wszedł do środka. Spojrzał na nagie ściany, na zakratowane, a od zewnątrz deską zabite okienko, przez które widzieć było można tylko niebo na szerokość ręki. W celi był mały stolik z drewnianym stołkiem po jednej, a nędzną pryczą z lichym siennikiem z drugiej strony. Zapytał dozorcy, czy nie zdejmie mu chociaż kajdan i nie dostarczy brewiarza, oraz materiałów piśmiennych.

— Kajdany zdejmę — rzekł dozorca, spoglądając na proboszcza badawczo. — Wydajecie mi się spokojniejsi, niż wasz poprzednik, który próbował się zabić, skoro dostał wyrok śmierci. Powiesił się tam, u kraty okna, ale zdążyliśmy jeszcze odciąć go w porę i dostawiliśmy pod gilotynkę. Dyrektor zapewne zezwoli na dostarczenie przyborów do pisania, ale brewiarza i podobnych książek nie mamy i one są też zupełnie zbyteczne.

— Dla mnie nie, gdyż obowiązany jestem odmawiać go codziennie. Bądźcie tak dobrzy uprosić pana dyrektora o brewiarz dla mnie od czcigodnego księdza regensa duchownego seminarium. Mój Boże, jakie on zrobi oczy, gdy się dowie, że Franciszek Montmoulin, siedzi w więzieniu, oskarżony o morderstwo!

— Dobrze, powiem panu dyrektorowi o waszym życzeniu — rzekł dozorca. — I co jeszcze? Nic? Hm, inni mają zwykle całą litanię życzeń, które nie bywają spełniane! A więc tam w kącie stoi dzbanek, napełniłem go świeżą wodą w zeszłym tygodniu; tu, przez ten otwór będziecie dostawać jedzenie. Oczywiście, dopóki jesteście w więzieniu śledczym, możecie brać je z oberży. Ceny są takie: 1 klasa 10 franków, 2 klasa 5 franków, 3 klasa 3 franki dziennie. Którą wybieracie?

— A ile kosztuje zwykła, więzienna zupa?

— Ta musi być dostarczona darmo — ale za to jest też dosyć niesmaczna.

— Mniejsza o to, mnie wystarczy. Jestem biedny — dobry człowieku i mam ubogich krewnych. A przy tym strawa więzienna lepiej będzie odpowiadać świętemu postowi, który się właśnie zaczął — odrzekł ks. Montmoulin, z bladym na ustach uśmiechem.

Dozorca spoglądał na więźnia ze zdziwieniem. Potem rzekł:

— Jak chcecie — i zwrócił się ku drzwiom. Nagle zawrócił i zabrał dzbanek.

— To przyniosę wam przynajmniej świeżej wody i kawałek chleba, panie — mruknął gniewny prawie na tę oznakę współczucia, jaką wbrew zwyczajowi budził w nim ten blady kapłan w lichej sutannie.

— To ciekawy okaz zbrodniarza — rzekł do siebie,, zasuwając i zamykając drzwi. — Żaden ze zbrodniarzy, z którymi miałem do czynienia podczas swej dwudziestoletniej służby, nie wyglądał i nie zachowywał się tak, jak ten. A jednak musiał on zbrodnię popełnić, albo przynajmniej są wszystkie po temu poszlaki, inaczej dyrektor nie wsadziłby go do celi nr 11. Hm — codzień można się nauczyć czegoś nowego! Być może, że jest on tylko bardziej szczwany od innych w udawaniu. Strzeż się, Marcinie i nie daj się nabrać na stare lata!

Skoro tylko zamknęły się drzwi za dozorcą, ks. Montmoulin ukląkł i ofiarował Bogu gorzką hańbę, którą w całej pełni znosić musiał od zeszłego wieczoru. Czynił to z dobrą wolą, a jednak czuł przy tym cały bunt natury, która przeciwstawia się wszelkiemu upokorzeniu i niesprawiedliwości. Błagał potem o siłę wytrwania, wychylenia wraz ze Zbawicielem tego kielicha goryczy do samego dna i zniesienia wszystkiego, niż naruszenia choć w małej części świętego obowiązku kapłańskiego, który zaprowadził go do więzienia. Modlił się tak czas dłuższy na kolanach i uczuł nareszcie, że spokój wrócił do jego duszy.

— Nie mogę postępować inaczej, muszę wszystko zdać na Boga, a On obróci to na dobre. W Tobie, Panie, pokładam nadzieję; nie będę na wieki pohańbiony!

W ten sposób pokrzepiwszy serce, śmiertelnie znużony kapłan położył się w ubraniu na twardym posłaniu i z wyczerpania zapadł wkrótce w głęboki sen. Gdy zbudził się, w celi było już prawie ciemno. Widocznie w tym czasie dozorca wchodził do celi, gdyż na stole leżały przybory do pisania, a obok stał dzbanek ze świeżą wodą, nakryty kawałkiem chleba. Znalazł też miseczkę z zupą i kawałkiem mięsa, wszystko to już zimne, widocznie stało dość długo.

Zjadł nieco mięsa i chleba, odmówił różaniec, który mu na jego prośbę przy osobistej rewizji pozostawiono i długo jeszcze chodził po celi, rozważając teraz spokojnie, co mu czynić wypada. Postanowił zaraz następnego ranka napisać dla swych duchownych przełożonych krótkie sprawozdanie, albo raczej zapewnienie o swej niewinności, z prośbą, aby pomogli mu w tej potrzebie radą i czynem, gdyż nie chodzi tu tylko o niego samego, ale i o naruszoną dotkliwie powagę duchowieństwa, oraz o powstrzymanie strasznego zgorszenia.

Dalej ciężką troską dla jego duszy był los matki, której obraz w chwili, gdy przed jego oczyma padła zemdlona na rynku, ciągle przesuwał mu się w myśli. Jednakże nic na to poradzić nie mógł, jak tylko polecić ją opiece boskiej. Nie miał w Akwizgranie przyjaciół, do których mógłby napisać w jej interesie. Wreszcie zastanowił się nad tym, czyby między parafianami nie znalazł się jaki zamożny, dobrze myślący człowiek, który zechciałby się zająć opuszczoną i przybitą strasznym ciosem matką.

Po dłuższym wahaniu, wybór jego padł na bogatego, bezdzietnego właściciela ziemskiego, któremu niedawno jeszcze udzielił pomocy w ciężkiej chorobie.

— Gdyby dojść miało do ostateczności, to napiszę do niego — postanowił, kładąc się na spoczynek i Bóg zesłał nań długi, pokrzepiający sen, z którego nie obu-

dził się, aż poranek zajrzał do jego celi przez okratowane okienko.

— Jak można tak spać w moim położeniu! — pomyślał prawie wesoło i podniósł się prędko z posłania, Po modlitwie porannej i rozmyślaniach o gorzkiej męce Zbawiciela, które ks. Montmoulin obrał sobie w czasie postu, jako główny przedmiot swych rozważań dzisiaj przeciągniętych dłużej, niż zwykle, zasiadł do stołu i napisał najpierw list do konsystorza, dołączając doń krótkie pismo do arcybiskupa, pełne synowskiej otwartości i pokory. Napisał też do matki, aby ją pocieszyć i dodać otuchy, gdyż nie potrzebował zapewnić jej o swej niewinności. Wprawdzie niepokoiła go pogróżka sędziego śledczego, że każe uwięzić jego matkę, jednakże starał się wmówić sobie, że była to tylko pogróżka. Ostatecznie i to zdać mógł tylko na wolę boską, gdyż nawet uwięzienie, a nawet zasądzenie matki, jako wspólniczki winy, nie dawało mu prawa do zdradzenia tajemnicy spowiedzi.

Skończywszy listy, chciał się zabrać do brewiarza, aby odmówić przepisane na ten dzień modlitwy. Z uśmiechem uderzył się palcem w czoło, mówiąc:

— Przecież nie przyniesiono mi brewiarza. Czy w ogóle zakomunikowano moją prośbę regensowi? Trudno, tymczasem muszę poprzestać na różańcu.

I modląc się, chodzi ks. Montmoulin cztery kroki naprzód i w tył, oczekując cierpliwie, aż przyjdzie dozorca i zabierze listy, lub zawezwie go może do sędziego na przesłuchanie.

Musiał czekać długo, dopiero przed południem zazgrzytały zasuwy i zaskrzypiał w zamku klucz. Ku wielkiemu jego zadowoleniu, wszedł regens. Czcigodny starzec spoglądał na więźnia dobrotliwie, ale z głębokim smutkiem.

— Franciszku, drogi mój uczniu! Jakie straszne do-

świadczenie Bóg zesłał na ciebie! Już wczoraj słyszałem o nieszczęściu, jakie cię dotknęło i pośpieszyłem tutaj; nie wpuszczono mnie jednak. Dopiero dzisiaj udałem się do prefekta departamentu, mego starego przyjaciela z czasów szkolnych; dał mi on polecenie do prefekta policji i nareszcie udzielono mi pozwolenia na wstęp do więzienia. A teraz, mój drogi, nie potrzebujesz mi mówić, że nie popełniłeś tego okropnego przestępstwa, do tego jesteś zupełnie niezdolny, jak to już mówiłem prefektowi, chociaż ten wzruszał ramionami i twierdził, że dowody przeciw tobie są przekonywujące. Nie, nie, niewinny jesteś i twoja niewinność musi wyjść na jaw. Ale jak? To pytanie. Cóż uczynić, aby usunąć czym prędzej okropne zgorszenie, a tobie przywrócić cześć?

Ks. Montmoulin dziękował regensowi za tak ujmujące słowa i przekonanie o jego niewinności, oświadczył jednak, że niewiele dla niego zrobić będzie można. Opowiedział potem całe smutne zdarzenie, oczywiście z pominięciem okoliczności które ujawniłyby spotkanie i spowiedź Losera. Wymienił jeszcze wszystkie poszlaki przeciwko niemu świadczące i podkreślił ich wagę, kończąc tymi słowami:

— Oczywiście jestem niewinny. Wszechmocny i wszystkowiedzący Bóg jest moim świadkiem! Jednakże nie wiem, czy da się dowieść mojej niewinności. Drogi mój ojcze i przyjacielu, czyż ja będę pierwszym zasądzonym niewinnie człowiekiem?

Ksiądz regens spochmurniał słuchając opowiadania proboszcza. Zamyślony milczał dłuższą chwilę, potem rzekł:

— Sprawa jest gorsza, niż myślałem. Z początku sądziłem, że tu chodzi tylko o zuchwały manewr wyborczy, mianowicie, żeby gazety liberalne wykorzystały tę smutną historię dla korzyści propagandowych.

Po pewnej chwili dodał:

— Jednakże postąpiłeś nieroztropnie, że zaprosiłeś tę starą damę do siebie, aby jej oddać taką sumę, mógłbyś wezwać przynajmniej jeszcze jedną osobę z komitetu lub nie odsyłać do domu służącej. Już wiem, co chcesz powiedzieć: Kto by się tego spodziewał? Nie chcę ci też robić wyrzutów. Lepiej myślmy nad tym, w jaki sposób dowieść twej niewinności. Oczywiście musiał ktoś wejść potajemnie od klasztoru i popełnić zbrodnię, nie kto to mógł być?

— Sędzia śledczy twierdzi, że to nie mógł być człowiek obcy. Taki nie mógł przecież wiedzieć, że pani Blanchard będzie przechodziła z pieniędzmi o pewnej oznaczonej godzinie koło drzwi komórki, gdzie na nią czatował zabójca — odparł proboszcz ze zniechęceniem.

— Ale zakrystian — czy to jest doprawdy dowiedzione, że był wówczas nieobecny?

— Mówiono mi, że tak.

— To trzeba by sprawdzić skrupulatniej. Może dziewczyna wygadała się, że pani Blanchard w tym czasie pójdzie po pieniądze i usłyszał to jakiś łotr, który wślizgnął się za nią do klasztoru. Odwagi, mój drogi, to trzeba zbadać. Pomówię zaraz choćby z księdzem arcybiskupem, trzeba oddać tę sprawę jakiemuś dobremu adwokatowi.

— Nie mam pieniędzy, żeby mu zapłacić za obronę — zauważył ks. Montmoulin.

— O to się nie troszcz, my postaramy się o adwokata. Chodzi tu o cześć nas wszystkich.

— Obawiam się, że to będzie na próżno — rzekł ze smutkiem więzień — dziękuję jednak za okazaną mi dobroć. Proszę, niech ksiądz regens wystąpi w obronie mej niewinności wobec czcigodnego księdza biskupa i wszystkich konfratrów i niech powie, jak mnie to boli, że zgotowałem im tyle przykrości. Jeszcze jedno! Za-

opiekujcie się moją matką i moją siostrą wraz z dziećmi, jeśli popadną w nędzę z mojej przyczyny.

— Wszak mieszkają przy ulicy de la Colombe? Naturalnie, że pomyślę o tym, co by można dla nich zrobić. — A więc odwagi, przyjacielu! W twoim strapieniu pomyśl o naszym Panu i Zbawcy, który, będąc samą niewinnością, dla naszych grzechów zszedł między grzesznych ludzi. I my powinniśmy nosić za Nim Jego krzyż!

— Ciężki on! Módl się za mnie, księże regensie i innych wzywaj do modlitwy, abym wytrwał — mówił ks. Montmoulin do kapłana, który powstał, aby się pożegnać. Chętnie jednak zgodził się, aby wysłuchać spowiedzi nieszczęśliwego więźnia.

Jakąż ulgę uczułby proboszcz, gdyby temu doświadczonemu duszpasterzowi chociaż przy spowiedzi ujawnić mógł wszystkie okoliczności, towarzyszące smutnej sprawie i zapytać go o radę! Ale i tego nie było wolno mu uczynić, aby choć pośrednim pytaniem, lub wzmianką, poruszyć to, o czym wiedział ze spowiedzi. Sam znosić musiał przygniatający ciężar tego kapłańskiego obowiązku.

Nareszcie dozorca zwrócił uwagę, że upłynął czas, odwiedzin. Równocześnie położył na stole brewiarz i zabrał listy więźnia. Ks. regens odszedł, dodając odwagi dawnemu swemu uczniowi. Ks. Montmoulin uprosił sobie jeszcze błogosławieństwo i istotnie uczuł pewne pokrzepienie, wziął zaraz brewiarz i otworzył oficjum św. Jana Nepomucena, znanego męczennika świętej tajemnicy spowiedzi.

— Święty męczenniku! Utopiono cię w falach Mołdawy, gdyż stałeś wiernie przy spełnianiu kapłańskiego obowiązku. Uproś i dla mnie tę łaskę, abym wolał raczej umrzeć i znieść wszelką hańbę, niż zdradzić świętą przysięgę!

Tak modlił się więzień do wielkiego praskiego świętego i z czytania opisu jego męczeńskiej śmierci czerpał siłę i pociechę.

ROZDZIAŁ XIII
Przy ulicy de la Colombe.

Gdy pani Montmoulin ocknęła się z omdlenia w sieni najbliższego domu, dokąd ją zaniesiono, długo nie mogła opanować swego bólu. Na wszelkie słowa pociechy, które kierowało do niej kilka litościwych osób, podczas gdy inni z okrutną ciekawością gapili się na nieszczęsną kobietę, miała jedną tylko odpowiedź:

— Mój syn, kapłan, związany, w rękach policji!

Ukryła potem w dłoniach pobladłe z bólu i wstydu oblicze, a obok niej wnuczka zanosiła się od płaczu.

— Biedna kobieta! — ubolewała nad nią sąsiadka. — To byli przecież zacni ludzie, o których dotąd nic złego nie można było powiedzieć.

— Hm, a jednak widać, że nieszczególnie swego syna wychowała, skoro zdolny był do takiego czynu — zauważyła inna...

— Macie rację — zawołała trzecia. — Jabłko niedaleko pada od jabłoni!

— Bądźcie więcej litościwe jako chrześcijanki — prosiła pierwsza. — Przecież nie dowiedziono jeszcze, że jej syn popełnił zabójstwo.

— Musiano mu dowieść! — brzmiała odpowiedź — inaczej by go nie zakuto w kajdany.

— Zresztą widać, że ona tego tak bardzo nie odczuwa, nawet nie płacze. — Mała ma więcej uczucia.

— Mój Boże, gdyby zdarzyło się coś podobnego mo-

jemu Jerzemu! Nie wiem, co bym wtedy zrobiła; chyba skoczyłabym do rzeki!

— Babciu, chodźmy do domu — prosiła Julka i starała się ocucić biedną kobietę, która zdruzgotana strasznym ciosem, siedziała bez ruchu. Pani Montmoulin usiłowała wstać, ale bezsilna osunęła się znów na krzesło.

Nadjechała dorożka. Policjant, który stanął przed bramą domu, zbliżył się teraz i rzekł:

— Zdaje się, że pani nie może iść, dlatego sprowadziłem dorożkę.

— O, nie potrzeba — odpowiedziano mu. — Ona mieszka sto kroków stąd, na ulicy de la Colombe.

— Wiemy o tym. Ale nie pójdzie zaraz do domu — prefekt policji musi jej zadać kilka pytań.

— O! — wezmą ją do więzienia! To jest wspólniczka syna! — zawołali niektórzy i z przestrachem odsunęli się od nieszczęśliwej.

Kiedy pani Montmoulin pojęła, o co chodzi, nowe życie w nią wstąpiło.

— Jeżeli uważają, że mój syn jest winny, to nic dziwnego, że i o mnie mają złe mniemanie — rzekła. — Oto moje ręce czy i mnie zakujecie?

— Tymczasem nie potrzeba — odpowiedział żandarm i chwyciwszy kobietę za ramię, zaprowadził ją do dorożki. Pani Montmoulin zwróciła się do wnuczki, która płacząc czepiała się jej sukni.

— Idź dziecko i powiedz matce, że pewnie powrócę wkrótce do domu; a może ona zobaczy się ze mną w więzieniu? Kto wie czy w końcu nie wezmą też ciebie i Karolka!

Mówiąc to, wsiadła do dorożki, naprzeciwko zasiadł żandarm, zatrzasnął drzwiczki i na jego skinienie woź-

nica ruszył. Daremnie Julka wyciągała z płaczem ręce do babki.

Udało się wreszcie uspokoić dziewczynkę i w towarzystwie sąsiadki poszła do domu. Otaczał go już tłum ciekawych, gdyż ku zdumieniu sąsiadów, nadszedł komisarz policyjny z żandarmami. Obstawili drzwi i weszli do mieszkania. W tłumie rozeszła się już wieść, o co chodzi. Większość przypuszczała najgorsze rzeczy, kilka zaledwie osób oburzało się postępowaniem policji.

— Otóż ładna historyjka! — wołał jakiś szewczyna. A ta stara to też taka, co lata co dzień na mszę św. i przewraca oczy do każdego świętego na obrazie, a podobno przechowała te 100.000 franków.

— 100.000 franków! Hm, dla takiej sumy niejeden by się odważył. — Ale nie powinni postępować tak głupio, żeby ich przyłapano na gorącym uczynku — zauważył stary żołnierz.

— Ach, oni liczyli właśnie na to, że nikt nawet we śnie nie posądzi księdza o taki czyn — zawołał brukarz. — A w końcu zobaczycie, że mu i tak nic nie zrobią. Takim biedakom, jak nam, to by ucięto głowy!

— I jemu głowę utną, bądźcie tego pewni! — rzekł szewc. — Nie żyjemy za rządów księży i tyranów, tylko przesławnej republiki!

— Patrzcie, oto idzie wnuczka pani Montmoulin! — zawołała jakaś litościwa sąsiadka. — Mój Boże, co się stanie z dziećmi, jak wezmą babkę do więzienia, a może w końcu i matkę!

— Niech panią o to głowa nie boli, pani Santier; republika jest matką wszystkich sierot! — wyrzekł z patosem szewc. — Wezmą je do domu sierot, gdzie są i moje dzieci. Tam lepiej im nawet będzie, niż tutaj.

— Niech Bóg broni! — odrzekła sąsiadka. — Ale pozwólcie dziecku przejść! Nie płacz Julko! Gdyby

i twoją matkę zabrali, to przyjdź z Karolkiem do mnie. Dwoje mniej lub więcej przy stole, to niezbyt wielka różnica.

Przepuszczono dziewczynkę. Za małym sklepikiem, w którego oknach rozłożone były spódniczki, kaftaniki, pończochy i inne wełniane wyroby, przeznaczone na sprzedaż, znajdował się mały pokoik. Stała tam maszyna do wyrobów pończoszniczych, przy której zwykle pracowała matka, podczas gdy babka siadała z pończochą przy oknie, lub krzątała się w kuchni. Przez okienko w drzwiach widzieć było można sklepik. Kiedy Julka weszła do pokoiku, ze strachem ujrzała i tutaj żandarma, który zatrzymał ją słowami:

— Ty jesteś córeczką pani Montmoulin?

— Moja matka nazywa się Jardinier, moja babka Montmoulin — odrzekła dziewczynka. — Niech mnie pan przepuści, muszę powiedzieć coś mamie.

— Zaraz, zaraz. Naturalnie, że twoja matka nazywa się Jardinier, ty więc jesteś panna Jardinier, a proboszcz z S-te Victoire jest twoim wujem?

— Tak, panie; niedobrzy ludzie powiadają, że uczynił coś złego, a przyjaciele pana, żandarmi, uwięzili nie tylko jego, lecz nawet i moją babcię. Ale to wszystko jest z pewnością pomyłką; mój wuj jest przecież księdzem i bardzo świątobliwym człowiekiem!

— I ja myślę, że to jest zmyślone. Pewnie wuj ci dawał ładne prezenty?

— O tak, dostałam książkę do nabożeństwa i przynajmniej tuzin ładnych obrazków ze złoconym brzegiem, albo z koronką!

— Ze złotem i z koronką! Widzisz, jakiego ty masz dobrego wuja. Czy dawał też pieniądze twojej babci, albo mamie?

— Tak, wczoraj babcia przywiozła do domu dużo pieniędzy, otrzymanych od wuja, a wuj dostał je od

jednej dobrej, pobożnej pani, za którą wczoraj Karol i ja odmówiliśmy z babcią różaniec.

— Patrzcie, jacy wy jesteście pobożni! — Czy nie mogłabyś mi powiedzieć, ile pieniędzy babcia przyniosła do domu?

— Bardzo dużo. Ale nie wiem, ile. Babcia mówiła: — Tyle pieniędzy nie mieliśmy w domu od dwudziestu lat.

— Aj, aj! — a co zrobiła z tymi pieniędzmi?

— Zaraz po obiedzie poszła do Żyda Lewiego, żeby mu zapłacić długi, a co z resztą zrobiła, nie wiem.

Żandarm swymi pytaniami wydostał z prostolinijnej dziewczynki to, co wydawało się dostateczne dla potwierdzenia podejrzeń sędziego śledczego. Napisał prędko ołówkiem na kartce papieru:

— Dziecko wyznało wszystko — i rzekł potem do Julki:

— Jesteś rozsądną dziewczynką. Widzisz, mama ma teraz gości, ale zobaczymy, czy będziesz mogła iść do niej.

Zapukał do drzwi i swemu przełożonemu, który je otworzył, wcisnął do ręki kartkę. Jedno na nią spojrzenie wystarczyło komisarzowi policyjnemu.

— Chwilkę jeszcze — rzekł — zaraz skończę rozmowę z twoją matką.

Z tymi słowami komisarz skinął na żandarma, aby wszedł, zamknął drzwi i zwrócił się do pani Jardinier, która blada, ale spokojna siedziała przy stoliku koło okna.

— Na nic się pani nie przyda ukrywanie prawdy — rzekł komisarz — dziecko pani wyznało wszystko.

— Co takiego? — zapytała pani Jardinier.

— No to, że matka pani przywiozła wczoraj z S-te Victoire dużą sumę pieniędzy — rzekł żandarm — że

poszła z nimi po obiedzie do Żyda Lewiego, aby zapłacić długi i prawdopodobnie resztę u niego przechowała.

Potem dosłownie powtórzył to, czego się od dziecka dowiedział.

— Proszę iść zaraz do Lewiego stwierdzić stan rzeczy — rzekł komisarz. — A pani niech idzie ze mną.

— To nieporozumienie! — zawołała kobieta. — Na miłość Boską, nie uczyni mi pan tej hańby, aby mnie uwięzić! Nie może być mowy o tak wielkiej sumie, o jaką mnie pan pytał. Matka miała najwyżej paręset franków i istotnie już lata całe nie mieliśmy w domu tyle pieniędzy!

— Czemu nie wspomniała mi pani o tym, kiedy pytałem?

— Pan pytał mnie, czy matka nie przyniosła wczoraj do domu w torbie podróżnej dużej sumy pieniędzy i ja powiedziałam prawdę, że w owej torbie była tylko bielizna mego brata, którą matka chciała, jak zwykle, poreperować. W ogóle nie rozumiem do tej chwili, dlaczego mnie pan bada — dodała z gniewem. — Jesteśmy uczciwymi kobietami i nikomu nie ukradłyśmy ani jednego grosza.

— Tylko spokojnie, proszę — odparł komisarz. — Ja nie powiedziałem że pani ukradła, jednakże musiały się gdzieś podziać pieniądze pani Blanchard i na matce pani ciąży podejrzenie, że je tutaj przyniosła z S-te Victoire.

— Pieniądze pani Blanchard! — zawołała wystraszona pani Jardinier. — Tak, istotnie mój brat, proboszcz z S-te Victoire dostał od niejakiej pani Blanchard banknot pięciusetfrankowy, tak opowiadała moja matka.

— Aj, patrzcie! 500 franków w podarunku. I to od tej pani Blanchard, którą zamordowano wczoraj na probostwie S-te Victoire!

— Sprawiedliwe nieba! Przecież podejrzenie chyba nie pada na mojego brata?

— Hm, — Ta myśl nie jest pani tak bardzo obca — rzekł komisarz, mierząc zimnym wzrokiem biedną kobietę, która wystraszona okropnie, otworzyła oczy szeroko i załamała ręce z okrzykiem rozpaczy. Gdy minęło pierwsze wzruszenie i pani Jardinier, gorzko płacząc, rzuciła się na krzesło, urzędnik już z pewnym współczuciem mówił dalej:

— Więc, moja biedna pani, chcę wierzyć, że pani nie jest współwinna w tym, że pani matka wczoraj przyniosła z S-te Victoire pieniądze w owej torbie. Ale za to oczekuję natychmiast wyjaśnienia, gdzie się ta suma znajduje? Jeśli to pani ujawni, będę ją traktował z możliwymi względami, jeśli nie, to proszę iść ze mną zaraz na policję. Daję pani dwie minuty czasu do namysłu.

— Nie mam powodu do namyślania się! — zawołała rozpaczliwie biedna kobieta. — Zachodzi tu jakaś straszna pomyłka! Sama myśl o tym, że mój brat byłby zdolny do takiego czynu, a moja matka do takiej obłudy, jest czystym szaleństwem! Taką myśl powziąć tylko mogli tacy ludzie, którzy ich nigdy nie znali!

— Bardzo będę rad, jeśli uda się pani i jej krewnym oczyścić z podejrzenia. Tymczasem jestem, niestety, zmuszony zaprowadzić panią do więzienia śledczego.

— Ale na miłość Boską, cóż stanie się z dziećmi? — biadała matka.

— Czy nie ma pani krewnych, u których mogłyby być tymczasem? — Nie? — To gmina musi przez ten czas mieć o nie staranie. O, niech się pani nie kłopocze, dzieciom będzie dobrze przez te parę dni. Ja sam

pomówię zaraz z merem w tej sprawie. A teraz niech mi pani oszczędzi użycia siły.

Mówiąc to, komisarz otworzył drzwi i skinął na Julkę.

— Pocałuj mamę — rzekł jej — i zostań grzecznie w domu, dopóki nie powróci. Widzisz, twoja mama musi iść ze mną załatwić jedną sprawę i zapewne wkrótce powróci.

Pani Jardinier z wysiłkiem powstrzymała łzy, cisnące się do oczu i przyciskając do serca płaczącą dziewczynkę, rzekła do niej:

— Tak, Julko, odchodzę, bądź grzeczna i czekaj aż powrócę. Ale gdzież została babcia i co zrobiłaś z koszykiem?

— Ach, mamusiu, doprawdy nie jestem temu winna! — skarżyło się dziecko. — Kiedy kupowałyśmy marchew od tej grubej przekupki w narożniku, wtedy właśnie wieźli na wózku, między żandarmami, biednego wuja, a źli ludzie wołali, że uczynił coś złego. Gdy go babcia zobaczyła, krzyknęła i upadła, jak martwa na ziemię. Ale nie umarła i niedługo przyszła znów do siebie, gdy ją zaniesiono do sklepikarza Le Gras. Potem wsiadła z żandarmami do dorożki i nie wiem, gdzie pojechała. A co się stało z koszykiem, też nie wiem.

— Nic nie szkodzi, Julko. Pewnie stoi u tej grubej przekupki. Tylko już teraz nie płacz. Ten pan zaprowadzi mnie do babci i sądzę, że wkrótce powrócimy do domu.

— Mogę iść z tobą, mamusiu?

— Nie, dziecko, musisz pozostać tutaj, a gdy Karol powróci ze szkoły, to podaj mu zupę. Masz klucz od kredensu, jest tam chleb i kiełbasa, to wszystko możecie zjeść. A teraz do widzenia! A nie zapominajcie pomodlić się przed i po jedzeniu, jak was nauczyłam!

Ucałowała dziewczynkę i szybko zwróciła się ku drzwiom, aby ukryć łzy, napływające do oczu.

— Jestem gotowa — zwróciła się do komisarza, na którym słowa i całe zachowanie się pani Jardinier uczyniły korzystne wrażenie.

Zanim dziecko zrozumiało, co się stało, matka była już za drzwiami. Julka chciała biec za nią, ale policjant, który ciągle jeszcze stał na straży, zatrzymał ją i z okna tylko ujrzała matkę, skręcającą w towarzystwie komisarza w pobliską ulicę.

Płacząc, udała się Julka do kuchni, gdyż usłyszała, że zupa kipi. Zaledwie zapobiegła temu, kiedy Karol powrócił ze szkoły. Drzwi nie były już strzeżone przez żandarma i ciekawi rozeszli się powoli. Gdy chłopiec wszedł do sklepu, zastał tam dwóch komisarzy policyjnych, którzy otwierali i przetrząsali wszystkie szafy, szuflady i półki, rozrzucając towar w nieporządku.

— Hola! — zawołał zdziwiony Karol. — Co wy tu robicie? Dopiero mama będzie się gniewała, gdy to zobaczy! Wszystko ma zawsze w wielkim porządku i strofuje mnie i Julkę, jeżeli cośkolwiek ruszymy z miejsca.

— Czy ty jesteś synkiem pani Jardinier? — zapytał jeden z komisarzy. — To możesz nam pomóc. Czy nie wiesz, gdzie jest torba, którą wczoraj babcia przyniosła do domu?

— Torba wuja? Suszy się w kuchni. Wczoraj babcia naprawiła ją i wyprała.

— Czy widziałeś, jak ją babcia wypakowywała?

— Nie widziałem. Babcia zrobiła to w swojej alkowie, dokąd jej torbę odniosłem.

— Była bardzo ciężka?

— O nie, niosłem ją z łatwością.

— Tam było dużo pieniędzy, prawda?

— W torbie? Nie wiem, babcia mówiła, że tam była

bielizna wuja. Ale babcia przyniosła od wuja dużo pieniędzy, które mu dała jedna pobożna pani, za którą się potem modliliśmy.

— A gdzie schowała pieniądze? Jeśli mi to powiesz, to dam ci dziesięć sou.

Otworzyły się drzwi od pokoju i Julka zawołała do brata:

— Nie rozmawiaj z tymi niedobrymi ludźmi, Karolku! Oni wypytują. Tak samo postąpili ze mną, a potem zabrali mamę. Ale jak ty wyglądasz? Rękaw zabłocony, guzik oderwany — chodź, to cię oczyszczę. Musiałeś się znów bić z kolegami?

Mówiąc to, pociągnęła za sobą młodszego brata do pokoiku i rzekła do niego po cichu:

— Ach, Karolku, co z nami będzie! Wzięli do więzienia wuja z S-te Victoire i powiadają, że popełnił coś złego, zabrali nawet babcię i mamę, pewnie też do więzienia, chociaż mama mówiła, że idzie tylko załatwić sprawę i zaraz powróci. Ale wiem, że mówiła to tylko dlatego, żeby mnie uspokoić, gdyż inaczej z pewnością nie byłaby mi dawała klucza od kredensu.

Karol otworzył szeroko oczy ze zdziwienia i podczas, gdy Julka czyściła mu rękaw, rzekł:

— Rudy Janek i gruby Paweł wołali, gdy wracałem ze szkoły, że nasz wuj z S-te Victoire zamordował jakąś kobietę i krzyczeli:

— Siostrzeniec mordercy, siostrzeniec mordercy! — a wszyscy ludzie oglądali się za mną. Ale przecież to wszystko jest kłamstwem, prawda, Julko? Jakże by wuj mógł coś podobnego uczynić?

— Naturalnie, że to jest kłamstwem — potwierdziła siostra.

— Naturalnie! Powiedziałem to też rudemu Jankowi i nazwałem go kłamcą. Na to on uderzył mnie w twarz, a ja schwyciłem go za te rude włosy i byłbym z pew-

pewnością powalił na ziemię, ale Paweł przyszedł mu z pomocą: Wtedy oderwał mi ten guzik. Bądź taka dobra i przyszyj mi inny, matka ma jeszcze dwa w swoim stoliku. Już ja bym zapłacił za to temu grubemu kłamcy, temu zdrajcy, żeby to nie był grzech! Jeszcze przed lekcjami jadł precle, które nam wuj dał w niedzielę!

— Ach, ten dobry, kochany wujaszek! — zawołała Julia, płacząc na nowo. — Widzisz — skuli mu ręce kajdanami, sutannę miał zabłoconą i siedział na wiązce słomy koło żandarma, blady, jak śmierć, a ludzie mówili, że na pewno skażą go na śmierć.

— Nie wierzę w to, nie płacz tak, Julka. Czytałem raz śliczną opowieść o poczciwym młynarzu, Marcinie. I on im wzięty był do więzienia, podejrzany o jakieś zabójstwo i miał już być powieszony, chociaż tego nie zrobił, ale niewinność jego wyszła na jaw, dzięki temu, że dzieci młynarza odbyły pielgrzymkę do S-te Baume i tam modliły się bardzo pobożnie na intencję. Wypuszczony był z więzienia z wszelkimi honorami, a sędzia, który go niewinnie skazał, obdarzył go sowicie. Widzisz, tak będzie i z wujem. Wyjaśni się jego niewinność i z wielką czcią odwiozą go znów do S-te Victoire. Wtedy niech się rudy Janek ośmieli wołać na mnie:

— Siostrzeniec mordercy!

— A w jaki sposób wyjaśniło się, że młynarz jest niewinny? — pytała Julka.

— Żebym ja to wiedział! Ale, przypomina mi się! Ktoś poszedł do sędziego i przysiągł, że młynarz jest z pewnością niewinny. Tak i ja zrobię, bo wiem to z pewnością, że dobry nasz wuj tego zrobić nie mógł.

To dzieci uspokoiło. Julka nakryła prędko stół i postawiła zupę, a odmówiwszy modlitwę, pocieszone dzieci zabrały się do jedzenia.

Gdy potem Julka wydobyła z kredensu kiełbasę, Karol byłby już zupełnie odzyskał humor, gdyby nie nieobecność matki i babki i gdyby siostrzyczka nie krajała mu plasterki kiełbasy zbyt cienkie, dowodząc, że tak lepiej smakuje, a on tymczasem innego był zdania i dowodził:

— Kraj tak cienko dla siebie, jeśli chcesz, ja wolę bardzo grube kawałki.

O mało nie przyszło już między nimi do sprzeczki, co było zresztą na porządku dziennym, ale Julka zmieniła temat rozmowy, a to, co opowiadała chłopcu, zrobiło nań takie wrażenie, że ze strachu ledwie się nie udławił.

Siostra powtórzyła mu bowiem, co słyszała od komisarza policji i od ludzi na ulicy, że prawdopodobnie dzieci wezmą do przytułku. Karol upuścił widelec i zawołał:

— Co! My do przytułku? Nigdy w świecie!

— A jeśli nas wezmą gwałtem, tak, jak dzieci szewca, gdy im matka umarła? — mówiła dziewczynka.

— To ucieknę. Pójdę do Marsylii, zostanę chłopcem okrętowym na jakimś trójmasztowym okręcie, a jak przypłyniemy do jakiejś wyspy, gdzie są misjonarze i dzicy ludzie, to wysiądę i zostanę misjonarzem.

— Na to jesteś jeszcze za mały! Ale gdyby cię nawet i przyjęli na jakiś okręt — to co się stanie ze mną?

— Ty możesz zostać zakonnicą — rzekł ze stanowczością Karolek.

Po krótkiej pauzie, w czasie której zdążył zjeść resztę kiełbasy, dodał:

— Słuchaj, Julko, czy nie byłoby lepiej, żebyśmy zaraz uciekli, nie czekając aż nas zabiorą gwałtem do przytułku?

Jednak Julka była zdania, aby wpierw zaczekać, czy matka nie wróci. Wtem Karolek wpadł na nowy

pomysł, aby iść do przyjaciela, piekarza Le Noir i opowiedzieć mu swoje strapienie.

— Pójdę do niego zaraz po obiedzie i zobaczysz, że mi da pieniądze na podróż.

Jak powiedział, tak i uczynił. Zaledwie dzieci odmówiły poobiednią modlitwę, Karolek schwycił czapeczkę i pobiegł do piekarza. Zastał go w wygodnym, trzcinowym fotelu, palącego cygara, a jego żona, sympatycyna, niska kobiecina, siedziała na kanapie i piła kawę. Naturalnie rozmawiali o wypadku tego dnia, zabójstwie w S-te Victoire i uwięzieniu proboszcza i oboje zgadzali się, że proboszcz jest niewinny. Spierali się tylko o jedno. Mąż twierdził, że policja podejrzewając i biorąc do więzienia proboszcza, działała w dobrej wierze; żona twierdziła, że to pewnie tylko manewr wyborczy przeciwko klerykałom, uważała bowiem swych politycznych przeciwników za zdolnych do takiego niecnego postępku. Ucieszyli się więc, że dowiedzą się czegoś nowego od sympatycznego chłopca, którego oboje bardzo lubili. Karol opowiedział im z przejęciem o wuju, który z pewnością jest niewinny, o matce i babce, które im także zabrano, gdyż niedobrzy ludzie opowiadają, jakoby babcia miała wczoraj przynieść w torbie wuja wiele pieniędzy.

Pan Le Noir nie słyszał dotąd o uwięzieniu obu kobiet i kazał sobie wszystko opowiedzieć ze szczegółami. Kręcił głową z zastanowieniem i prawie zaczynał wątpić, czy niewinność proboszcza jest rzeczą tak pewną, ponieważ Karol opowiadał mu również, że babcia przyniosła „wiele pieniędzy”. Jednakże piekarz bał się wyjawić swoje wątpliwości, gdyż jego małżonka na wieść o uwięzieniu kobiet, które znała z pobożności i uczciwości, zapaliła się takim gniewem przeciwko policji, że z pewnością byłaby mu to wzięła za złe.

Gdy więc Karolek ze łzami opowiadał o swej oba-

wie, żeby jego i siostry nie wzięto do przytułku, zawołała natychmiast:

— Nic z tego! Żeby zepsuł i pozbawił je religii niewierzący dyrektor?! Z tego nic nie będzie! Mężu, zabierzemy do siebie oboje dzieci i ja będę im zastępowała matkę tak długo, dopóki ta nic nie warta nasza policja, która nicponiom pozwala chodzić bezkarnie, a więzi uczciwych ludzi, trzymać będzie w więzieniu ich matkę. Ubierz się zaraz i pójdź do merostwa powiedzieć burmistrzowi, że zabieramy dzieci. Bóg nie dał nam własnych, choć obdarzył nas dobrobytem, więc przynajmniej przeszkodzimy temu, żeby te maleństwa marniały w przytułku. Czy nie myślisz tak samo, Andrzeju?

Istotnie, poczciwemu panu Le Noir ta sama myśl przyszła do głowy, przynajmniej co do Karola, a ponieważ jego szanowna połowica uczyniła mu jeszcze ten zaszczyt, że i jego o zdanie zapytała, odrzekł więc chętnie:

—Tak, o ile — dodał — i dzieci na to się zgodzą.

Karol był dość rozsądny, więc zamiast awanturniczej ucieczki, wolał przyjąć zaprosiny państwa Le Noir. Wypiwszy z apetytem filiżankę kawy i zjadłszy bułeczkę, drugą za pozwoleniem pani Le Noir schowawszy do kieszeni dla Julki, udał się do domu, aby przyprowadzić siostrzyczkę. Wreszcie i pan Le Noir podniósł się z wygodnego fotela, wziął surdut i cylinder i udał się do mera. Ten był bardzo zadowolony, że gmina pozbędzie się ciężaru, uważał jednak za swój obowiązek uprzedzić piekarza, że podejrzenie ciąży nie tylko na proboszczu, którego wina jest prawie dowiedziona, ale i na jego matce i siostrze, jako wspólniczkach.

„Mówię to dlatego”, dodał mer, „gdyż nie wiem, czy pan zechce zadawać się z takimi ludźmi”.

Poczciwy piekarz o mało nie zmienił swego zamiaru, powiedział sobie jednak, że w każdym razie dzieci są niewinne i żaden uczciwy człowiek nie może mu wziąć za złe miłosiernego uczynku. Oświadczył więc merowi, że obstaje przy swoim postanowieniu i tego jeszcze wieczoru dzieci znalazły się już pod jego gościnnym dachem.

ROZDZIAŁ XIV
Narady.

Minęły cztery tygodnie od wyżej opowiedzianych wypadków; cztery długie tygodnie dla ks. Montmoulin, który spędził je w celi więziennej i dla jego matki i siostry, które również trzymano w surowym odosobnieniu. Wszystkich troje przesłuchiwano prawie codziennie, pomimo, że sędzia śledczy nic nowego nie mógł się od nich dowiedzieć. Kapłan powtarzał ciągle:

— Jestem niewinny. Przyznaję, że okoliczności świadczą przeciwko mnie, ale czyn musiał popełnić ktoś inny, kto, nie umiem tego powiedzieć.

Obie kobiety trwały też zgodnie przy swoim zeznaniu, że wyrażenie „wiele pieniędzy”, użyte przez dzieci, odnosiło się do banknotu pięciusetfrankowego, który pani Montmoulin otrzymała od syna. I to stało się podejrzane; więzień w sprawie tej darowizny nie jeden raz był przesłuchiwany, zeznawał jednak wciąż jedno i to samo, że pani Blanchard, wiedząc o jego ubóstwie, ofiarowała mu tę sumę, aby się mógł wygodniej urządzić i wziąć matkę do siebie.

Od chwili pierwszego przesłuchania w S-te Victoire, sędzia śledczy przekonany był o winie proboszcza.

Uważał całą historię o darowiźnie za zmyśloną, a owe 500 franków za część zrabowanej sumy. Gdzież jednak podziała się reszta łupu?

Szczegółowe przeszukiwanie klasztoru w S-te Victoire nie rozjaśniło tej kwestii. To potwierdzało domysły pana Barthelot, że pieniądze zabrała matka proboszcza do Akwizgranu. Jednakże i przy ulicy de la Colombe powtórna, pod jego nadzorem dokonana rewizja, nie wykryła nic podejrzanego. W książce rachunkowej, którą pani Jardinier utrzymywała z wielką starannością, nie był zapisany wpływ 500 franków, ale siostra proboszcza tłumaczyła to w ten sposób, że uważała tę sumę za własność matki, która też posiadać musi jej resztę. Istotnie w małej komódce znaleziono właśnie tyle, ile wydał jej Żyd Lewi z 500 franków. Lewi, którego podejrzewano też z początku, że był wspólnikiem ukrywania zrabowanej sumy, udowodnił świadkami, że pani Montmoulin płaciła tylko dawny dług i to banknotem 500-frankowym, z którego wydał jej resztę w srebrze i złocie. Przesłuchiwano powtórnie Karola i Julkę w kwestii „wielu pieniędzy", o których mówili na początku sprawy, ale bez pożądanego wyniku. Julka widziała w ręku babki banknot 500-frankowy, a Karol kilka sztuk złota. Ponieważ chłopiec twierdził stanowczo, że widział te pieniądze wieczorem, mogły to zatem być te, które Lewi wypłacił. Na tym więc musiał pan Barthelot zamknąć akta, nie wyjaśniwszy, co się stało z łupem.

Lepiej powiodło mu się pod innym względem.

Było bardzo możliwe, że zakrystian Loser mógł jednak powrócić do klasztoru i popełnić morderstwo. Gdyby obronie udało się dowieść tej możliwości, to tym więcej liczyć by można na uwolnienie proboszcza ze względu na to, iż Loser zaraz po tragicznym wydarzeniu znikł bez śladu, co mogło nasuwać pewne podej-

rzenia. Strona skarżąca musiała zatem dowieść alibi nieobecnego Losera i wydawało się sędziemu śledczemu, że znalazł na to przekonywujące dowody. Zamknął przeto śledztwo i akta oddał prokuratorowi.

Prokurator, pan Joubert, już w czasie śledztwa przeglądał pilnie akta i znał je dobrze. Interesował się szczególnie tym wypadkiem, ponieważ był zdecydowanym wrogiem duchowieństwa i cieszył się, że zada partii klerykalnej potężny cios przed samymi wyborami, które miały odbyć się po Wielkiejnocy, nie gwałcąc oczywiście sprawiedliwości, gdyż osobiście przekonany był o winie kapłana.

— Wypadek ten jest nadzwyczaj jasny — mówił do sędziego śledczego. — Winszuję panu i temu dzielnemu merowi z S-te Victoire tak energicznie i mądrze przeprowadzonego na miejscu zbrodni śledztwa, które doprowadziło od razu do wykrycia sprawcy i dowiedzenia mu winy. Wprawdzie pozostało do wyjaśnienia kilka punktów mniejszej wagi, ale przecież to się zawsze zdarza, gdy chodzi o zbrodnię! Główna rzecz; to dowód, że ten szanowny proboszcz czyn popełnił i dowód ten, za wzajemnym porozumieniem przedstawimy tak, że przysięgli nie cofną się przed orzeczeniem: winny. Przedsięwezmę teraz odpowiednie starania, aby rozprawy zaczęły się w poniedziałek lub wtorek Wielkiego Tygodnia. Sądzę, że pomoże mi w tym zamiarze pan prezydent, któremu także na tym zależeć musi, aby rozprawa odbyła się przed wyborami. A propos, kto podejmie się obrony?

— Stary Meunier.

— Doprawdy? Słyszałem już o tym, ale nie dowierzałem. Czemuż nie wybrali sobie Rabouse?

— Ha, ha! Ten nie jest dość pobożny dla tych pa-

nów w sutannie. Gdyby odmawiał pilnie różaniec i chodził na msze święte, jak ten stary Meunier...

— Tym lepiej. Stary pobożniś nie sprawi mi ani połowy tego kłopotu, jaki bym miał z ciętym Rabouse.

Prokurator pożegnał sędziego śledczego i udał się do prezydenta sądu kryminalnego, który na razie robił trudności, ale ostatecznie naznaczył termin rozprawy na poniedziałek Wielkiego Tygodnia. Prędko przygotowano wezwania świadków i zawiadomiono o terminie obrońcę więźnia.

Pan Meunier poszedł natychmiast do więzienia, aby rozmówić się z ks. Montmoulin.

— Dzięki Bogu! — zawołał proboszcz, dowiedziawszy się, że sądowe rozprawy zaczną się tak prędko. — Im prędzej skończy się ta smutna sprawa, tym lepiej, a najodpowiedniejszy na to jest właśnie Wielki Tydzień!

— Ksiądz proboszcz zdaje się mało ma nadziei, aby mi się udało dowieść jego niewinności? — zapytał obrońca.

— Z całego serca życzę sobie tego ze względu na mnie, na moją biedną matkę i siostrę, na pana, a szczególniej na nasz święty Kościół, który ucierpi przez to, jeśli nie uda się dowieść niezbicie mej niewinności. Niestety, jednak nie mogę temu zaprzeczyć, że pozory są przeciwko mnie.

— Ufajmy jednak Bogu, że poprze moje usiłowania. Odwaga i ufność, to dzielne podpory w walce i bez nich trudno odnieść zwycięstwo.

— Z pewnością, złożyłem moją ufność w Bogu i w dzień i noc błagam Go o pomoc — odrzekł ks. Montmoulin. — Jednakże trudno mi otrząsnąć się ze smutnego przeczucia.

— Smutne przeczucie! Wszyscy wierni, wszystkie klasztory, wielu pobożnych modli się za proboszcza. I wobec tego mieć smutne przeczucia? Prawie mnie

to gniewa — odparł śmiejąc się niemłody, sympatyczny mężczyzna. — Raz jeszcze powtarzam: odwaga i ufność! A teraz jedno pytanie: czy nie byłoby lepiej, gdybyśmy prosili o przedłużenie terminu? Nie mogli by odmówić nam tego, gdyż doprawdy czas mamy niezwykle ograniczony.

— Mówiłem już poprzednio: im prędzej się sprawa rozstrzygnie, tym lepiej! I na cóż przyda się jej odroczenie! Tych kilku świadków, których pan chce wezwać w celu poświadczenia mej nieskazitelnej opinii, ci są tu blisko: moi nauczyciele, którzy jeszcze żyją, czcigodny ksiądz regens, sędziwy proboszcz La Grange, w którego domu i pod którego kierunkiem pracowałem dziesięć lat, jako wikariusz i może niektórzy z moich parafian, jeśli nie będą się wstydzili przemówić parę słów za swoim biednym proboszczem — to chyba będzie wszystko. Koronnego świadka nie mamy ani jednego.

— Istotnie. Wymienieni przez księdza proboszcza świadkowie mogą się wszyscy stawić w poniedziałek Wielkiego Tygodnia. Dzisiaj jeszcze mają otrzymać wezwanie i przekonany jestem, że świadectwo, jakie wydadzą, tak będzie brzmiało, że przysięgli muszą wydać wyrok następujący:

— Taki człowiek nie mógł popełnić takiego przestępstwa.

— Możemy jednak posunąć się w obronie o krok dalej i dowieść, że ów zakrystian Loser, którego sądząc po tym, co o nim słyszałem, byłbym skłonny o morderstwo posądzić, mógł znajdować się w klasztorze podczas zbrodni. Gdyby nam się to udało, zwycięstwo byłoby pewne. Do tego potrzeba jednak więcej czasu, a niestety i więcej pieniędzy, niżeli mieliśmy dotąd do rozporządzenia.

Kiedy adwokat wspomniał o zakrystianie, zauważył

niepokój na twarzy proboszcza. Po chwili ten rzekł:

— Czyż to konieczne, aby dla własnej obrony pomawiać kogoś innego, o którego winie nic wiedzieć nie możemy? Czy to jest w ogóle dozwolone? Ograniczmy się lepiej do obrony własnej, nie oskarżając nikogo innego.

— Ja nie zamierzam oskarżać owego zakrystiana. Ksiądz ma rację, to nie należy do obrońcy, tylko do prokuratora. Jednakże jest to moim obowiązkiem dowieść, jeśli mogę, że w każdym razie podejrzenie może paść i na kogoś drugiego. Ksiądz proboszcz ma nawet obowiązek pomóc mi w tym w miarę możności, gdyż nie chodzi tu tylko o jego honor i życie, ale i o cześć całego stanu kapłańskiego i o dobro Kościoła. Mówmy otwarcie: miałem nieraz wrażenie, że ksiądz mógłby dać pewne wyjaśnienia, dotyczące owego Losera. Za każdym razem, gdy o nim mowa, ksiądz zmienia przedmiot rozmowy i jest niespokojny, jak gdyby coś ukrywał. Pierwszym warunkiem, aby obrońca mógł działać skutecznie, jest zupełne zaufanie i otwartość klienta. Proszę więc, jeśli ksiądz proboszcz ma uzasadnione powody przypuszczać, że w czasie zabójstwa znajdował się w klasztorze zakrystian lub inna osoba, zaznajomiona z miejscowymi stosunkami, aby mi o tym powiedział. Jest to przecież zupełnie jasne, jak wielki wpływ wywarłoby to na obronę.

Ks. Montmoulin, który wrócił już do równowagi, potrząsnął spokojnie głową i odrzekł:

— Nie mogę powiedzieć nic więcej, jak to co powiedziałem merowi owej nocy, podczas pierwszego przesłuchania. Ani mi wolno, ani chciałbym rzucać na kogokolwiek podejrzenie. Jeżeli w inny sposób nie uniknę kary śmierci — tedy, niech się dzieje wola Boska! Bóg sprawi, że zgorszenie w inny sposób się naprawi. Jeżeli o mnie tylko chodzi, to proszę nie odraczać terminu,

gdyż właśnie mi dogadza, że się to stanie w Wielkim Tygodniu. Jeżeli jednak moi duchowni przełożeni uważają to za potrzebne, jestem gotów znosić dłużej męki tych ciągłych przesłuchań i udręczenia więzienne. Proszę, niech pan zapyta mego przyjaciela, księdza regensa on panu powie, jakie jest w tym względzie zapatrywanie czcigodnego arcybiskupa, który kwestię rozstrzygnie.

Adwokat podniósł Się i podał więźniowi rękę ze słowami:

— Rozumiem, dlaczego księdzu dogadza Wielki Tydzień. Proboszcz myśli o naszym Zbawcy, którego stawiano niewinnie przed sądem i haniebnie skazano. Może nam się przecież uda chociaż to drugie odwrócić. Znowu mówię: odwagi i ufności! Niech tylko ksiądz nie przestaje modlić się o powodzenie w naszych usiłowaniach!

Wieczorem następnego dnia, adwokat od wielu już godzin zajęty był pilnie studiowaniem aktów procesu kryminalnego i notowaniem pytań, jakie chciał zadać świadkom, gdy służący zameldował mu wizytę ks. regensa i ks. oficjała. Pan Meunier rzucił natychmiast pióro i pobiegł sam do przedpokoju, aby wprowadzić czcigodnych gości. Posadził ich na przygotowanych już w tym celu fotelach i sam zajął miejsce naprzeciwko. Po kilku zwykłych frazesach, opowiedział im, jak przedstawia się sprawa procesu księdza Montmoulina
i wreszcie przystąpił do rzeczy.

— Pozwoliłem sobie poprosić do siebie czcigodnych księży, aby omówić sprawę, którą wczoraj poruszyłem listownie. Chodzi o to, czy nie starać się o odroczenie terminu. Nieszczęśliwy kolega szanownych księży, o którego niewinności nie wątpimy, nie życzy sobie tego, jednakże poddać się chce woli swych przełożonych. Muszę przyznać, że mi bardzo o to chodzi, aby odnaleźć

ślady owego zakrystiana i sprowadzić go tutaj. Do tego jednak potrzeba dłuższego czasu i dość pokaźnej sumy pieniędzy. Wyczerpał się już kredyt, otworzony przez arcybiskupa i składki duchowieństwa, może nawet przekroczona jest ta suma i dotąd niestety bez pożądanego skutku.

Nastała przerwa; potem oficjał, poważny sztywny kapłan, o dość surowym obliczu, zapytał:

— Więc pan mało ma nadziei na doprowadzenie szczęśliwe do końca sprawy tego nieszczęsnego ks. Montmoulin, która tyle zmartwienia i zgryzoty przyczynia arcybiskupowi, jeśli nie uda się sprowadzić owego zakrystiana?

— Nadzieję mam, ale wolałbym mieć pewność. Wiele zależy od usposobienia sędziów przysięgłych, a nie należy zapominać o dwóch rzeczach: 1) że przeciwko nam przemawiają dowody oskarżenia; 2) że w osobie prokuratora mamy do czynienia z nadzwyczaj zręcznym prawnikiem.

— Hm, a co pomoże w tej sprawie osoba zakrystiana? — zapytał oficjał. — O ile wiem, dotychczasowe pańskie poszukiwania potwierdziły tylko nieobecność jego w klasztorze podczas zbrodni.

— Istotnie, wydaje się to pewnikiem, że Loser kupił bilet do Marsylii w wieczór, poprzedzający zabójstwo. Ale czy on korzystał z tego biletu? Gdzie zatrzymywał się w Marsylii w ów dzień 20 lutego? Co do tego i wielu innych wątpliwych rzeczy powinien się wytłumaczyć w konfrontacji ze świadkami. Jeżeli on tylko symulował wyjazd, wtedy upadają dowody jego alibi, co więcej: świadczą na jego niekorzyść. W jakimże bowiem celu użyłby tych wyrafinowanych pozorów, że wyjeżdża, jeżeli nie w celu ukrycia zabójstwa? Gdybym tylko mógł dowieść, że w czasie zbrodni znajdował się w klasztorze zakrystian, lub ktoś inny, za-

znajomiony z miejscowymi stosunkami, wtedy uwolnienie naszego nieszczęśliwego proboszcza byłoby prawie pewne.

— Zdaje mi się, że ma słuszność nasz przyjaciel — zauważył regens, zwracając swój łagodny wzrok na oficjała, który zastanawiając się nad słowami adwokata, obracał w palcach tabakierkę.

— Z pewnością i ja bym chciał, żeby mieć pod ręką tego zakrystiana. Ale jak to zrobić?

— Trzeba wybadać, gdzie on się znajduje. Na szczęście mamy jego fotografię, a nietrudno poznać twarz, znaczoną cięciem szabli. Widziano go w Marsylii, w jakiejś oberży, do której uczęszczają majtkowie i przypuszcza się, że wypłynął jednym z okrętów, które opuściły port pomiędzy 22 a 26 lutym. Postarałem się o listę owych okrętów, których na szczęście nie było zbyt wiele. Trzeba by wysłać telegraficznie policji portowej rysopis tam, gdzie owe okręty miały wylądować i spytać, czy taka osoba nie wysiadała, oraz prosić o wiadomość i wzięcie pod obserwację, gdyby ją zauważano. Stosownie do otrzymanej wiadomości, wysłać by należało następnym okrętem, agentów, którzy by na miejscu przedsięwzięli dalsze, potrzebne kroki. Jednym słowem, nie taję, że sprawa jest zawikłana, wymaga dużo czasu i pieniędzy.

Oficjał zażył tabaki i rzekł:

— Przypuśćmy, że agent znalazłby istotnie owego zakrystiana, powiedzmy w Nowym Jorku, albo w Rio de Janeiro: czy mógłby on go zmusić, żeby stawił się tu, jako świadek? Gdyż chyba dobrowolnie nie uczyniłby tego, jeśli słuszne jest pańskie przypuszczenie, że to on popełnił zabójstwo!

— Nie może go zmusić do stawienia się na świadka, ale zręczny agent takie mu zastawi pułapki, że będzie

mógł kazać go uwięzić, jako podejrzanego o przestępstwo i my, a raczej sąd, któremu przedstawimy dowody, żądać powinien jego wydania. Muszę być szczery i przyznać, że może nadaremnie będziemy się trudzić i wydawać pieniądze, ale wtedy przynajmniej możemy być spokojni, że uczyniliśmy wszystko, co się dało, aby odwrócić niesprawiedliwy wyrok śmierci i ciężkie zgorszenie.

— Myślę, że moglibyśmy pomówić raz jeszcze z arcybiskupem i przedstawić mu motywy szanownego pana adwokata — mówił regens do swego towarzysza.

— A jak wysokie mają być według pańskich obliczeń koszta owych poszukiwań, które, jak pan sam twierdzi, mogą być bezowocne? — zapytał oficjał obrońcę, nie zwracając uwagi na słowa swego towarzysza.

— Koszta? Są one trudne, a nawet niemożliwe do określenia. Zależą od tego, gdzie i w jaki sposób odnajdziemy Losera. Być może, że wystarczy paręset franków, może kosztować to będzie tysiące, a nawet dziesiątki tysięcy. Dzielni policyjni agenci każą sobie dobrze płacić za swoje usługi; do tego trzeba koszta podróży doliczyć itp. Trzeba wyznaczyć też jakąś nagrodę.

— Dziesiątki tysięcy — zawołał oficjał. — I to wszystko na los szczęścia? Nie, tego ja nie mogę z czystym sumieniem proponować księdzu arcybiskupowi. Ksiądz wie, ile wydaje on ze swych dochodów na biedne klasztory, szpitale i misje. Teraz jeszcze buduje się seminarium dla chłopców. To jest niemożliwe. Nie możemy się w to wdawać.

— Czy nie można by zaproponować składek pomiędzy wiernymi — zapytał nieco nieśmiało regens.

Oficjał wzruszył ramionami i rzekł:

— Czy nie możnaby żądać, aby sąd wyszukał i spro-

wadził na swój koszt owego świadka, w którym pan pokłada tak wielkie nadzieje?

— Oczywiście, przedłożę to żądanie — odrzekł pan Meunier — obawiam się jednak, że na wniosek prokuratora, sąd je odrzuci. Aby tak było, postara się nam o alibi dla zakrystiana i mam obawę, że nas tym od razu wprowadzi w fatalne i nieprzyjemne położenie. Gdybyśmy poszukiwania prowadzili na własną rękę, to prosiłbym o odroczenie sprawy pod pozorem, że nie mogę w tak krótkim czasie zebrać materiałów do obrony. Przez to zyskalibyśmy kilka miesięcy czasu, gdyż zaczną się wakacje sądowe. Widzę jednak, że panowie nie są skłonni ryzykować tak wielkich nakładów na niepewny wynik sprawy i nie mogę odmówić im pewnej słuszności. Zatem nie mówmy już o tym więcej. — Czy mogę jeszcze prosić o chwilkę uwagi? Otóż obwiniony (mówię oczywiście w zaufaniu i w chęci otrzymania rady) — ksiądz Montmoulin wydawał mi się nieraz zmieszany i to zawsze wtedy, ilekroć była mowa o tym nieszczęsnym zakrystianie, pomimo, że starał się to ukryć i rozmyślnie unikał o nim rozmowy. Przyszło mi do głowy, czy czasami nie wiąże go jakaś urzędowa, powiedzmy od razu, tajemnica spowiedzi?

— To trudno powiedzieć — mówił oficjał. — Dowiedziałem się przypadkiem, że ten zakrystian lata całe nie chodził do spowiedzi. Konsystorz skarżył się nawet na to merowi w S-te Victoire i prosił go o zwolnienie Losera z obowiązku zakrystiana, oczywiście bez skutku.

— Hm, wiem jednak z własnej praktyki, że zbrodniarz niezupełnie jeszcze zatwardziały, po dokonaniu pierwszego zabójstwa, doznaje takich przeżyć i wyrzutów sumienia, że w tym stanie zdolny jest do niezrozumiałych odruchów. Mianowicie odkrywano u nich często chęć ulżenia swemu sumieniu przez to, że komuś

zwierzyli się z występku. Niektórzy zdobywają się nawet na samooskarżenia przed policją. Przypuśćmy więc, że Loser popełnił zabójstwo, a potem, choć to brzmi nieprawdopodobnie, wyspowiadał się ze zbrodni przed księdzem Montmoulin, który naturalnie w żaden sposób zdradzić nie może tego, co usłyszał na spowiedzi.

— Pod żadnym warunkiem — zawołali obaj księża.

— Czyż jednak nie mógłby powiedzieć, że Loser spowiadał się u niego?

— I tego powiedzieć mu nie wolno! — mówił regens. — W tych warunkach byłoby to już naruszeniem tajemnicy spowiedzi.

— A przynajmniej pośrednim naruszeniem — dodał oficjał.

— Ja to rozumiem — odparł obrońca. — Ale czy chociaż tego nie mógłby powiedzieć, że widział Losera w dzień przestępstwa?

Obaj zamilkli i namyślali się czas jakiś.

— Ta okoliczność, że proboszcz widział Losera, nie może należeć do tajemnicy spowiedzi — rzekł wreszcie oficjał.

— Jeżeli jednak zakrystian tylko dla spowiedzi udał się do proboszcza, to według mnie, musi on zachować o tym milczenie, aby nie ucierpiał obowiązek kapłański zachowania owej tajemnicy — powiedział regens. — Prawdę mówiąc i mnie to na myśl przyszło, tylko pod innym nieco aspektem. Czy nie było możliwe, że w obawie, aby ksiądz Montmoulin nie skierował na prawdopodobnego sprawcę podejrzenia, zbrodniarz zaraz po popełnieniu przestępstwa udał się do proboszcza, by mu zamknąć usta zmyśloną spowiedzią? To przypuszczenie nasunęła mi okoliczność, że właśnie w przeddzień zabójstwa ksiądz Montmoulin mówił na kazaniu

niedzielnym nader przekonywująco o obowiązku zacho-zachowania przez kapłana tajemnicy spowiedzi.

— Udawane wyznanie grzechów nie jest spowiedzią i nie może też nakładać obowiązku dochowania tajemnicy — rzekł kręcąc głową oficjał.

— Tak, jeśli to jest zupełnie pewne, że grzesznik symuluje. Dopóki jednak wydaje się to spowiednikowi tylko prawdopodobne, musi uznać spowiedź i nie wolno mu nic z niej zdradzić — zauważył regens. — W każdym razie sumienie pobożnego kapłana doznawałoby wielkiego niepokoju i doskonale to pojmuję, że nasz poczciwy oraz skrupulatny ksiądz Montmoulin, aby nie naruszyć ani trochę tego świętego kapłańskiego obowiązku, woli raczej ponieść heroicznie najcięższą ofiarę. Być może, że nawet Loserowi obiecał nie ujawnić, że ten był u niego na spowiedzi.

— To wszystko jest bardzo prawdopodobne — rzekł pan Meunier. — pytanie, jakie panom chciałem zadać brzmi: czy można by wykorzystać to przypuszczenie wobec sądu? Czy mógłbym przedstawić przysięgłym możliwość zaistnienia takiego faktu? Mogłoby to wpłynąć na osłabienie wywodów prokuratora. Może szanowni księża znają przypadki, że kapłani zmuszeni do dochowania tajemnicy spowiedzi, niesłusznie byli skazani?

— Z pewnością, są takie wypadki i to nawet z nowszych czasów. Niedawno donosiły gazety o takim wydarzeniu w Polsce. Pewnego kapłana skazano i wysłano na Syberię za zabójstwo, które faktycznie popełnił jego służący, jeśli się nie mylę, ogrodnik i wyznał mu to na spowiedzi. Na łożu śmierci morderca przyznał się do przestępstwa. Można postarać się o materiały dotyczące tej sprawy — mówił oficjał.

— Doskonale! — zawołał pan Meunier. — Każę

zaraz szukać w bibliotece, gdzie z pewnością będzie dokładny opis tego wypadku w Polsce i postaram się o sprawozdanie z odnośnego sądu. Obiecuję sobie wiele pożytku z tego przykładu. A ksiądz, regens?

— Mówiąc otwarcie, nie życzyłbym sobie stawiania przed sądem kwestii związanych z tajemnicą spowiedzi. Pan wie, jak niewiara zakorzeniła się w naszej Francji i to niestety pomiędzy tak zwanymi inteligentnymi ludźmi. Obawiam się, że to, co dla nas jest święte, będzie przedmiotem lekkomyślnych drwin. Nie chciałbym też wprowadzać w zakłopotanie biednego księdza Montmoulin. Można się spodziewać, że prezydent sądu albo prokurator zada mu pytanie, czy w tym wypadku rzeczywiście chodzi o tajemnicę spowiedzi. Musiałby zaprzeczyć, jeśli potwierdzenie w jaki bądź sposób groziłoby naruszeniem tego świętego obowiązku.

— Można by z góry zapobiec takiemu pytaniu i zaznaczyć, że obwiniony odpowiedzieć na to nie może, gdyż właśnie byłoby to naruszeniem kapłańskiego zobowiązania. Trzeba by przy tym zaznaczyć dobitnie, w jakie położenie wtrącić może kapłana konieczność dotrzymania tajemnicy spowiedzi, do jakiej heroicznej ofiary go zmusza. Sądzę, że to musi uczynić dobre wrażenie na przysięgłych, a o nich nam przecież głównie chodzi. Nie podzielam obawy, że przy tej okazji to, co dla nas jest święte, mogłoby być lekceważąco traktowane. Nie zniósłby tego prezydent, nasz stan sądowniczy ma za wiele poczucia przyzwoitości, żeby dopuścić do wyszydzania religii w obecności sądu.

— Zgadzam się zupełnie z panem Meunier — rzekł oficjał. — Sądzę, że przypuszczenie, iż tajemnica spowiedzi może zamykać obwinionemu usta, wpłynie dodatnio na przysięgłych i opinię publiczną. Trzeba podnieść publicznie kwestię, jak ciężki obowiązek nakłada na kapłana sakrament spowiedzi. Dobrym tego przy-

kładem będzie historia o polskim kapłanie. Jeśli więc można zapobiec, aby nie zadano drażliwego pytania obwinionemu, to nie widzę powodu, by obrońca nie wykorzystał tej sprawy.

— Ksiądz oficjał ma rację — potwierdził regens — z chęcią to przyznaję. Rozstajemy się więc z nadzieją, że panu adwokatowi uda się obronić niewinnego i uratować honor naszego duchowieństwa. Będziemy wspierać to usiłowanie naszymi modlitwami i ofiarami mszy nwiętych.

— Bardzo dziękuję, potrzebuję tego teraz bardziej, niż, w jakimkolwiek z moich dawniejszych procesów. Kiedy pomyślę o tym, co grozi oskarżonemu i jak słabymi rozporządzamy środkami, opadają mi nieraz ręce. Jednakże tak jak do oskarżonego, tak i do siebie mówię wtedy: odwagi i ufności!

Uścisnąwszy serdecznie ręce pana Meunier, kapłani wyszli. Na schodach oficjał rzekł:

— Obawiam się, że będzie źle, skoro obrońca musi się zmuszać prawie do ufności w powodzenie sprawy.

— A ja wierzę, że pójdzie dobrze. Bóg, o którego sprawy tutaj chodzi, takim lub innym sposobem obróci wszystko na dobre — odpowiedział regens.

ROZDZIAŁ XV
Pielgrzymka do S-te Baume.

Nadszedł rozstrzygający dzień rozprawy sądowej. W całym Akwizgranie mówiono tylko o procesie Montmoulina i miasto podzieliło się na dwa obozy. Jeden rozgłaszał wszędzie o morderczym czynie kapłana i znajdował licznych stronników w towarzystwach, w

kawiarniach i w prasie, drugi wierzył w niewinność ks. Montmoulin, modlił się o jego zwycięstwo i mniej lub więcej otwarcie miał odwagę przyznać się do tego.

W domu piekarza Le Noir, żona broniła sprawy proboszcza nader dzielnie, dzięki obrotności swego języka, czyniła to dość skutecznie. Biada sąsiadowi, a nawet klientowi, który ośmielił się w piekarni, wyjawić swoją wątpliwość w niewinność kapłana! Dostawała mu się energiczna odprawa. Pan Le Noir nie był tak zupełnie przekonany. Oczywiście wystrzegał się wyrazić najlżejszą wątpliwość w obecności małżonki; zbyt wiele przykładał wagi do utrzymania w domu spokoju i korzystania z niezmąconego niczym spoczynku w wygodnym fotelu po trudach swojej pracy. Przy dzieciach, które przygarnął do swego domu, powodowany chrześcijańskim miłosierdziem, nie wyraził ani jednym słowem, że proces może mieć według jego przekonania smutny wynik, zbyt lubił małego Karola, żeby mu tę przykrość mógł zrobić. Sam jednak tak sobie mówił:

— Wprawdzie trudno mi pojąć, żeby kapłan mógł taki czyn popełnić, jednakże przemawia za tym wszystko, co się czyta i co się słyszy.

Od chwili, gdy wzywano pana Le Noir, aby zeznawał o owej podróży z zakrystianem, który go wówczas tak zachwycił opowiadaniem o swych bohaterskich czynach, poczciwy piekarz uważał się za należącego do kręgu państwowego oskarżyciela i występował ostro w obronie swego „przyjaciela” Losera, którego ośmielili się podejrzewać stronnicy adwokata księdza Montmoulin.

Właśnie przeprowadzał na ten temat małą dysputę z żoną. Pani Le Noir była oburzona, że ośmielił się przemawiać za „tym szkaradnym człowiekiem”, który

lata całe nie chodził do wielkanocnej spowiedzi. Krótko i wężłowato zadecydowała: przed sądem nie powiesz ani jednego słowa na korzyść tego łotra, który pewnie zamordował poczciwą panią Blanchard.

— Przed sądem muszę powiedzieć prawdę — odrzekł piekarz. — Jeżeli każą mi przysiąc, czy rzeczywiście owej soboty odwoziłem pana Losera na kolej i słyszałem, jak żądał biletu do Marsylii, to muszę powiedzieć: tak. Nie mogę przecież krzywoprzysięgać!

— A jeżeli przez to: „tak” wprowadzisz w nieszczęście biednego proboszcza, który jest z pewnością niewinny? Czy nie lepiej, abyś wcale nie chodził do sądu?

— Ażeby otrzymać karę z powodu odmówienia zeznań? Może nawet czekać mnie za to kilkuletnie więzienie! Nie, żono, ty tego nie rozumiesz. Jest moim obowiązkiem stawić się przed sądem i powiedzieć prawdę według swego sumienia.

— Mój Boże! Co za nieszczęście! Więc naprawdę musisz zeznawać na niekorzyść biednego proboszcza? Już bym się nigdy w życiu nie mogła położyć spokojnie do łóżka, gdybym wiedziała, że moje świadectwo przyczyniło się do skazania niewinnego człowieka! Ale to wina twego przechwalania się! Musiałeś wszędzie opowiadać, że jechałeś na kolej z tym nieszczęsnym zakrystianem i że ci opowiadał te swoje nadzwyczajne czyny, które z pewnością zełgał. I ci mężczyźni mówią zawsze, że baby to plotkarki i nie umieją trzymać języka za zębami!

Na szczęście Karol wszedł do pokoju w tym krytycznym momencie, kiedy pan Le Noir nie wiedział, co małżonce na to odpowiedzieć i był wskutek tego na pograniczu utracenia równowagi — a stawał się zły, gdy tracił grunt pod nogami. Chłopiec był bardzo

smutny ponieważ wołano za nim, gdy wracał ze szkoły, że w najbliższy poniedziałek na pewno skażą na śmierć jego wuja, a matka i babka dostaną się co najmniej do więzienia karnego. Oboje małżonkowie zadali sobie wiele trudu, aby uspokoić płaczącego, ale tymczasem kwestia sporna została przerwana i uratowano znów nadwyrężony nieco spokój małżeński.

— Jak można tak! — wołała oburzona pani Le Noir. — Uspokój się. Karolku, zobaczysz, że wszystko będzie dobrze. Jutro udamy się na tę dawno zamierzoną pielgrzymkę do S-te Baume i będziemy się tam modlić gorąco do świętej Magdaleny i Matki Boskiej Bolesnej, której święto przypada jutro właśnie. Wszak zawieziesz nas Andrzeju do Croy Rouge, do podnóża góry?

— Będziesz miała do swej dyspozycji kuca i wózek, droga żono, a Piotr będzie wam powoził — odparł piekarz, kontent, że nastał znów pokój. — Ja jednak nie mogę jutro z wami jechać, wiesz już o tym.

— A Julka, czy nie pojedzie? — zapytał Karolek, którego pocieszyła myśl o pielgrzymce, którą obiecywał sobie odbyć na intencję wuja.

— Naturalnie, Julka, ty i ja polecimy gorąco twoją rodzinę świętej patronce naszej Prowansji.

Istotnie nazajutrz pani Le Noir wyjechała z dziećmi wczesnym rankiem. Chociaż był to dopiero koniec marca, dzień był przepyszny, prawie letni, jaki mamy dopiero w końcu maja. Był to jeden z ostatnich pięknych dni wiosennych, gdyż wkrótce potem południowe słońce przepala świeżą zieleń krajobrazu. Teraz jednak oko rozkoszowało się widokiem soczystej trawy, zielonych drzew, starannie uprawianych ogrodów, schludnych zagród i gospodarstw, leżących na stokach gór oraz szafirowym niebem, którego sklepienie wraz z bły-

szczącym słońcem unosiło się nad tym wszystkim. Wiosenne pieśni ptasząt rozbrzmiewały równie ochoczo, jak przed setkami lat, kiedy to trubadurzy, podsłuchując ich wesołe melodie, ciągnęli tymi drogami ku dumnemu akwizgrańskiemu zamkowi, gdzie mieli swój dwór hrabiowie Prowansji i za pieśń przy wtórze złotostrunnych instrumentów płacili złotem i łaską pańską.

Nie przychodziło to oczywiście na myśl naszym pielgrzymom, jednakże piękny poranek i wesoły śpiew ptaków wywarły wrażenie na usposobienie dzieci i poczciwej pani Le Noir. Dopiero gdy przy zakręcie drogi ujrzeli kościół i klasztor S-te Victoire, o mało znowu nie popłynęły im łzy. Pani Le Noir zapobiegła temu serdecznymi słowami i zaczęła odmawiać głośno różaniec, aż dojechano do Croy Rouge, leżącego u stóp góry S-te Baume. Pozostawiono woźnicę i wózek w oberży „Pod złotą lilią" której szyld przypomina czasy dawnych królów i po krótkim posiłku zaczęto się wspinać pod górę.

Szli naprzód przez stary las, leżący u podnóża góry, jeden z niewielu w Prowansji, jakie oszczędziły siekiera i ogień. Potem dosięgli samej góry, której ściana podobna do szarego granitu, stromo i zuchwale sterczy ku niebu. Od strony północnej, zwrócone ku Akwizgranowi i wyżynom S-te Victoire, widoczne są z daleka na zawrotnej wysokości granitowe mury S-te Baume, świętej jaskini, w której według podania św. Magdalena spędziła ostatnie lata swego życia, poświęcone pokucie i rozmyślaniom. W ciągu setek lat tysiące pielgrzymów śpieszyły ku temu świętemu miejscu i znajdowały pociechę i pomoc w troskach i zmartwieniu. Tam to wąską, skalistą ścieżką, pnącą się zygzakowato po stromej górze, dążyła z trudem pani Le Noir z dziećmi. Przystawała często, aby zaczerpnąć po-

wietrza, lecz Karol i Julka biegli naprzód lekko jak sarny. Piekarzowa była ogromnie rada, gdy nareszcie dosięgnęli wąskiej platformy przed jaskinią, przy której wejściu zaledwie zmieścił się mały, do ściany przylepiony domek, w którym mieszkali dwaj dominikanie, strzegąc tego miejsca.

Zanim pani Le Noir weszła z dziećmi do jaskini, zatrzymali się wszyscy chwilkę dla odpoczynku i cieszyli wzrok wspaniałą panoramą gór, wznoszących się poza rozległą równiną od strony północno-wschodniej. W głębi wierzchołki lasów wydawały się małymi zaroślami. Ku zachodowi rozciągała się płaszczyzna i wzgórza przecinane przez rzekę Arc i jej dopływy, a bardziej na prawo sterczały nad niższymi wzgórkami skały S-te Victoire. Tam właśnie biegł najczęściej wzrok naszych pielgrzymów.

— Widzę szczyt, na którym musi być „Krzyż Prowansji", ale samego krzyża dojrzeć nie mogę — mówił Karol. — Nie mogę też odnaleźć klasztoru i wieży kościelnej w S-te Victoire.

— Wioskę i kościół zakrywa Camp de Marius — rzekła pani Le Noir — a zbyt jest stąd daleko, aby dojrzeć można było krzyż. — Nie zbliżajcie się tylko zbytnio do krawędzi, gdyż możecie dostać zawrotu głowy i spaść w przepaść. Chodźmy lepiej do groty i pomódlmy się serdecznie na intencję waszego wuja, matki i babki!

Weszli do groty i przyklękli przed obrazem, przedstawiającym świętą w chwili, kiedy niesiona na rękach aniołów, w zachwyceniu unosi się w powietrzu ponad górą.

— Widzicie dzieci, jak świętą Marię Magdalenę, patronkę naszej Prowansji, aniołowie wynosili co dzień z jaskini wysoko ponad górę, gdzie się potem wraz z nimi modliła — opowiadała pani Le Noir. — Poleć-

cie jej gorąco wasze strapienie, gdyż wiele może jej wstawiennictwo u Chrystusa, pod którego krzyżem stała.

Karolek i Julka przyglądali się ciekawie staremu malowidłu, które oświetlone skąpo migotliwym światłem srebrnych lamp, wyglądało w półmroku nader tajemniczo. Przyklękli przed nim i zanieśli w dziecięcej modlitwie prośby swoje za matkę, babkę i wuja.

— O święta, módl się za nami! Błagaj wraz z przeczystą Matką Bożą za naszą matkę i babkę, aby wypuszczono je z więzienia i za dobrym wujem, aby ujawniła się jego niewinność!

Tak modliły się dzieci i odmawiały jedno „Zdrowaś" za drugim, aż się zmęczyły i walczyć musiały ze snem.

Świece, które pani Le Noir zapaliła przed obrazem świętej, wypaliły się zaledwie do połowy, kiedy chłopiec oparł kędzierzawą główkę na złożonych rękach i zasnął podczas odmawianego półgłosem „Ojcze nasz". Julka zauważyła to i pociągnąwszy brata za ramię, szepnęła:

— Wstydź się; — wkrótce jednak i ona zasnęła w kąciku ławki.

Pani Le Noir pozwoliła im spać i dopiero skończywszy różaniec, obudziła dzieci i opuściła z nimi święte miejsce.

— Spaliście, zamiast się modlić — mówiła, uśmiechając się żartobliwie.

— O, z początku to ja się modliłem tak wiele i tak gorąco, że mi się zdawało, jakoby święta kiwnęła na mnie — rzekł Karol i dodał półgłosem:

— Teraz jednak zdaje mi się, że to ja się kiwnąłem, gdy zasypiałem. Ale też było tak mroczno w jaskini i komary tak głośno brzęczały.

— Tylko trochę! — śmiała się Julka. — Spałeś jak suseł. Schwyciłam cię za ramię i nawet nie poczułeś.

— No, nie masz powodów czynić braciszkowi wymówek — rzekła pani Le Noir. — Tyś sama o mało nie chrapała głośno w kącie ławki. Ale to nic, dzieci, to nie był grzech i myślę, że Bóg i tak przyjmie waszą modlitwę. Teraz napijemy się jeszcze wody ze źródła, które za sprawą boską wytrysło dla świętej ze skały, a potem pójdziemy na szczyt góry, na której wraz z aniołami wielbiła Boga.

Orzeźwili się wodą z chłodnej studzienki i obmyli zmęczone oczy. Potem krętą, stromą ścieżką przez las, dostali się na górę od strony wschodniej. Na płaskim szczycie stoi skromna, czworokątna kapliczka, wystawiona na pamiątkę modłów, które według prastarej legendy odprawiała ta święta pokutnica wraz z aniołami. I tutaj pani Le Noir pomodliła się wraz z dziećmi. Potem przeszła z nimi na południową stronę góry i ukazała im wspaniały widok, roztaczający się z wysokiego, ponad 1000 m wierzchołka S-te Baume.

— Patrzcie, tam na prawo, gdzie taka mgła, to Marsylia, na lewo leży Toulon, a za tym wszystkim, na końcu widnokręgu, urocze wyspy Hyeres.

— A pomiędzy tym morze, takie ogromne, ciemnoszafirowe! Na nim wiele okrętów z białymi żaglami! Julko! Widzisz tam ten wielki parowy statek, za którym ciągnie się długa, długa smuga dymu? Na takim statku chciałbym kiedyś jechać do dzikich ludzi, aby ich nawracać — rzekł Karol.

Kiedy dzieci napatrzyły się do syta na zielone wybrzeże i wspaniałe Morze Śródziemne zeszli na dół i zjedli poprzednio już zamówiony obiad pod „Złotą lilią".

Tymczasem pozostawiony w oberży woźnica Piotr opowiadał oberżyście i kelnerce, co to za dzieci i po co udały się na pielgrzymkę do S-te Baume. Naturalnie wieść o uwięzieniu proboszcza dotarła już i do Croy

Rouge i oczekiwano z niecierpliwością wyniku rozpraw sądowych. Kelnerka, która pomagała dzieciom zsiąść z wózka szczególnie zainteresowała się sympatycznym, ładnym chłopczykiem, rzekła do Piotra:

— To więc są siostrzeńcy tego księdza Montmoulin, o którym nasłuchać się można najokropniejszych rzeczy, jakie różni ludzie i w dzień i w nocy opowiadają w oberży! — Hm, i ja bym mogła powiedzieć słówko w tej sprawie, gdyby mi pozwolił mój gospodarz. Lecz on tłumaczy: zawezwą cię do sądu do Akwizgranu, aby układać tam zeznanie. Trudno opowiedzieć, jakie to kłopoty za sobą pociągnie. A i tak twoje świadectwo nic proboszczowi nie pomoże. Tak mówi gospodarz i dlatego milczałam dotąd, mam jednak wciąż takie wrażenie, że powinnam o tym powiedzieć.

Piotr zaczął wypytywać kelnerkę i dowiedział się od niej, że w pierwszym tygodniu postu, zdaje się we wtorek, widziała wcześnie rano, właśnie gdy otwierała drzwi, zakrystiana z S-te Victoire, idącego śpiesznie drogą. Był on dziwnie zmieniony, tak, że go od razu poznać nie mogła i dopiero, kiedy prędko przeszedł, powiedziała sobie:

— To był jednak zakrystian z S-te Victoire.

Ujrzała bowiem dokładnie bliznę na jego twarzy, pomimo, że nacisnął głęboko na czoło kapelusz i patrzył w inną stronę. Gdy potem doszła ją wieść o morderstwie w S-te Victoire, powiedziała o tym gospodarzowi, że Loser wydał jej się podejrzany, jednakże gospodarz odradzał jej zgłosić to, uważał za rzecz pewną, że proboszcz popełnił morderstwo. Nie miała też ochoty włóczyć się po sądach. Teraz jednak, gdy zobaczyła dzieci, ruszyło ją znów sumienie, czy nie powinna jednak zeznawać w tej sprawie. Co on — woźnica — o tym myśli?

Piotr nie należał do ludzi bardzo mądrych, jednakże

zdawało mu się, że zeznanie takie mogło mieć jakieś znaczenie i poskrobawszy się z zastanowieniem w głowę, odrzekł wreszcie, że zapyta o to swoją panią, skoro tylko zejdzie z gór.

— Bo pani Le Noir — mówił — ma rozum i chociaż jest tylko kobietą, rządzi swoim mężem.

To zadowoliło kelnerkę, a skoro tylko pani Le Noir powróciła do oberży, Piotr opowiedział jej, co słyszał. Pani Le Noir zdumiała się i wzniósłszy ku niebu wdzięczny wzrok, rzekła:

— Teraz wierzę, że modlitwa dzieci była skuteczna! Piotrze, zaraz zaprzęgaj. Zjemy prędko obiad i pojedziemy do domu. Zdaje mi się, że jest to rzecz wielkiej wagi, co ta dziewczyna mówiła. Ja zawsze twierdziłam, że sprawcą zbrodni jest ten łotr zakrystian, którego mój mąż tak broni. Naturalnie, że dziewczyna musi świadczyć przed sądem. Jak się ona nazywa?

— Słyszałem, że wołają na nią Nanette.

— Dam jej dobry napiwek i zapytam o nazwisko. Zaproszę, aby zatrzymała się u nas, gdy będzie w Akwizgranie i wyjaśnię, jak wielką wagę może mieć jej świadectwo przed sądem dla biednego proboszcza.

Tak się też stało. W parę minut później pani Le Noir znała już nazwisko kelnerki i zapisała je w swym notatniku:

— Nanette Joly.

Dziewczyna była gotowa stanąć przed sądem i poznać przy tej okazji miasto, tym więcej, że jedyna przeszkoda została szczęśliwie usunięta, bowiem próżna nieco Nanette skarżyła się, że nie ma odpowiedniej sukni i pani Le Noir obiecała jej piękny szal, który miał zakryć ten brak przed ludzkimi oczyma.

Z radosnym uczuciem pielgrzymi nasi powracali i stanęli w mieście przed zachodem słońca.

Jedź wpierw do adwokata Meunier na ulicę Château — zawołała na Piotra pani Le Noir. Szczęśliwie zasała jeszcze pracowitego obrońcę w kancelarii. Zameldowawszy, że ma do powiedzenia coś ważnego w sprawie procesu ks. Montmoulin, została prędko wprowadzona do pokoju adwokata i opowiedziała cale zdarzenie nader obszernie. Pan Meunier okazał wielkie zadolowolenie.

— Wiadomość jest rzeczywiście interesująca — mówił — i jestem pani bardzo zobowiązany. Prawdopodobnie przyniesie nam ona wiele korzyści. Bardzo bym jednak prosił nie rozgłaszać o tym zbytnio, aby przeciwnicy...

— Rozumiem, rozumiem! Nie należę zresztą do takich, którzy nie umieją milczeć. A więc ma pan nadzieję dowieść niewinności czcigodnego księdza proboszcza? O jakże byłabym szczęśliwą!

— Oczywiście mam nadzieję! Teraz jednak w interesie mojego drogiego klienta muszę sobie odmówić przyjemności dłuższej z panią rozmowy. Prawda, że mi pani wybaczy? Po zakończeniu procesu będę całkowicie na jej usługi.

Zaledwie pani Le Noir opuściła pokój, adwokat zadzwonił i zawołał do wchodzącego sekretarza:

— Idź pan prędko do kancelarii sądowej i każ dopisać na listę naszych świadków osobę, której nazwisko jest wypisane na tej kartce, jest to pilne, gdyż prokurator mógłby nam później tego odmówić. A potem zamów pan dla mnie konie na 6-tą rano do Croy Rouge.

— Jeśli nie zawiodę się na świadku, to sobie wiele po nim obiecuję. Nareszcie jakiś promień światła! — Czy wystarczy jednak, aby rozproszyć ciemności, nie śmiem jeszcze tego stanowczo twierdzić!.

Wieczorem następnego dnia Karolek stał na placu

naprzeciwko ratusza. Wielokrotnie przechodził niezdecydowany koło sławnej wieży zegarowej, której część dolna zbudowana była jeszcze przez Rzymian i podziwiana jest dotąd przez cudzoziemców. Z nieśmiałością spoglądał na wspaniały dom, leżący po drugiej stronie ulicy; mieszkał tam prezydent sądu, który, jak chłopcu mówiono, wydać miał wyrok na jego wuja. Kiedy nareszcie na wieży wybiła godzina 6-ta, zerwał się i zadecydował :

— Co tam, odważę się!

Z tymi słowami przeszedł ulicę, stanął przed wspaniałym domem i z ciękim sercem zastukał do drzwi.

Otworzył mu stary służący w liberii i zdziwiony patrzył na ładnego chłopca, który zdejmując czapeczkę z kędzierzawej główki, zapytał nieśmiało, czy może pomówić z panem prezydentem Paultier.

— Co możesz mieć za interes do pana prezydenta, mały przyjacielu? — zapytał zaciekawiony służący!

— Ach, panie, ja jestem siostrzeńcem tego biednego proboszcza, którego źli ludzie oskarżyli fałszywie i chciałbym przekonać o tym pana prezydenta. Chciałbym go też poprosić, żeby kazał nareszcie wypuścić z więzienia mamę i babcię, gdyż z pewnością nie uczyniły nic złego.

— Biedny malcze! Obawiam się, że twoje wstawiennictwo niewiele pomoże. Dowiem się jednak, czy pan prezydent, który dzisiaj jest w wyjątkowo dobrym humorze, zechce cię wysłuchać.

W kilka chwil później Karolek znalazł się w bogato umeblowanym salonie przed obliczem, elegancko ubranego pana. Ten przyglądał się badawczo chłopcu, który z początku urywanym głosem, wkrótce jednak śmielej przedstawił swoje życzenie.

Szczera prośba i skromne zachowanie się chłopca uczyniło dobre wrażenie, a kiedy Karol wystąpił z na-

iwnym oświadczeniem, że gotów jest zaprzysiąc przed sądem na niewinność swego wuja, ks. Montmoulin, po twarzy prezydenta przesunął się uśmiech. Zapytał:

— Powiedz mi, kto ci podsunął tę dziwną myśl?

Sądził bowiem, że chodzi tu o małą sztuczkę inscenizowaną przez któregoś z krewnych, w celu wywołania współczucia na korzyść oskarżonego.

Wtedy Karol opowiedział historię niewinnego młynarza Marcina, który tak samo jak jego wój oskarżony był o zabójstwo i niesłusznie skazany na śmierć a którego jednak sędzia uwolnił, ponieważ jakiś obcy człowiek złożył przysięgę o jego niewinności. Chłopiec opowiadał z przejęciem, toteż prezydent słuchał z przyjemnością.

— Tę śliczną historię wyczytałem kiedyś w książce, więc musi być prawdziwa, nasunęła mi ona myśl, żeby zrobić to samo dla wuja, który jest bardzo pobożnym i świętym człowiekiem. A ponieważ słyszałem, że pan prezydent jest bardzo dobrym i sprawiedliwym, odważyłem się przyjść tutaj i bardzo proszę powiedzieć mi, jak to zrobić, żebym mógł taką złożyć przysięgę, aby pan prezydent mógł wuja uwolnić.

— Słuchaj, mały, opowiadałeś bardzo ładnie i wszystko dobrze przedstawiłeś — rzekł prezydent, gładząc chłopca po głowie. — W tobie tkwi adwokat. Jest jednak jedna trudność, mianowicie, że dzieci nie mogą przysięgać przed sądem.

— Ach, mój Boże! — ale przecież ja już dzieckiem nie jestem!

— Ale brakuje ci jeszcze wielu lat do wieku, jaki prawo wymaga od świadków.

— A moim słowom nikt nie uwierzy? O panie, ja jeszcze nigdy nie kłamałem!

— Wierzę ci chętnie, że jesteś przekonany o niewinności wuja. Niestety, to nie wystarcza. Jednakże

przyrzekam ci zrobić wszystko, co będę mógł, aby uratować twego wuja. A co do matki i babki, będziesz je mógł odwiedzić, skoro tylko skończą się sądowe rozprawy. Czy jesteś zadowolony?

Chłopiec podziękował i obdarzony cukierkami poszedł do domu z nadzieją w sercu; prezydent zaś powrócił do swoich akt, mówiąc:

— Biedny chłopiec! Nie mogłem mu powiedzieć, jak źle stoi sprawa jego wuja.

ROZDZIAŁ XVI
Przed sądem.

Nadszedł dzień rozstrzygający. Na długi czas przedtem, zanim otworzono bramy sądu, ciekawy tłum zapełnił plac i pobliskie ulice. Ludzie popychali się wzajemnie, a każdy chciał być pierwszym, żeby zająć na galerii lepsze miejsce.

— Nic wam to nie pomoże — mówił odźwierny. — Wolno mi tylko te osoby wpuścić, które mają karty wstępu. Wydano 200 kart tylko, gdyż więcej ludzi galeria nie pomieści.

— Karty! — zawołał klnąc szewc z ulicy de la Colombe. — Na co mamy republikę? Na co ten napis nad bramą: Wolność, równość i braterstwo? Czy nie jesteśmy wszyscy równi wobec prawa. Złożę skargę do prezydenta.

— Zrób to, kochany przyjacielu! Ale tymczasem chcemy mieć na sali sądowej ludzi przyzwoitych, a ty, jak się zdaje, już dzisiaj zdążyłeś zalać sobie pałkę.

— Co? To w taki sposób traktuje ten wygalowany sługa sprawiedliwości wszechwładny lud? — ryczał pijanica.

— Chodź, chodź kumie! — rzekł mu krawiec — bo cię jeszcze wsadzą, jak niedawno temu. Masz rację, nie ma już we Francji równości wobec prawa! Gdybyś tak ty na przykład, albo ja zabił jakąś starą babę tak, jak ten ksiądz z S-te Victoire — czy myślisz, żeby się ludzie tak tłoczyli na rozprawy sądowe albo żeby wydawano karty? Chodź, i tak nie ma nadziei, żeby nas wpuszczono; przejdźmy na drugą stronę, gdzie wchodzą świadkowie i sędziowie.

— Dobrze, nagadamy im, żeby się nie dali.

„Szlachetna” para przeszła więc za narożnik i ustawiła się przed głównymi drzwiami, przez które teraz pojedynczo i grupami wchodzili świadkowie, przysięgli i członkowie sądu.

— To jest mer z S-te Victoire, ten, który wykrył zabójstwo i złoczyńcę. — Niech żyje ten dzielny człowiek! — zawołał ktoś z tłumu i zaraz za nim odezwało się wiele głosów:

— Niech żyje mer z S-te Victoire!

Nadeszła gromadka duchownych. Był między nimi czcigodny ks. regens i sędziwy proboszcz La Grande, otoczeni kilku profesorami seminarium i kolegami oskarżonego. Motłoch przywitał ich gwizdaniem i okrzykami:

— Precz z klerem! — brzmiało ze wszystkich stron.
— Acha, chcielibyście waszego kolegę obmyć z winy! — Myślicie, że to się da zrobić święconą wodą?

Oburzony stary proboszcz La Grange odwrócił się i rzekł:

— To tak w Akwizgranie lżą duchownych!

Równocześnie nadjechał powóz prezydenta.

— Niech żyje pan prezydent! Niech pan nie pozwoli wymknąć się temu księdzu — wołano za nim.

Pan Peultier spojrzał na tłum z niesmakiem i rzekł:

— Spokojnie! Nie godzi się francuskim obywatelom

uprzedzać wyrok sprawiedliwości, ani lżyć świadków lub sędziów. Jeśli się to powtórzy, to każę wojsku otoczyć ulicę i gmach sądowy. — Potem kłaniając się grzecznie, minął na schodach grupę duchownych.

Na chwilę tłum osłupiał.

— Czy ten pan Peultier przeszedł do klerykałów? — zapytał szewc.

— Nie, nie, on tak musiał postąpić, żeby klerykali nie krzyczeli, że jest stronniczy. — Patrzcie, idzie prokurator; ja myślę, że ten pokaże dzisiaj, co umie. Niech żyje prokurator!

Tłum nie przyjął tak łaskawie pana Meunier, który zbliżał się teraz z ciężką teczką pod pachą. Gwizdano i wołano na niego, czy myśli swoimi sztuczkami pozbawić kata nagrody. Kiedy jednak stary adwokat ze spokojem szedł prosto ku jednemu z głównych krzykaczy i z notesem w ręku zapytał go o nazwisko. Ten cofnął się i rzekł:

— Do kroćset! On mógłby nas w końcu jeszcze posadzić!

— Tak — odrzekł adwokat — kto nie ma odwagi przyjąć na siebie skutków publicznej zniewagi, ten lepiej zrobi, jeśli będzie zachowywał się przyzwoicie.

Wystąpienie pana Meunier odniosło ten skutek, że następne grupy świadków i przysięgłych przedostały się bez zaczepki. Kiedy jednak nadjechał zamknięty więzienny wóz z oskarżonym, podniósł się taki wrzask i gwizd, że mimo turkotu kół po bruku i szczelnie zamkniętego wehikułu, do uszu ks. Montmoulin dojść musiały wybuchy wściekłości motłochu, który życzył nieszczęsnemu kapłanowi śmierci z rąk kata. Ekwipaż wjechał w podwórze, a ponieważ zamknięto zaraz bramę, tłum widzieć nie mógł proboszcza, gdy ten wysiadł i otoczony żandarmami prowadzony był do gmachu sądowego. Być może, że niejeden poczułby litość, gdyby

ujrzał tego bladego człowieka, jak modląc się z cicha, szedł po rozstrzygnięcie swego losu.

Wrzawa trwała jeszcze w najlepsze wśród ulicznego tłumu, gdy zbliżył się pan Le Noir z żoną, z dziećmi i z Nanette. Piekarz udał się z Karolkiem, Julką i kelnerką do sali świadków, a pani Le Noir, dzięki karcie, którą jej dał pan Meunier, na galerię. Energiczna kobieta umiała się zręcznie przecisnąć wśród czekającego tłumu i wywalczyła sobie doskonale miejsce, skąd dobrze widzieć było można salę sądową.

— Proszę pana — rzekła śmiejąc się do jakiegoś jegomościa — jeśli mi pan pozwoli stanąć przed sobą, to ani na włosek panu zasłaniać nie będę, ponieważ jestem niska, a pan wysoki, tymczasem stojąc za panem, nie będę nic widziała. A muszę przecież patrzeć na mojego męża i na dzieci, którymi się opiekuję, a którzy też przed sądem wystąpią.

Jegomość uprzejmie puścił ją przed siebie.

Sala była ogromna, wysoka, światło wpadało przez kopułę. Na przodzie znajdowała się estrada, na niej stoły i krzesła sędziów, nieco wyżej, w środku stał fotel prezydenta. Ponad nim wisiał na ścianie wielki, piękny krucyfiks. Wzdłuż prawej ściany sali było wzniesienie dla sędziów przysięgłych, po lewej, również na podwyższeniu, stała ławka oskarżonego. Przed nią był pulpit obrońcy, naprzeciwko oskarżyciela. Służba była jeszcze zajęta ustawianiem krzeseł, układaniem na stołach ksiąg i aktów.

Wszedł pan Meunier w sądowym stroju, udał się do swego pulpitu, otworzył tekę i raz jeszcze przejrzał prędko akta; wszystko było w porządku, każdy arkusz był na swoim miejscu. Spojrzał na zegarek:

— Jeszcze pięć minut — tyle właśnie, ile potrzeba, aby się przygotować.

Usiadł i ze spokojem wpatrywał się w krucyfiks,

szepcąc cicho modlitwę. Jednakże prędko mu przerwano. Weszła gromadka kolegów i otoczyła go. Wkrótce potem prokurator zajął swoje miejsce, sztywno skłoniwszy się obrońcy. Pan Meunier zbliżył się do niego i uprzejmie podał mu rękę; młodszy o wiele prokurator podał mu końce palców i rzekł:

— Miła mi jest pańska uprzejmość, panie adwokatcie! Jeżeli można, to prosiłbym o to, abyśmy nie przeciągali zbytnio tej niemiłej sprawy! Pan ma na swojej liście świadków całą litanię takich ludzi, którzy chyba nic więcej zaświadczyć nie mogą, jak tylko o dobrej opinii oskarżonego. Po co? Jestem sam gotów stwierdzić, że proboszcz cieszył się najlepszą opinią. Niech pan skreśli połowę świadków!

— Z pewnością postaram się nie przeciągać bez potrzeby tej niemiłej sprawy, jak pan słusznie nazwał dzisiejsze posiedzenie i stosownie do tego, jak się ona potoczy, zrezygnuję z tego lub innego świadka. Czy mogę jednak prosić wzamian także o pewną grzeczność? Byłoby mi mianowicie bardzo przykro, gdyby oskarżenie, tyczące się jednego kapłana, przybrało charakter oskarżenia całego kapłańskiego stanu.

— Ha, ha! Ma pan na myśli powiedzenie: Ab uno disce omnes — jaki ten, tacy są wszyscy! — ale oto godzina wybiła i wchodzą członkowie sądu.

* *
*

Pan Meunier powrócił prędko na swoje miejsce, a sędziowie w uroczystych, urzędowych strojach weszli do sali i zasiedli na fotelach. Równocześnie na swojej trybunie ukazali się przysięgli i chociaż prezydent nie ruszył jeszcze dzwonka, umilkł gwar na galerii. Wszystkie oczy zwróciły się teraz na drzwi, którymi miał wejść

oskarżony. Na skinienie prezydenta otworzono je i w otoczeniu dwóch żandarmów ks. Montmoulin wszedł do sali.

Blady, z pochyloną głową, ale ze spokojem i godnością wszedł na środek sali, potem podniósł oczy ku sędziom i skłonił się im. Ujrzał wtedy krucyfiks i smutny uśmiech wykwitł mu na ustach. Odnalazł swego Pocieszyciela, ku któremu będzie mógł podnieść wzrok w ciężkiej chwili. Wydało mu się, że słyszy głos Umęczonego:

— Chodź, weź krzyż swój i idź za mną!

Mimo woli położył rękę na sercu i rzek

— Tak, Panie, ale daj mi Swą łaskę!

To spojrzenie i całe zachowanie się oskarżonego nie uszło uwadze prezydenta i przysięgłych. Prezydent pomyślał:

— Czyżby on był taki obłudny?

Prokurator mruknął półgłosem tak że usłyszeć go mogli przysięgli, w pobliżu których stał jego pulpit:

— Komediant!

W ogóle jednak pierwsze wrażenie, jakie odniesiono na widok oskarżonego, nie było niekorzystne, nawet pomiędzy widzami. Pani Le Noir ocierała sobie oczy chusteczką na widok więźnia, którego blade oblicze przy czarnej sutannie jeszcze bledszym się wydawało.

Ks. Montmoulin zajął tymczasem miejsce pomiędzy dwoma żandarmami na podwyższonej ławce, naprzeciw przysięgłych. Czuł, że wszystkie oczy są nań zwrócone i zaczerwienił się z lekka. Prezydent otworzył posiedzenie kilku stosownymi do okoliczności słowami. Popełniono okropne zabójstwo, zamordowano i obrabowano osobę powszechnie szanowaną, odobę zacną i znaną ze swej dobroczynności, a co gorsza, podejrzenie o ten czyn spada na kapłana, jej duchowego opiekuna. Jest obowiązkiem sprawiedliwości, która nie

zna względów ani przywilejów, aby rozstrzygnęła, czy oskarżony winien jest tej zbrodni, czy też jest niewinny.

Jednakże rozprawa prowadzona być powinna bezstronnie; on, prezydent, żałuje bardzo, że gazety traktowały ten wypadek z punktu widzenia politycznych interesów, że chciały go nawet wyzyskać do celów propagandowych i to zanim dowiedziono sądownie winy oskarżonego. Polityka nie powinna mieć wstępu do sali sądowej, jest to świętym obowiązkiem sprawiedliwości, nie zważać na osobę lub stan, ale jedynie na dowody.

Ku swemu ubolewaniu słyszał na ulicy oburzenie dla zbrodni i przedwczesne mniemanie że dowiedziono już tego czynu kapłanowi.

Ostrzega widzów na galerii, aby w toku rozprawy nie ujawniali swego zadowolenia lub nieukontentowania. Pierwsze zakłócenie spokoju spowoduje bezwarunkowo opróżnienie galerii.

Po takiej krótkiej przemowie prezydent postawił oskarżonemu zwykłe pytania: nazwisko, stan, datę urodzenia itp., na co ten odpowiadał ze spokojną godnością. Potem prezydent przypomniał obrońcy oskarżonego obowiązek; aby nie mówił nic takiego, co by sprzeciwiało się jego sumieniu albo szacunkowi, jaki winien jest sądowi i aby motywy swoje przedkładał ze spokojem i umiarkowaniem. Dalej zwrócił się do przysięgłych, którzy podnieśli się i z odkrytą głową przysłuchiwali się przepisanym przez prawo przestrogom, jakie prezydent przypominał:

— Przysięgacie i obiecujecie wobec Boga i ludzi, że badać będziecie z najsumienniejszą uwagą oskarżenia, które skierowane będą przeciwko ks. Montmoulin; że nie będziecie kierowali się ani nienawiścią lub niechęcią, ani obawą lub sympatią; że wydacie wyrok, zgod-

ny z waszym sumieniem i wewnętrznym przekonaniem z całą odwagą, jaka przystoi uczciwemu i wolnemu człowiekowi.

Każdy przysięgły wywołany przez prezydenta po nazwisku, podnosił się ze swego miejsca i mówił:

— Przysięgam.

Potem przewodniczący wezwał oskarżonego, aby uważnie wysłuchał oskarżenia, które mu miano przeczytać.

Sekretarz odczytał głośno, że Franciszek Montmoulin, proboszcz z S-te Victoire, dnia 20 lutego tego roku zamordował z rozmysłem i z rozwagą niezamężną, 65 lat liczącą, Marię Blanchard i zrabował jej sumę 12.000 flanków.

Pomimo, że treść oskarżenia z dawna już była znana i rozgłaszana przez dzienniki, uroczyste odczytanie zrobiło na słuchaczach potężne wrażenie; z litością lub z odrazą patrzyli wszyscy na oskarżonego, który słuchał z przymkniętymi oczyma, a przy słowie: zamordował, mimo woli się wzdrygnął. Spojrzawszy na krzyż, odzyskał znowu spokój i na pytanie prezydenta, czy zrozumiał dobrze, co czytano, odpowiedział wyraźnym głosem:

— Tak. — Jestem niewinny.

Podniósł się teraz prokurator, aby uzasadnić oskarżenie. Prosił, aby go usprawiedliwiono, że z obowiązku swego urzędu wystąpić musi przeciwko przedstawicielowi stanu, który jako taki wymaga poszanowania. Nie jest temu jednak winien oskarżyciel, jeżeli urazi głęboko uczucie wierzących, tylko zbrodniarz, który niepomny na swój stan, dopuścił się takiego, o pomstę wołającego zgorszenia.

Merowi z S-te Victoire, sędziemu śledczemu i jemu

samemu, który ma święty obowiązek wykryć zbrodnię i zbrodniarza oddać w ręce sprawiedliwości, trudno było uwierzyć, że morderca ukrywa się pod szatą duchownego. Dowody przemówiły jednak głośniej, niż te wątpliwości. On, jak i wszyscy urzędnicy, którzy brali udział w dochodzeniu sądowym, musieli dojść do przekonania, że obecny tu ks. Montmoulin należy do tej — niezbyt zresztą małej liczby kapłanów, którzy hańbią sutannę i swój stan. Nie wątpi ani chwili, że oskarżycielowi mocą niezbitych dowodów uda się przekonać wszystkich ludzi, wolnych od przesądów, a nawet najgorliwszych stronników kleru o istotnej winie oskarżonego.

— Samo przeczytanie protokółu o warunkach, w jakich zbrodnię spełniono i o pierwszym przesłuchaniu, musi przekonać wysoki sąd i panów przysięgłych, że sprawcą tego czynu mógł być tylko oskarżony — mówił dalej prokurator.

— Słuchajcie panowie!

I opowiadał o tym, jak mera i jego przyjaciół doszła wiadomość o zaginięciu zamordowanej; jak ten w myśl swoich powinności udał się zaraz do oskarżonego, sądząc, że panią Blanchard spotkał tylko jakiś wypadek; zastał go w niepokoju i to dopiero nasunęło merowi przypuszczenie, że popełniono zapewne zbrodnię. Oskarżony niechętnie zgodził się na rewizję domu — oczywiście, bo wiedział przecież, że doprowadzi ona do odkrycia przestępstwa. Tutaj najlepiej posłuchać protokołu.

Przeczytano protokół wolno i wyraźnie. Prokurator trzy razy przerywał czytanie, aby zwrócić uwagę przysięgłych na dziwne zachowanie się proboszcza w pierwszej rozmowie z merem i przy znalezieniu ciała i noża. Przyjaciele proboszcza przerazili się, gdy usłyszeli o tych faktach.

Gdy prezydent zapytał oskarżonego, czy uznaje prawdziwość protokółu, ten odpowiedział:

— Opis stanu rzeczy jest prawdziwy — objaśnienie mylne.

Prezydent:

— Więc ksiądz przyznaje, że pan mer i jego towarzysze znaleźli go chodzącego o tak późnej porze niespokojnie po pokoju? Jak to wytłumaczyć, skoro ksiądz twierdził, że był chory?

Oskarżony:

— Leżałem całe popołudnie w łóżku i musiałem jeszcze odmówić brewiarz.

Prezydent:

— Panowie twierdzą zgodnie, jakoby mieli wrażenie, że wiadomość o zaginieniu zamordowanej nie zdziwiła proboszcza i z tego wnoszą, że ksiądz musiał już przedtem wiedzieć o losie pani Blanchard. Co na to ksiądz powie?

Oskarżony:

— Czyż to jest możliwe? Czy można przypuszczać, że sprawca powiadomiłby mnie o tym?

Prezydent:

— Ksiądz odpowiada na moje pytanie wymijająco. Chodzi o to, czy ksiądz wiedział o zbrodni, czy też nie?

Oskarżony:

— Ponieważ nie można przypuszczać, żeby mi sprawca o tym powiedział, więc mógłbym tylko wówczas wiedzieć o zabójstwie, gdybym sam je popełnił. Powtarzam jednak zapewnienie o swej niewinności.

Prokurator:

— Zwracam uwagę panów przysięgłych, że oskarżony nie śmie zaprzeczyć, że nie zadziwiła go wiadomość udzielona przez mera. W związku z innymi dowodami znajdujemy w tej okoliczności oczywiste potwierdzenie, że to on sam popełnił zabójstwo.

Obrońca:

— Albo przeciwnie, skoro na twarzy mego klienta nie było zmieszania, czyż nie jest to dowodem jego niewinności? Jeżeli zresztą panowie się nie mylą, a może być przeciwnie, że wiadomość o zniknięciu nieszczęśliwej kobiety nie zdziwiła zbytnio księdza Montmoulin, to w odpowiednim czasie dostarczę panom inne, bardzo możliwe rozwiązanie tej zagadki. Obecnie objaśnienie moje zaprowadziłoby nas zbyt daleko.

Prokurator:

— Oczekuję z niecierpliwością tego wyjaśnienia. Może sądzi bogobojny pan obrońca, że proboszczowi ukazała się dusza zamordowanej albo anioł z nieba?

Na galerii rozległy się śmiechy, nawet przysięgli zagryźli usta. Uwaga obrońcy, że te słowa prokuratora nie były taktowne, nie znalazła wielkiego oddźwięku. Miano wrażenie, że odpowiedź oskarżonego nie była przekonywująca.

Prezydent wypytywał dalej proboszcza o jego zachowanie się przy rewizji. Odpowiedzi na te pytania były rzeczowe. Kiedy jednak mer stwierdził stanowczo, że oskarżony nerwowo spoglądał na drzwi komórki — otrzymano znowu wymijające wyjaśnienia. Prokurator zauważył ironicznie, że można to zdenerwowanie wyjaśnić ukazaniem się duchów i dziwi się, że pan obrońca dotąd jeszcze nie użył argumentu o duchach; prawdopodobnie odkłada to na wieczór, gdyż wtedy większe wywrze wrażenie. Jednak prezydent poprosił publicznego oskarżyciela, aby nie zakłócał powagi rozprawy takimi uwagami. Potem pytał dalej:

— Wszakże ksiądz pierwszy zauważył, co się kryje pod całunem?

Oskarżony:

— Widziałem, że wystają spod niego nogi zamordowanej.

Prezydent:

— Ksiądz pierwszy także protestował przeciwko podejrzeniu, że mógłby być sprawcą tego czynu, zanim go o to obwiniono?

Oskarżony:

— Chociaż mer nie wypowiedział tego słowami, ale traktował mnie tak, jakbym był oczywistym sprawcą.

Prezydent:

— Jak można wytłumaczyć poplamienie krwią sutanny?

Oskarżony:

— Klęczałem obok trupa, we krwi, jak to w protokole zaznaczono. Kiedy zauważyłem plamy, chciałem je wyprać.

Prezydent poinformował, że istotnie eksperci wyjaśnili, że niektóre plamy pochodziły z zakrzepłej krwi, co do innych nie byli pewni. Prokurator kazał pokazać sędziom i przysięgłym sutannę oskarżonego. Obrońca zwrócił uwagę, że plamy zaczynały się od kolan ku dołowi, co zgadzało się z objaśnieniem oskarżonego.

— Gdyby ślady krwi spowodowane były morderczym ciosem, który, jak twierdzi oskarżenie, zadała ręka mego klienta, to musiałyby znajdować się na rękawie i na przodzie sutanny. Sutanna, którą tu pokazują, jest właśnie dowodem niewinności oskarżonego.

To objaśnienie było logiczne, wywarło też korzystne wrażenie na przysięgłych, chociaż prokurator starał się osłabić je przypuszczeniem, że morderca powalił ofiarę na ziemię i potem zadał jej cios. Następne pytania, odnoszące się do noża i innych skrwawionych przedmiotów, które znaleziono w kuchni księdza Montmoulin, znów obciążyły księdza.

Przedstawiono nóż.

— Czy ksiądz uznaje ten nóż jako swoją własność? — zapytał prezydent.

— Tak — brzmiała odpowiedź.

— Nożem tym zadano rany zamordowanej, pokryty jest krwią, którą eksperci uznali jako krew ludzką. Co ksiądz powie na to?

Oskarżony:

— Mogę to tylko wytłumaczyć, że nieszczęsny zbrodniarz posługiwał się moim nożem i podłożył go potem w mojej kuchni, aby na mnie zwrócić podejrzenie.

Prezydent:

— Czy ksiądz ma przy tym kogoś na myśli?

Oskarżony:

— Myślę, że nie mam osobistych nieprzyjaciół.

Prezydent:

— Rzecz szczególna, jak ksiądz stara się obchodzić moje pytania! Ja nie pytałem o to, czy ksiądz ma osobistych nieprzyjaciół, tylko, czy kogoś nie podejrzewa?

Oskarżony:

— Nie mogę posądzać nikogo o taki czyn bez przekonywujących dowodów.

Prezydent:

— Przypuśćmy, że sprawca istotnie chciał zwrócić na księdza podejrzenie: czy nie wystarczyłoby, gdyby w tym celu użył jego noża i pozostawił go przy trupie? Po co miałby go nosić i chować w kuchni wraz z koszykiem i chustką, narażać się na to, że może być po drodze odkryty?

Oskarżony:

— W ten sposób mógł wzmocnić podejrzenie przeciwko mnie.

Obrońca:

— Proszę panów przysięgłych, aby zwrócili uwagę, że mój klient nie postawiłby przecież zbroczonego krwią kosza tak na widoku w swojej kuchni i schowałby również lepiej ów fatalny nóż.

Prokurator:

— Tak, gdyby nie stracił zimnej krwi podczas morderstwa. Być może, że zrobił tak nawet umyślnie, aby móc powiedzieć: Nie postąpiłbym tak głupio, tego musiał dokonać ktoś inny. Wkrótce jednak dowiedziemy, że nikt inny nie może wchodzić w rachubę.

Obrońca:

— Oczekujemy tych dowodów ze spokojem.

Prezydent:

— Jak oskarżony wytłumaczy, że pod ciałem zamordowanej znaleziono lichtarz, na którym wyryte było jego nazwisko?

Oskarżony:

— Używałem tego lichtarza na ołtarzu, podczas mszy świętej. Rano, owego nieszczęsnego dnia zniknął. Jakim sposobem dostał się pod trupa jest dla mnie zagadką.

Z zapartym oddechem łowili słuchacze pytania i odpowiedzi. Kiedy prezydent oznajmił, że przesłuchanie jest skończone i świadkowie muszą opuścić salę, a potem wzywani będą kolejno, słuchacze na galerii dzielili się szeptem swymi wrażeniami.

— Sprawa proboszcza źle stoi — mówił mężczyzna, stojący za panią Le Noir.

— Tak, tak, powinien był lepiej nóż schować — mówił inny.

— O, nóż nie jest tak ważnym dowodem, jak lichtarz — twierdził trzeci. — Co do noża miał trafne

wyjaśnienie, ale obecności lichtarza nie umiał zupełnie wytłumaczyć.

— Zamilknijcie — zawołała pani Le Noir. — Jak chrześcijanin może nawet przypuszczać, że ksiądz proboszcz, który wygląda tak bogobojnie i z takim spokojem znosi swój los, mógł coś tak strasznego popełnić?

— Ma pani rację. Wyraz jego twarzy i spokojne odpowiedzi bardzo mnie do niego dobrze usposobiły i nie sądzę, żeby jego sprawa tak źle stała — rzekł inny sąsiad.

— Chodzi tylko o to, czy uda się panu Meunier dowieść, że ktoś inny podłożył nóż w kuchni albo mógł to zrobić — powiedział z pewnością siebie stary człowiek, który od wielu lat bywał stale na wszelkich sądowych rozprawach.

— Zdaje mi się, że panią interesuje bardzo ten proboszcz? Ja interesuję się tylko rozprawami i tak znam się już na sądownictwie, że mógłbym dzisiejszym procesem kierować równie dobrze, jak pan prezydent. — No, na razie nie można jeszcze powiedzieć, jaki będzie przypuszczalny wynik sprawy. Uwolnienie — dożywotne zesłanie — gilotyna — wszystko to jest możliwe. Zobaczymy!

— Uwaga! Zaczyna się przesłuchiwanie świadków.

ROZDZIAŁ XVII
Przesłuchiwanie świadków.

Pierwsi świadkowie nie wzbudzili szczególniejszego zainteresowania. Byli to: mer, pisarz gminny, notariusz i inni panowie z S-te Victoire, którzy pozostali przy swoich zeznaniach, zamieszczonych w protokole. Obrońca pytał każdego z osobna o opinię, jaką oskarżony miał w gminie. Wszyscy musieli przyznać, że nie sły-

szeli nigdy nic złego o proboszczu, jedynie pan Corillou, oberżysta spod „Złotej Róży”, oświadczył z patosem:

— Uważałem go zawsze za obłudnika!

Na pytanie obrońcy, na jakiej podstawie opiera swe przekonanie, dawny aktor zawołał grzmiącym głosem:

— Ponieważ jest klechą! — otrzymał za to od prezydenta napomnienie.

Zainteresowanie wzbudziło dopiero ukazanie się starej Zuzanny. Sam jej widok podziałał mimo woli rozweselająco. Miała na sobie swoją prastarą, perkalikową suknię w wielkie kwiaty, świeżo wypraną i wykrochmaloną. Do tego nieźle dobrana byłaby pstra chustka, gdyby Zuzanna była młodsza — o lat 50. Kiedy jednak ujrzało się jej pomarszczone oblicze, wyglądające spod starego pogiętego słomkowego kapelusza, przybranego pękiem pomiętych, papierowych kwiatów, to i najpoważniejszy sędzia z trudem mógł powstrzymać się od śmiechu. Nawet na twarzy oskarżonego ukazał się na chwilę smutny uśmiech.

— Poczciwa dusza! — pomyślał — z pewnością wystroiła się tak na moją cześć.

Zuzanna złożyła najpierw ukłon przed ks. Montmoulin, potem przed prezydentem. Zaprzysiągłszy, że będzie mówiła tylko szczerą prawdę, na pytanie prokuratora stwierdziła: 1. Że okazanego sobie noża nie mogła odnaleźć już o 7-ej rano, a zaten trzy godziny przed przestępstwem. 2. Że proboszcz odesłał ją przed godziną 10-tą z nadmienieniem, że ma przyjść dopiero następnego dnia rano. 3. Że spotkała panią Blanchard u wejścia do klasztoru.

Na pytanie prezydenta, czy nie było drugiego, podobnego noża, odpowiedziała:

— Nie, mieliśmy taki tylko jeden.

Zapytana, czy nie wydało jej się dziwne, że ks. pro-

boszcz odesłał ją z poleceniem nie przychodzenia prędzej, jak następnego dnia rano, oświadczyła:

— Oburzyłam się na niego, ponieważ nie był zdrów. Ale on miał taki sposób postępowania i nieraz sam przygotowywał sobie kolację, mianowicie w post, który przestrzegał bardzo ściśle.

— Czy więc w klasztorze nie było nikogo, prócz proboszcza, kiedy pani Blanchard wchodziła? Niech świadek dobrze się namyśli nad odpowiedzią.

Wszyscy słuchali z natężoną uwagą; w sali było tak cicho, że można by było słyszeć szpilkę, spadającą na podłogę.

Zuzanna odpowiedziała:

— Namyślałam się nad tą odpowiedzią cały czas, odkąd uwięziono naszego biednego proboszcza i twierdzę, że zakrystian musiał się gdzieś w klasztorze ukrywać!

Po sali rozległ się szmer zdziwienia. Prezydent nakazał spokój i rzekł:

— Jakim sposobem? Czy świadek go widział? — Przypominam o przysiędze.

Zuzanna:

— Widzieć go nie widziałam, jednak musiał tam być. Nikt inny nie mógł popełnić tego zabójstwa, tylko ów łotr.

Prokurator:

— Zaraz dowiodę, że w tym czasie zakrystian nie mógł się znajdować w S-te Victoire. Jest to tylko czcze podejrzenie ze strony tej kobiety.

Zuzanna:

— O, z pewnością diabeł mógł go przynieść.

Prezydent:

— Świadek nie myśli przecież...

Zuzanna:

— Właśnie, że tak myślę! Jeżeli odważył się przenieść naszego Zbawiciela z pustyni do Jeruzalem i postawić Go na dachu świątyni, jak stoi w Ewangelii, to tym łatwiej mógł przynieść w odpowiednim czasie do klasztoru tego łotra zakrystiana, który nie był u spowiedzi od Bóg wie jak dawna. Diabeł go sprowadził, żeby zamordował tę dobrą panią Blanchard i naszego biednego proboszcza wpakował w takie o pomstę do nieba wołające położenie. Znam taką jedną historię, którą opowiadała moja nieboszczka ciotka, bardzo pobożna osoba: diabeł przeniósł w pół godziny jednego adwokata z Paryża na górę szubieniczną koło Marsylii — czy opowiedzieć panu tę historię, panie prezydencie?

Głośny śmiech napełnił salę. Prezydent zwolnił świadka, dodając, że to wstyd, aby między ludnością wiejską było jeszcze tyle zabobonów. Stara Zuzanna wzięła mu to za złe i odchodząc, nie uczciła go już ukłonem.

Kiedy powrócił spokój, prokurator oświadczył, że dowiedzie poprzez świadków alibi zakrystiana, którego obecne miejsce pobytu, niestety, niewiadome jest władzy, pomimo poszukiwań. Chciano rzucić podejrzenie na tego ze wszech miar godnego szacunku i dla ojczyzny zasłużonego męża; śledztwo wykluczyło jednak, aby ten mógł być w S-te Victoire rano dnia 20 lutego — oczywiście nie biorąc pod uwagę wysoce cudownego przypuszczenia, że nadziemskie albo piekielne siły przyniosły zakrystiana do S-te Victoire. Może obrońca szanowny podziela to przypuszczenie? W takim wypadku oczywiście dowody na to są zbyteczne.

Obrońca oświadczył, że ma nadzieję poradzić sobie i bez owego cudownego przypuszczenia. Pan Corillou

zeznał, że w przeddzień zabójstwa Loser dał mu wobec wielu świadków klucz od swego mieszkania, ponieważ, jak mówił, udawał się z interesami do Marsylii.

Obrońca zapytał zaraz, co to były za interesy.

— Chodziło o jakiś wielki spadek, który Loser odziedziczyć miał po bogatej ciotce w Lotaryngii. Wymienił sumę 40.000—50.000 franków i mówił, że w Marsylii musi się udać do adwokata, aby wydostać tę sumę od Prusaków.

Obrońca:

— Czy okoliczność ta znana jest prokuratorowi i czy wie on, że w całej tej historii o spadku nie ma słowa prawdy, co można dowieść urzędowymi dokumentami?

Prokurator:

— Istotnie, Loser zawinił w tym wypadku chełpliwością i przyznaję obronie, że przemawia to na jego niekorzyść. Jego alibi dowodzą wiarygodne świadectwa. Jestem przekonany, że pod „Złotą Różą” zawinił tylko niewinnym samochwalstwem.

Obrońca:

— Takie kłamstwo ma być tylko niewinnym samochwalstwem! A jednak wydaje się to jasne, że mniemanym bogatym spadkiem zakrystian chciał odwrócić od siebie podejrzenie, jakie wywołać musiałoby nagłe bogactwo, którego spodziewał się z uplanowanego morderstwa. Proszę panów przysięgłych by zwrócili uwagę na to, w jaki natrętny sposób starał się Loser zwrócić uwagę na swój rzekomy wyjazd do Marsylii. To wszystko w połączeniu z bezczelnym kłamstwem o spadku, odsłoni panom oblicze tego człowieka, którego ku memu zdumieniu pan prokurator nazwał: ze wszech miar szacunku godnym człowiekiem.

Prokurator:

— Przedstawimy dowody, że rano dnia 20 lutego Loser nie mógł być w S-te Victoire i to obali wszystkie zasłyszane wywody.

Wezwano więc pana Le Noir. Ku wielkiemu oburzeniu swej połowicy, uważał on to sobie za wielki honor, że mógł wieść owego wieczora na kolej tego szlachetnego obrońcę ojczyzny; poświadczył jeszcze, że ten przy kasie zażądał biletu do Marsylii. Kasjer przypomniał sobie również jegomościa z wielką szramą i poznał go na pokazanej sobie fotografii. To samo potwierdził kelner z bufetu, portier i dwóch urzędników. Jednomyślnie oświadczyli oni, że widzieli mężczyznę z wielką szramą owego wieczoru na peronie przed samym odejściem pociągu pośpiesznego do Marsylii. Pan Meunier zapytał świadków, czy nie odnieśli wrażenia, że mężczyzna ze szramą umyślnie chce na siebie zwrócić uwagę.

Kasjer i kelner potwierdzili to, inni mieli tylko wrażenie, że temu człowiekowi zależało bardzo na tym, aby nie spóźnić się na pociąg.

Wywołano teraz jednego z konduktorów, którzy jechali owym pociągiem do Marsylii. Zapytany twierdził, że nie tylko widział jegomościa ze szramą, ale stemplował mu nawet bilet i wepchnął go do jakiegoś przepełnionego przedziału. Pan Meunier wziął konduktora w krzyżowy ogień zapytań. Czy poznaje owego człowieka na pokazanej fotografii? — Tak, nietrudno takiego poznać. — Niech opisze szramę dokładnie. — Dokładnie opisać jej nie potrafi, ale przysiąc może, że to ten sam. — Czy może przysiąc, że pasażer ten jechał razem z nim pociągiem? — Tak, stemplował mu bilet i wepchnął go do przedziału, kiedy pociąg był już prawie w ruchu. — Czy znał kogoś z podróżujących, znajdujących się w tym samym przedziale? — Nie. —

Czy później w czasie jazdy widział człowieka ze szramą? — Nie powracał więcej do tego przedziału, gdyż pociąg był przepełniony. Zdaje mu się jednak, że przy wysiadaniu, w Marsylii, widział go jeszcze raz, nie może jednak na to przysięgać, gdyż był dość oddalony i zwrócony doń plecami.

Prezydent zapytał jeszcze raz:

— Więc pan przysięga, że mężczyzna ze szramą wsiadł do pociągu i odjechał nim?

— Tak — brzmiała odpowiedź — wsiadł on i musiał odjechać.

— Hm, co do tego ostatniego nie wydaje się pan być tak bardzo pewny — zauważył obrońca.

— Oczywiście, że jestem pewien — odrzekł gniewnie urzędnik. — Czy pan sądzi, że można opuścić wagon w obecności konduktora i nie być przez niego zauważonym?

— O, bynajmniej nie uważam tego za niemożliwe. Prosiłbym pana prezydenta o zapytanie obecnych tutaj urzędników kolejowych, czy rzeczywiście uważają to za niemożliwe.

Prezydent uczynił to i wyrok zapadł ku zadowoleniu prokuratora, że nie jest to absolutnie, niemożliwe, ale bardzo nieprawdopodobne, gdyż szereg innych urzędników obserwuje pociąg i oświetlony peron. Nadto zaświadczył jeszcze zawiadowca stacji, że przypomina sobie doskonale, iż owego wieczora po odejściu pociągu na peronie nie pozostał ani jeden podróżny.

— Jednakże ten bardzo ważny szczegół nie wydaje mi się dostatecznie wyjaśniony — mówił obrońca. — Dziwię się, że pan prokurator nie badał też urzędników stacyjnych w Marsylii. Ja uczyniłem to i urzędnik, który odbiera bilety przy wyjściu z peronu, po-

wiedział mi, że nie widział owej nocy żadnego człowieka ze szramą.

— Tak powiedział mi on to samo — wtrącił prokurator — zauważył jednak, że nie ma czasu obserwować fizjonomii podróżnych, tylko musi ograniczać się do zwracania uwagi na to, czy bilety są ważne, więc mógł nie zauważyć człowieka ze szramą. Krótko mówiąc, alibi zakrystiana wydaje się jasne jak słońce, o ile pan obrońca nie powoła się na cud, za którego pomocą Loser wydostałby się z będącego w ruchu pociągu.

Obrońcy udało się zatem bardzo nieznacznie osłabić ten ważny punkt oskarżenia. Próbował więc przedstawić, że zakrystian mógł jeszcze wrócić pociągiem rannym. Ale to zawiodło zupełnie. Jegomościa ze szramą nie widział nikt ani w Akwizgranie, na dworcu, ani na drodze do S-te Victoire. A gdyby nawet mógł on być w S-te Victoire przed godziną 10-tą, to i tak niczego nie dowodzi; musiałby być na miejscu o godzinie 7-ej rano i wziąć nóż z kuchni, o ile był sprawcą zbrodni. Żeby jednak drogę z Marsylii do S-te Victoire przebyć przed godziną 7 rano, trzeba by wynająć pociąg specjalny albo podzielić zdanie starej Zuzanny i wytłumaczyć to diabelską podróżą — zauważył złośliwie prokurator.

Obrońca jednak nie ustąpił. Powrócił do pierwszego wniosku i twierdził, że jednak zakrystianowi musiało się udać opuścić pociąg w ostatniej chwili i przejść pomiędzy rzędami wagonów. Może przedstawić świadka, który widział zakrystiana rano już po przestępstwie, idącego od strony S-te Victoire; musiał więc być tam w czasie zbrodni. Chciał zaprezentować tego świadka później, prosi jednak prezydenta, aby wywołał go poza kolejnością. Prokurator nie miał nic przeciwko temu, zastrzegając sobie tylko, że i jemu ewentualnie

wolno będzie przedstawić swoich świadków bez trzymania się kolejności. Oczywiście zgodzono się na to, i do sali weszła kelnerka z Croy Rouge.

Gdy w sobotę rano prokurator ujrzał na liście świadków nazwisko Nanetty Joly i usłyszał, że pan Meunier jeździł do Croy Rouge, uznał za potrzebne pojechać tam także i wybadać, co jest wart ten nieznany świadek.

To, czego się dowiedział, mogłoby może nadać inny kierunek śledztwu. Ale już zanadto wbił sobie w głowę przekonanie o winie proboszcza, tak, że nawet przed sobą nie mógł się przyznać do omyłki i do tego, że może znajduje się na fałszywym tropie. Trzeba więc było osłabić świadectwo kelnerki. Pozbierał zatem opinię o świadku i powrócił do Akwizgranu dość zadowolony.

Nanetta Joly stanęła przed obliczem sędziów ustrojona w nowy szal, kłaniając się na prawo i na lewo, uśmiechając uprzejmie i ani przeczuwając jakie złe zamiary knuje względem niej prokurator, który w sobotę rozmawiał z nią tak po przyjacielsku. Wymieniwszy nazwisko stan, wiek — to ostatnie nieco ciszej — miała złożyć przysięgę. Wtedy podniósł się prokurator i oświadczył, że co do tego ma pewne zastrzeżenia. Przede wszystkim zapytał świadka, skąd ma ten piękny szal, w którym jej tak do twarzy?

Wystraszyła się nieco, jednakże szybko przyszła do siebie i odparła drwiąco, że go nie ukradła i co to kogo może obchodzić?

— Zaraz to wyjaśnię — brzmiała odpowiedź. — Dała go pannie niejaka pani Le Noir za obietnicę świadczenia tu na korzyść księdza Montmoulin. Czy panna może temu zaprzeczyć?

Piekarz Le Noir o mało nie spadł z krzesła, usłyszawszy te słowa. Rzucił zrozpaczone spojrzenie na ga-

lerię, ku swojej żonie i ujrzał, że ta z oburzeniem załamuje ręce. Kelnerka zaczerwieniła się i wybąkała coś niezrozumiałego. Prędko przyszedł jej z pomocą obrońca i kilku pytaniami wyjaśnił, że szal otrzymała nie za przyrzeczenie zeznania czegoś, tylko jako podarunek wzamian za stratę czasu; zatem nie ma w tym usiłowania przekupstwa. Po krótkiej naradzie, sąd przychylił się do tego wniosku, zganił jednak panią Le Noir za popełnioną dobrodusznie nierozwagę i następnie chciał zaprzysiąc świadka. Jednakże prokurator poprosił, aby wpierw wysłuchano opinie o osobowości kelnerki. Wprawdzie świadkowie nie mogli jej zarzucić nic złego, przedstawili jednak Nanettę Joly, jako osobę, która nie raz już rozgłaszała nieprawdziwe lub przesadne plotki, a oberżysta powiedział wprost, że nie wierzy w jej słowa i jest zdania, że Nanetta wymyśliła całą tę historię dlatego, żeby zwrócić na siebie uwagę i mieć sposobność przybycia do Akwizgranu.

Znowu sąd zastanawiał się nad wiarygodnością świadka. Przyznano jej prawo zeznań, a prezydent przypomniał o świętości przysięgi i karze za krzywoprzysięstwo, a biedna dziewczyna tak była roztrojona wszystkim, co o sobie słyszała, że z płaczem zaledwie mogła składać zeznania.

Prokuratorowi udało się speszyć ją tak, że jej ważne świadectwo, na którym pan Meunier pokładał tak wielką nadzieję, nie uczyniło oczekiwanego wrażenia.

Natomiast prokurator mało miał szczęścia z następnymi świadkami. Nie udało mu się zupełnie wyjaśnić motywu zbrodni. Takiego czynu wytłumaczyć nie mógł mały dług, który miał do zapłacenia oskarżony lub jego matka, ani zamówienie książek, lub nieznaczne wydatki na planowane urządzenie mieszkania. Nie mógł

też uzasadnić przekonywująco decyzji uwięzienia matki i siostry podsądnego. Jako jedyny błahy powód, przytoczono słowa obojga dzieci o wielu pieniądzach, jakie babka miała przywieść do domu z S-te Victoire. Prezydent przesłuchał dzieci, a panu Meunier łatwo udało się wyjaśnić znaczenie ich gadaniny.

Gdy prezydent zwalniał Karolka od dalszych zeznań, chłopiec podniósł do góry palec tak jak to jest zwyczajem w szkole i prosił, czy nie mógłby jeszcze czegoś powiedzieć. Uzyskawszy pozwolenie, rzekł:

— Ten człowiek z czarną brodą, który od samego rana mówi tyle złego o moim biednym wuju, nie mógł wiedzieć, jakim sposobem lichtarz, który był na ołtarzu, znalazł się w tej strasznej komórce. Ja mogę to wytłumaczyć.

I Karol zaczął opowiadać, jak obawiał się iść sam przez korytarze klasztorne. Stara Zuzanna opowiadała mu, że ścięte zakonnice przechadzały się nieraz po ciemnych gankach, trzymając w rękach swoje głowy; dlatego wziął z ołtarza lichtarz, rzucił go jednak, ujrzawszy na całunie trupią głowę i uciekł.

W ten sposób lichtarz dostał się do komórki, a to jest fałsz, co mówi ów człowiek z czarną brodą, że wuj z lichtarzem w ręku odprowadzał tę starą panią i potem ją zamordował. A fe, mój panie! Jak pan mógł coś takiego wymyślić? Panie prezydencie, powinien pan go ukarać za takie kłamstwo!

Sędziowie zagryźli usta, przysięgli śmiali się, a słuchacze na galerii mieli takie miny, jakby chcieli bić chłopcu oklaski za tę przemowę. Prezydent przeszkodził temu jednak i oświadczył, że posiedzenie przeciągało się już zbyt długo, więc ogłasza przerwę na dwie godziny.

Odprowadzono ks. Montmoulin do celi oskarżonych,

znajdującej się w sądowym budynku. Zaniesiono mu tam jedzenie, ale zrozumieć łatwo, że trudno mu było przełknąć choćby kąsek.

— Żeby już było po wszystkim! — westchnął.

Ze zgryzoty i zmęczenia zasnął i w śnie zdawało mu się, że widzi św. Jana Nepomucena, którego pomocy tak często wzywał w więzieniu, idącego ku niemu z wieńcem.

— Czy to oznaka zwycięstwa? — zapytał świętego.

Tamten uśmiechając się odrzekł:

— Nie jeszcze! Najpierw wieniec cierniowy!

Biedny ksiądz z drżeniem przyglądał się cienkim gałązkom, z długimi ostrymi kolcami. Miał właśnie wziąć wieniec w rękę, kiedy obudził się i ujrzał przed sobą obrońcę.

— To mi się podoba — rzekł pan Meunier — że proboszcz skorzystał z przerwy, aby się przespać. Chciałbym tylko móc to pokazać przysięgłym, widok ten byłby ich może więcej przekonał o niewinności księdza, niż moje dowody. Widzę jednak, że proboszcz prawie nic nie jadł i nie pił. Trzeba się wzmacniać! Posiedzenie potrwa może do północy i będzie bardzo wyczerpujące. — No, dotąd możemy być zadowoleni. Wprawdzie nie wszystko nam się udało, zdaje mi się jednak, że zachwiałem nieco argument przeciwnika, dotyczący alibi zakrystiana. A ten jedyny motyw, którym prokurator uzasadnić chciał przestępstwo, wymknął mu się prawie. Doskonale opowiadał Karolek. Takie epizody wpływają dobrze na usposobienie przysięgłych. Jednym słowem sądzę, że możemy liczyć na uwolnienie. Oczywiście, musimy mieć się na baczności. No, ale ksiądz umie to, czego nie umiał żaden z moich klientów, to jest modlić się! — Chciałem jeszcze zapytać — czy nie poprosić, aby zeznawała też przed sądem matka proboszcza? Oczekiwałem, że zrobi to prokurator, ale

może się rozmyślił w obawie, by jej widok nie wzbudził litości przysięgłych.

— Na miłość Boską, nie czyń tego! Jakże bym mógł sprawić taką przykrość swej matce! A przy tym bądź pan łaskaw pamiętać, że nie chcę litości od sędziów, ale sprawiedliwości. Uwolnienie polegające nie na przekonaniu o mej niewinności, ale powodowane uczuciem litości byłoby dla mnie bezwartościowym. Ze względu na swój stan, muszę życzyć sobie zupełnego zwrotu czci, wszystko inne jest mi obojętne!

— Dobrze. Zrobimy wszystko, co jest możliwe! Módl się, księże!

* *
*

Otwarto znów posiedzenie. Pytano najpierw świadków obwinionego. Starzy nauczyciele ks. Montmoulin świadczyli, że był on zawsze wzorowym uczniem to samo wyrazili jego koledzy; nigdy nie zauważono w nim skłonności do okrucieństwa, do kłamstwa albo chciwości. Nie miał usposobienia ponurego, przeciwnie, był rzeźkim wesołym chłopcem, łubianym przez współtowarzyszy, jeszcze pochlebniejsze świadectwo wystawili mu profesorowie seminarium, a szczególnie ks, regens, który znał go jako seminarzystę i jako kapłana, odznaczającego się zawsze czystością obyczajów, bogobojnością i godnością. Sędziwy proboszcz z La Grande mówił:

— Oskarżonego miałem przez dziesięć lat ciągle na oczach jako wikariusza i tylko jeden błąd w nim znalazłem: zbyt wielką gorliwość i za dobre serce względem ubogich i chorych. Oddawał im ostatnie grosze ze swej kieszeni, prawie ostatnią bieliznę, tak, że z tego powodu musiałem go nie raz upominać, gdyż jego ubranie często nie odpowiadało godności stanu. Nie mogę

zupełnie pojąć, jak można przypuszczać, aby taki człowiek zdolny był do morderstwa.

Następnie szereg biednych ludzi z La Grande i z S-te Victoire opowiadali o dobrodziejstwach, doznanych od ks. Montmoulin. Wszystko to nie mogło nie wywrzeć wrażenia na przysięgłych. Prokurator kręcił się niecierpliwie na swoim krześle i co chwilę spoglądał na zegarek. Nareszcie zerwał się i rzekł:

— Szanowny mój kolega wystawia nas na całkiem zbyteczną próbę cierpliwości. Już na samym początku obiecałem mu, że przyznam oskarżonemu jak najlepszą opinię. Po cóż więc przesłuchiwać bez końca te szeregi świadków?

Prezydent odrzekł, że nie ma zamiaru ograniczać w niczym obrony i że zostawi również swobodę prokuratorowi co do liczby świadków.

Pan Meunier prosił o wysłuchanie dwóch jeszcze.

Pierwszym okazał się ów młody chłopiec, który wzywał proboszcza w noc, poprzedzającą zbrodnię, do chorego ojca. Ten opowiadał, jak ks. Montmoulin całą noc modlił się u łoża umierającego i dopiero nad ranem powrócił do domu wśród burzy i deszczu.

— Czy można w to wierzyć — mówił obrońca — aby człowiek, który spełnia swój obowiązek z takim heroicznym poświęceniem i bogobojnością, w trzy godziny później miał popełnić zabójstwo?

Ostatnim świadkiem był dr Corbillard, który, jako lekarz sądowy, dokonywał obdukcji ciała. Ten również wystawił proboszczowi chlubne świadectwo.

— Nie jestem zresztą przyjacielem tych panów w sutannach i od wielu lat nie byłem w kościele, ale, co prawda, to prawda, uważałem zawsze księdza Montmoulin za prawdziwego przyjaciela ludzi i bardzo nad tym boleję, że go widzę w tak przykrym położeniu.

Obrońca:

— Zatem pan uważa, że oskarżony byłby niezdolny do takiego czynu?

Doktor:

— To sąd musi orzec. Ja w każdym razie nawet we śnie bym tego nie przypuszczał.

Obrońca:

— A jeśliby sąd, czego na chwilę nie przypuszczam, uznał jednakże przestępstwo za dowiedzione, jakby to pan objaśnił ze stanowiska lekarza?

Doktor:

— Hm, przyznaję, że w ostatnim czasie myśl ta mnie nieraz zaprzątała. Studiowałem tę sprawę i doszedłłem do wniosku, że zapatrywania lekarzy, którzy tłumaczą niekiedy takie niezrozumiałe fakty chwilową niepoczytalnością, nie są bezpodstawne. Już starożytny Galenus powiada: Mózg jest tkanką nie do zbadania, jeszcze mniej zrozumiałą jest jego działalność, ale najmniej jego dolegliwości. W istocie przejściowy nacisk na pewne miejsca, przejściowe zapalenie pewnych tkanek, mogą wywołać chwilowe zaburzenie umysłu, momentalny obłęd. W takim stanie człowiek jest oczywiście niepoczytalny, nawet później zaledwie sobie przypomina, co wówczas uczynił.

Prokurator:

— Czy nie przypomina sobie nawet tego, że znajdował się w takim chorobliwym stanie?

Doktor (wahając się):

— Nie tak łatwo — i przyznaję, że te, zresztą bardzo rzadkie wypadki, nie występują nie poprzedzane przez pewne chorobliwe, nerwowe usposobienie, którego zresztą nie zauważyłem poprzednio u oskarżonego.

Prezydent (do oskarżonego):

— Co obwiniony powie na to objaśnienie?

Oskarżony:

— Czułem się wprawdzie niezdrów, ale...

Prezydent:

— Nie jest ksiądz zresztą obowiązany zeznawać na swoją niekorzyść.

Oskarżony:

— Dziękuję. Nie mogę wyciągnąć korzyści z tego wyjaśnienia. Jestem najzupełniej przekonany, że w chwili odejścia nieszczęśliwej pani Blanchard znajdowałem się przy zupełnie zdrowych zmysłach. Odmawiałem brewiarz w tym czasie, gdy stało się straszne przestępstwo, a potem położyłem się do łóżka.

Obrońca ze smutkiem zajął swoje miejsce, mówiąc:

— Skończyłem przesłuchiwanie moich świadków — a pomiędzy słuchaczami zauważyć było można wielkie poruszenie.

— Głupiec — szepnął sąsiad pani Le Noir, który twierdził, że interesują go wszystkie rozprawy. — Powinien był skorzystać z sugestii obrońcy, to prawdopodobnie zostałby uwolniony. Teraz sam zamknął sobie drogę wyjścia.

— Sądzi pan? — zapytała pani Le Noir wystraszona. — Możnaby wnosić, że to właśnie powinno dowodzić jego niewinności!

Prezydent oświadczył teraz, że każe przyprowadzić matkę obwinionego, aby umożliwić sędziom przysięgłym wydać wyrok o tej kobiecie, która według oskarżenia miała przechować rzekomy łup. Nie było to zbyt przyjemne dla prokuratora, lecz przewodniczący obstawał przy swoim prawie.

Pani Montmoulin ukazała się na sali. Zmartwienie i troska o ukochanego syna i cierpienia pięciotygodniowego więzienia uczyniły z tej krzepkiej jeszcze kobiety zgrzybiałą staruszkę. Szła pochylona i drżąca, za-

ledwie mogąc utrzymać się na nogach. Gdy ujrzała syna, siedzącego na ławie oskarżonych pomiędzy dwoma żandarmami, oczy jej napełniły się łzami i szlochając głośno przytrzymać się musiała krzesła, które prezydent kazał jej podać. Nie mniejszego bólu doznał ks. Montmoulin na widok matki, którą ledwie poznał. I na jego rzęsach zabłysły łzy. Poruszony do głębi spojrzał na krucyfiks:

— Panie, daj jej i mnie pociechę i siłę! Ty wiesz, dlaczego stoimy tutaj oboje! — westchnął.

Matka zrozumiała spojrzenie syna i złożyła ręce; za chwilę mogła już odpowiadać na pytania prezydenta. Dotyczyły one poprzedniego życia, ubogich klientów, dzięki którym uczciwą pracą znaleźć mogła utrzymanie, tak, że nie potrzebowała przyjmować od syna zapomóg, z wyjątkiem owych 500 franków, które ofiarowała proboszczowi tak okrutnie zamordowana pani Blanchard. Zeznanie starej kobiety było przekonywające, chociaż prokurator starał się poddać w wątpliwość prawdopodobieństwo tego podarunku. Po dłuższym wypytywaniu pozostawił jednak starą kobietę w spokoju i ta rzuciwszy na syna bolesne spojrzenie, płacząc cicho wyszła z sali.

ROZDZIAŁ XVIII
Wyrok.

Porozumiawszy się z sędziami, prezydent dał głos prokuratorowi, który rozpoczął mowę oskarżającą. Pan Jouber był zręcznym mówcą sądowym i obawiano się go. Rozpoczął wspominając o łatwo zrozumiałej litości, jaką zapewne każdy w sali odczuwa dla staruszki, która przed chwilą stawała przed sądem. Uważa on oskarżonego za winnego zbrodni, a matkę za jego wspólniczkę,

jednakże serce ludzkie nie może odmówić pewnego współczucia.

— Nie powinno ono jednakże sięgać tak daleko, aby stawało się słabością i aby choć na włos przechylało wagę sprawiedliwości. Przysięgliśmy przecież sądzić tylko według świadomości i sumienia, a nie rządząc się nienawiścią lub litością.

Po tym wstępie oskarżyciel ze spokojem przystąpił do rzeczy.

Po dokonaniu śledztwa nasunęło się zaraz przekonanie, że przestępstwo popełnić mogła tylko ta osoba, która zapoznana była dobrze ze stosunkami klasztornymi i miejscowością. Toteż od razu mowa magła być tylko o zakrystianie Loserze, jednej lub dwóch innych osobach, których niewinność tak jednak była wyraźną, że ich nazwisk obrońca nawet nie wymienił, i o proboszczu. Ten wydał się podejrzany z przyczyny swego zachowania podczas przesłuchiwania przy rewizji domu i odnalezieniu ciała. Na niego wskazywał przy tym .skrwawiony nóż, znaczony jego inicjałami i znaleziony w jego kuchni wraz z innymi przedmiotami, należącymi do zamordowanej. O poplamionej krwią sutannie nie chcę już nawet wspominać. To wszystko razem mówi tak dobitnie o winie oskarżonego, że trzeba by gwałtem zatykać sobie uszy, aby nie słyszeć, jak przemawiają oczywiste dowody. Właśnie tu w tym wypadku przytoczyć należy znane słowa Marka Tulliusa:

— Rzecz sama woła za siebie, co zawsze najsilniejszym bywa dowodem.

— Jednakże śledztwo ze względu na nienaganne dotychczas życie obwinionego nie zadowoliło się tym dowodem. W istocie mógłby on potwierdzać tylko wielkie prawdopodobieństwo.

— Postąpiliśmy o krok dalej i rozumujemy tak: Przestępstwo spełnione zostało 20 lutego, pomiędzy

godziną 10 a 10 i pół. W owym czasie nie było w klasztorze nikogo, prócz proboszcza i zamordowanej. Przyznał to obrońca, jak i obwiniony i zostało to potwierdzone dowodami. Co do tego twierdzenia — obrońca zadał sobie dużo trudu, aby je obalić, ale na próżno. Dowiedziono, że w przeddzień zbrodni Loser wyjechał do Marsylii ostatnim pociągiem pośpiesznym, który nie zatrzymuje się na innych stacjach. To wskazuje, że nie mógł znajdować się w S-te Victoire w czasie przestępstwa. Przez to upada też zupełnie nieprawdopodobne opowiadanie świadka z Croy-Rouge. Zyskujemy więc niezbity dowód, że obecny tu ks. Montmoulin znajdował się podczas zbrodni sam jeden z zamordowaną na miejscu przestępstwa, musiał być zatem nieszczęsnym jego sprawcą. Sprawa przedstawia się tak jasno, że nie warto ani słowa do tego dodać.

Prokurator przyznał jednak, że nie tak jasno przedstawia się motyw zbrodni. Tutaj nie poszczęściło się zdobyć pełnego wyjaśnienia. On ze swej strony obstaje przy tym, że do przestępstwa skłoniło oskarżonego ubóstwo rodziny. Rzekomy podarunek, mający wytłumaczyć zamówienie książek i spłatę długu, brzmi niezbyt prawdopodobnie. Ale czym innym jest pytanie: dlaczego popełniono przestępstwo, czym innym zaś kto je popełnił?

— To drugie pytanie jest rozwiązane tak jasno i przekonywująco, — kończył prokurator — że ani na chwilę nie wątpię, iż przysięgli wierni swej przysiędze, odpowiedzą wraz ze mną: obecny tu duchowny, niepomny na suknię, którą nosi, splamił się krwią bezbronnej kobiety, opiekunki ubogich, swej parafianki i dobrodziejki.

— A przy tym jeszcze z premedytacją, dowodem czego jest nóż, który w tym celu zabrał już o godzinie

7 rano oraz rozkaz oddalający z domu służącą na czas przestępstwa i wybór odpowiedniego do takiego czynu miejsca. Nie warto tu odpowiadać na śmieszny wybieg, którego użył obrońca z braku lepszych dowodów. Zasłaniając się chwilowym szaleństwem, można by uwolnić z rąk sprawiedliwości każdego przestępcę. Pozostaje więc konkluzja: ksiądz Montmoulin zamordował panią Blanchard z zimną rozwagą. Wyrok wasz, moi panowie, będzie dla zbrodniarza zasłużoną karą.

Wyczytać było można z twarzy przysięgłych, jakie głębokie wrażenie wywarła na nich po mistrzowsku obmyślona mowa. Na galerii wzrokiem więcej, niż słowami, przekazywano sobie uwagi, że los oskarżonego został przypieczętowany. Ks. Montmoulin słuchał z zamkniętymi oczyma, blady, ale spokojny, wargi tylko poruszały się z lekka, szepcąc modlitwę. Gdy obrońca podniósł się, by odpowiedzieć na oskarżenie, rzucił mu wdzięczne, ale smutne spojrzenie, jak gdyby chciał powiedzieć :

— Mój drogi panie, ma pan przed sobą ciężkie i niewdzięczne zadanie.

Pan Meunier był bardzo sumiennym adwokatem, nie dorastał jednak prokuratorowi jako mówca. Dowodzenie jego było solidne, ale suche i nużące, mogące prędzej wywrzeć wrażenie na sędziach niżeli na przysięgłych. Rozpoczął rozwlekłym nieco opowiadaniem o młodych latach oskarżonego i przedstawił obraz bogobojnego i utalentowanego chłopca, wzorowego seminarzysty, gorliwego, odznaczającego się rzadką dobrocią i ofiarną miłością bliźniego kapłana, któremu nawet przeciwnicy Kościoła odmówić nie mogą uznania. I ten bogobojny, żyjący dla innych człowiek, miałby się nagle stać mordercą? On, który oddawał biednym ostatni grosz, miałby zrabować swojej dobrodziejce sumę, która należała do ubogich i dla owych pieniędzy, które osta-

tecznie mógłby zdobyć w inny sposób — powiedziawszy np. że skradziono mu je w nocy z biurka — miałby tę kobietę zdradziecko zamordować i to w tak niemądry sposób, że podejrzenie na niego paść musiało? Kto by w to uwierzył? Stoimy tu już nie wobec psychologicznej zagadki, ale wobec psychologicznej niemożliwości. Taki człowiek takiego przestępstwa nie mógł nigdy i nigdzie popełnić!

— Trzeba więc znaleźć inną odpowiedź na pytanie: kto ten czyn popełnił? — aniżeli tę, którą dał oskarżyciel. Można szydzić ze mnie, ale prędzej uwierzyłbym naiwnemu twierdzeniu dziewczyny, niż temu, że obecny tu kapłan zdolny jest do skrytobójstwa.

Nie potrzeba jednak odwoływać się do takiego wyjaśnienia kwestii. Zakrystian Loser posiadał takie przymioty, które czyniły go zdolnym do tego przestępstwa, a dowód alibi, na który powoływał się prokurator, polega ostatecznie na świadectwie jednego konduktora, mogącego się mylić. A musiał się mylić, jak to wynika z zeznania kelnerki z Croy Rouge. Twierdzenie jej, że zakrystiana widziała rano po spełnieniu przestępstwa i to w podejrzanych okolicznościach, dowodzi tego niezbicie, pomimo, że świadek wyrażał się nie dość jasno. To nie sztuka zmieszać biedną dziewczynę prawniczymi sztuczkami, których bynajmniej swemu koledze nie zazdroszczę. Podejrzenie przeciwko Loserowi umacnia jego zagadkowe zniknięcie zaraz po przestępstwie. Czym to tłumaczyć? Dlaczego nie można było zdobyć jego adresu? Dlaczego na wszystkie wezwania, umieszczone w gazetach francuskich i główniejszych państw sąsiednich ani nie dał odpowiedzi, ani nie przybył sam? Człowiek ten nie musi mieć czystego sumienia, skoro się tak ukrywa! Ostatecznie uważa, że prokurator podparł się bardzo wygodnie owym dowodem alibi, który trudno uznać za decydujący i że w interesie sprawied-

liwości należałoby zarządzić dokładniejsze poszukiwania za znikłym w sposób zagadkowy zakrystianem. Obrona miała na to zbyt krótki termin i ograniczone środki pieniężne, gdyż dobroczynny dla innych oskarżony sam jest biedny.

Gdyby obrońca zakończył na tym swoją mowę, byłoby to prawdopodobnie korzystniejsze dla jego klienta. Jednakże w swej sumienności chciał iść o krok dalej i wyjaśnić dziwne zachowanie, które przy rewizji i pierwszym przesłuchaniu istotnie w pewnej mierze rzucało podejrzenie na proboszcza. Wywodził teraz obszernie, jak to skutkiem odbytej przed nim spowiedzi, kapłan może wiedzieć o przestępstwie, ale nie wolno mu mówić o tym nawet pośrednio.

Pod żadnym warunkiem nie wolno kapłanowi robić tego, przeciwnie, święty obowiązek jego stanu obowiązuje znieść raczej wyrok śmierci, niżeli przyczynić się do rzucenia na swego penitenta choćby cień podejrzenia.

Oczywiście nie ma adwokat ze strony swego klienta żadnej aluzji do twierdzenia, że tutaj taki fakt zachodzi, sądzi jednak, że tylko takie przypuszczenie może wytłumaczyć wszystko, co wydaje się w tym przypadku zagadkowym.

W każdym razie jest to wyjaśnienie możliwe, więc prosi przysięgłych, aby nie osądzili mylnie za morderstwo ofiarę szczytnego, kapłańskiego obowiązku.

Dla analogii opowiedział wypadek w Polsce, gdzie służący rzucił na swego proboszcza podejrzenie o morderstwo. Zabił swego nieprzyjaciela, używszy do tego strzelby kapłana, którą schował pod ołtarzem, a potem wyspowiadał się proboszczowi ze swego przestępstwa. Stawiony przed sądem kapłan nie mógł się bro-

nić; mordercza broń i miejsce, gdzie była schowana, przemawiały przeciwko niemu. Skazano go i zesłano na Syberię, a morderca dopiero na łożu śmierci wyznał swój postępek i ujawnił niewinność proboszcza.

— To, co opowiadam tutaj, nie jest żadną bajką, ale rzeczywistym zdarzeniem z niedalekiej przeszłości. Pisano o tym nie tylko w „Univers", ale i w „Figaro" i w „Libre Parole". Wypadek ów bardzo przypomina ten, którym się obecnie zajmujemy, ma wiele podobieństw. Tłumaczy on tajemnicę nieszczęsnego morderstwa w S-te Victoire tysiąc razy lepiej, niż to absurdalne przypuszczenie, że taki człowiek jak mój klient, mógł popełnić podobne przestępstwo. Strzeżcie się więc, panowie przysięgli, aby wyrok wasz zamiast na mordercę, nie padł na heroiczną ofiarę obowiązku.

Ks. Montmoulin przysłuchiwał się ze wzruszeniem ostatniej części mowy obrońcy. Zaczynał nabierać otuchy i ponowił ślub uczyniony w więzieniu, że w razie swego uwolnienia, za pozwoleniem przełożonych, wstąpi do któregoś z misyjnych zakonów. Jednakże odpowiedź prokuratora przytłumiła budzącą się nadzieję.

Zaledwie przebrzmiało ostatnie słowo obrońcy, pan Joubert podniósł się zirytowany i rozpoczął swoją replikę. Z oburzeniem odpierał oskarżenie, jakoby on, albo wysoki sąd zaniedbał w czymkolwiek wymagania sprawiedliwości. Uczynił wszystko, co mógł, aby zakrystiana sprowadzić na miejsce, gdyż domyślał się, że obrona nieobecność jego wykorzysta na swoją korzyść. Dopiero kiedy dowiedziono, że Loser nie mógł znajdować się w S-te Victoire w krytycznym momencie, zaniechał bezowocnego szukania zakrystiana. Dowód został przedłożony i nie wypada obrońcy, zamiast starać się go obalić, urządzać nieprzyzwoitą napaść na sąd.

Potem prokurator wystąpił szyderczo przeciwko teorii o tajemnicy spowiedzi, którą przed chwilą rozwijano wobec przysięgłych. Nazwał ją niemoralną, będącą w sprzeczności z najwyższą moralną normą, to jest z prawem. Ładna zaś historyjka, którą przedstawił uczony kolega, nosi znamię wymysłu, aż nadto wyraźnego, choćby nawet pisano o niej w „Figaro", albo w „Libre Parole" i w innych gazetach.

Ale przypuśćmy, że to była prawda. Któż uwierzyłby, że z Loserem zdarzyło się toż samo? Z Loserem, o którym wiadomo, że nie spowiadał się całe lata i dlatego właśnie kler chciał go pozbawić jego stanowiska? Któż uzna to za wiarygodne, że ten „zatwardziały grzesznik' najpierw popełnił morderstwo, a potem przyczołgał się do krzyża? To już on woli wierzyć wraz z tą starą klerykalną kucharką, że diabeł przyniósł zakrystiana, aby popełnił zabójstwo i zaraz po przestępstwie wrzucił go do piekła!

Po tym szyderstwie, które wywołało wybuchy śmiechu, prokurator stał się znów poważny i przedstawił tego, z zapalczywością przez klerykałów prześladowanego zakrystiana, jako szlachetnego, światłego człowieka, jako gorącego patriotę, który przelewał krew i narażał życie za Francję. Loser zaliczał się do tych odważnych mężów, którzy owej mroźnej, styczniowej nocy r. 1871, w osaczonym przez nieprzyjacielskie bandy kraju, wysadzili w powietrze most w Fontenay — który to czyn wystarczyłby do zniszczenia nieprzyjacielskiego wojska, gdyby dowódcy umieli wykorzystać go lepiej. I takiego czołwieka śmie obrona podejrzewać i oskarżać, prawdopodobnie według starej recepty, że cel uświęca środki.

— Jeżeli chodzi o dowodzenie, że taki człowiek, jak proboszcz nie mógł popełnić przestępstwa — to łatwo

jest sens odwrócić i rozumować: kto popełnił podobną zbrodnię, jak ta, ten nie jest takim świętym, jakim go robi obrońca, tylko obłudnikiem, faryzeuszem, z którego dzisiaj zdarto maskę. I takim stoi on przed nami. Spójrzcie, jak na to ciśnięte mu przeze mnie oskarżenie, które musiałoby oburzyć każdego uczciwego człowieka, przewraca tylko oczy i zezuje ku krucyfiksowi, jakby chciał powiedzieć:

— Panie, dziękuję ci, że nie jestem jako ci grzesznicy, którzy lżą twoje sługi!

Nie mam nic więcej do nadmienienia, jak tylko to: panowie przysięgli, spełnijcie swój obowiązek!

Prokurator przemawiał z porywającą werwą. Ustęp, w którym odmalował zakrystiana jako jednego z bohaterów spod „Fontenay" zelektryzował formalnie tak słuchaczy, jak i przysięgłych. Obrońca czuł, że został pokonany i na mowę przeciwnika odpowiedział kilkoma chłodnymi frazesami, zwróconymi raczej do sędziów, niż do przysięgłych. Mówił, że obstaje przy swych poprzednich dowodzeniach. Patos pana prokuratora, odpowiadający więcej demagogowi, niż sądowemu mówcy, nie uzasadniał niczego rzeczowo. Tak, jak i przedtem oskarżenie opiera się na zeznaniu jednego konduktora, który może się mylić.

Z oburzeniem odpiera twierdzenie, że tajemnica spowiedzi jest rzeczą niemoralną, gdyż przeciwstawia się świeckiemu prawu — prawo boskie stoi ponad ludzkim. Wprawdzie przeciwnik wyszydził wzruszający przykład o polskiej ofierze tajemnicy spowiedzi, jednakże osłabić jego wymowy nie mógł.

Nie myślał bynajmniej ująć owemu Loserowi listka wawrzynu z wieńca, na który jakoby zasłużył, ale czyż tego krwawego mordu nie można raczej przypisać temu strzelcowi z Wogezów, który tyle już krwi przelał,

niż łagodnemu kapłanowi? (Hałas na galerii. Prezydent grozi, że każe ją opróżnić, skoro raz jeszcze mówca dozna przeszkody). Wreszcie nie powstrzymano się od nazwania jego klienta obłudnikiem; wzruszające, heroiczne, prawdziwe chrześcijańskie zachowanie się podczas tych długich przykrych rozpraw, przedstawiono jako nędzne udawanie.

Czyż Francja zaszła tak daleko, że w największym udręczeniu, w którym chodzi o cześć i życie, nie wolno już się modlić ani zwrócić spojrzenia ku krzyżowi, aby nie być posądzonym o obłudę?

Pozostawia jednak z całym zaufaniem opinię o tym przysięgłym, a ze swej strony nie przestaje twierdzić, że w czasie długoletniej swojej praktyki nie widział nigdy oskarżonego, który by nosił na swym czole wyraźniejsze znamię niewinności, jak jego dzisiejszy klient.

Może oczekują po nim na zakończenie jakiegoś słowa lub zwrotu w celu zmiękczenia przysięgłych. Nie byłoby to trudne; potrzebowałby tylko wspomnieć o sędziwej matce, która przesunęła się przed ich oczami i która, jeśli jej syn uznany zostanie za winnego, utraci podporę swej starości. Jednakże nie będzie mówił o tym, zwłaszcza, że oskarżony nie życzył sobie tego.

— Nie żądam od sędziów litości, tylko sprawiedliwości. Życie ani wolność nie mają dla mnie żadnej wartości, jeżeli nie zostanę zupełnie oczyszczony z oskarżenia.

Tak mówił ksiądz do mnie, tymi słowami przemawiam i ja do was. Zważcie na szali sprawiedliwości przedłożone sobie dowody. Jestem przekonany o niewinności obwinionego!

Obrońca skłonił się przed prezydentem na znak, że zakończył mowę, a prezydent zwrócił się do przysię-

głych z pytaniem, na które odpowiedzieć mieli twierdząco lub przecząco: czy oskarżony jest winien lub nie zarzuconego jemu morderstwa? Potem odesłał ich po kilku słowach do pokoju, przeznaczonego na naradę; z sali wyszli także sędziowie, a obwinionego odprowadzili do jego celi.

Na galerii teraz omawiano żywo szanse oskarżonego.

— Dowiedziono mu przestępstwo! — zawołał sąsiad pani Le Noir z lewej strony.

— Jak pan może mówić coś podobnego, kiedy pan Meunier dowiódł tak jasno jego niewinności! — mówiła pani Le Noir.

— No, tak znów jasno nie dowiódł tego — zauważył inny. — Ja z mej strony nie wierzę w to, żeby miał popełnić przestępstwo ów bohater spod Fontenay, a jeśli nie on, to chyba proboszcz.

— Sapristi! Jak pan Joubert przedstawił świetnie ten chlubny fakt! Wydawało mi się, że widzę, jak most wylatuje w powietrze, przed samym nosem Prusaków.

— Tak, tak, Joubert stoi wyżej, niżeli Meunier. To był bajeczny manewr, przeciągnął nim od razu przysięgłych na swoją stronę — mówił sąsiad z lewej strony, interesujący się tylko rozprawą i poczęstował panią Le Noir tabaczką. — Ale przez to nie wygrał jeszcze sprawy. Widzi pani, jestem tak obeznany z prawem, jak sam prezydent i mógłbym, jak już o tym wspomniałem, z moim doświadczeniem kierować rozprawami równie dobrze jak pan Peultier.

— W kodeksie znajduje się artykuł 352, który głosi, że jeżeli sędziowie jednogłośnie są zdania, że przysięgli się mylą, wtedy oskarżony stawiany jest na następnym posiedzeniu wobec innych przysięgłych. Dalej jest tam artykuł 351, według którego jeśli przysięgli ogło-

szą: „winny”, tylko jednym głosem większości, sędziowie głosują również i ich głosy doliczają się do głosów przysięgłych. Dlatego jest bardzo możliwe, że ktoś ogłoszony „winnym” tylko jednym głosem większości przez przysięgłych, zostaje potem uwolniony.

— Cóż znowu! — zawołał jakiś głos. — Jeśli przysięgli jednogłośnie nie osądzą go, że jest „winny”, to warci, aby ich powieszono!

— No, widocznie jednak potrzebują dużo czasu do namysłu. Siedzą tam już całe pół godziny i nie mogą się zdecydować. Wytrawni ludzie, którzy na pierwszy rzut oka poznają się na obłudzie, jak to mówił prokurator, byliby w pięć minut orzekli, że jest „winny”.

— Cicho, cicho — dzwonią!

W jednej chwili nastała cisza. Sędzowie udali się na swoje miejsca, a wszystkie oczy spoczęły na przysięgłych, którzy ukazali się na trybunie. Prezydent zadał im odpowiednie pytanie, podniósł się zaraz przewodniczący i położywszy na pierś prawą rękę, wyrzekł uroczystym głosem:

— Na mój honor i na moje sumienie, przed Bogiem i ludźmi, wyrok przysięgłych brzmi jak następuje: Tak, oskarżony winien jest morderstwa, o jakie go obwiniono.

— Ilu głosami zapadł wyrok?

— Ośmiu, że winny, przeciwko czterem, że niewinny-

Po sali rozległ się szmer. Stało się. Gdyby było 7 przeciwko 5, to większość sędziów mogłaby jeszcze rozstrzygnąć na korzyść oskarżonego. Ponieważ zaś nie byli jednomyślni, że przysięgli omylili się co do owego orzeczenia, prezydentowi według prawa nie pozostawało nic innego, jak przystąpić do ogłoszenia wyroku. Kazał zatem wprowadzić do sali podsądnego. Sekre-

tarz oznajmił mu wyrok przysięgłych. Podniósł się prokurator, żądając oznaczonego przez prawo dekretu śmierci. Prezydent zapytał ks. Montmoulin, czy ma do nadmienienia coś takiego, co by wstrzymało ogłoszenie takiego wyroku?

Oskarżony odrzekł ze spokojem i poddaniem.

— Nie! Przebaczam wszystkim, którzy przyczynili się do tego. Umrę niewinny.

Po krótkiej naradzie z sędziami i przeczytaniu artykułu 302 kodeksu, prezydent wygłosił, że obecny Franciszek Montmoulin, proboszcz z S-te Victoire, winien jest morderstwa i rabunku i stosownie do przeczytanego artykułu prawa karnego, skazany jest na śmierć przez ścięcie. Miejsce i termin spełnienia tego wyroku zostaną ogłoszone później.

Oskarżony wysłuchał tego ze spokojem prawie z radością. Wzniósłszy wzrok ku górze, rzekł półgłosem: Deo gratias! Na galerii, gdzie z powodu wielkiej ciszy, jaka na sali panowała, zrozumiano te słowa, odezwało się kilka głosów.

— Hipokryta! Morderca!

Prezydent nakazał milczenie i zganił surowo tę nieobyczajność. Potem rzekł kilka słów napomnienia i wezwał oskarżonego, aby wyrok zniósł mężnie i przygotował się do śmierci. Na tym zakończono posiedzenie sądowe.

Kiedy prezydent zstępował po schodach w towarzystwie obu starszych sędziów, rzekł do nich ze smutkiem:

— Obawiam się, że skazaliśmy na śmierć niewinnego człowieka!

— I ja mam tę samą obawę. Postępowanie dowodowe nie przekonało mnie o winie. Sądy przysięgłe mają swoją słabą stronę, mianowicie, że przysięgli ferują

wyrok pod wrażeniem takiej mowy, jak dzisiejsza — odrzekł jeden z sędziów.

— Ludzka sprawiedliwość nie jest nieomylna — powiedział drugi.

Tymczasem oskarżonego wieziono do więzienia wśród okrzyków motłochu:

— Obłudnik! Morderca!

Matkę nieszczęśliwego doszły także w jej celi więziennej te wybuchy gminnej złości. Po chwili usłyszała nawet wyraźnie, jak przechodnie mówili:

— Jednakże skazali klechę. Będzie zgilotowany; prawdopodobnie w następnym tygodniu.

Liczyła się z tym. A jednak — co za ból przeniknął serce matczyne.

ROZDZIAŁ XIX
Znowu przy ulicy de la Colombe.

Panią Montmoulin uwolniono wraz córką w Wielki Czwartek z więzienia śledczego, ponieważ prokurator uważał za bezcelowe podtrzymanie oskarżenia, skoro nikłe i tak przeciwko tym kobietom dowody, osłabione zostały podczas dochodzenia sądowego.

— Skazany — mówił on do sędziego śledczego — musiał gdzieś w starym klasztorze przechować lub zakopać zrabowaną sumę. Albo już powiedział matce, w jakim miejscu, albo powie jej przy pożegnaniu przed śmiercią. Niech pan każe dobrze obserwować starą i jej córkę, a na pewno dostaną nam się w ręce dowody winy, których nam teraz braknie.

Więzienie oraz troska o dzieci i dręcząca obawa o

brata wstrząsnęły silnie zdrowiem pani Jardinier. Pobielały czarne jej włosy, a zgryzota wyżłobiła głębokie zmarszczki na jej łagodnym, sympatycznym obliczu. Matka jeszcze więcej była słaba. Zaledwie mogła utrzymać się na nogach. Gdy oznajmiono im o uwolnieniu z płaczem rzuciła się na szyję córce i mogła wymówić zaledwie te słowa:

— Mój syn, twój brat — skazany na śmierć.

— O matko! — brzmiała odpowiedź — jemu lepiej będzie niż nam! On wkrótce zakończy swe cierpienia, ale my pozostaniemy naznaczone jego hańbą — i co się z nami stanie?

— Dziecko, jak możesz tak mówić — odrzekła żałośnie matka. — Z nami stanie się to, co zechce Bóg. Ale on, kapłan, skazany na śmierć jako morderca i prowadzony na gilotynę!

— Umrze niewinnie! — pocieszała ją córka. — Ale my, jakże przejdziemy przez życie ze zhańbioną opinią? Jakże ja wyżywię i wychowam dzieci?

Inspektor więzienia i inni urzędnicy, przyglądając się tej rozdzierającej scenie, głęboko byli poruszeni, chociaż stanowiska, jakie zajmowali, zahartowały ich na łzy i skargi. Inspektor chciał kobiety pocieszyć i rzekł im, że skazany znosi swój los ze spokojem i prawie pogodnym poddaniem.

— Zresztą śmierć na gilotynie nie jest bolesna — dodał — mniej bolesna, niż śmierć naturalna. Niedawno widziałem mego kuzyna, umierającego na zapalenie kiszek. Mój Boże, co się ten człowiek namęczył! Wił się na łóżku, jak robak i rzęził godziny całe, zanim skończył! Na gilotynie idzie tak: raz — przywiązują do deski! dwa — podsuwają pod topór! trzy — topór spada i zanim skazany coś poczuje, już jest po wszystkim. No chciałem dobrze, a ta kobieta mi mdleje.

Dajcie prędko trochę wody i szklankę wina!

Gdy pani Montmoulin przyszła znów do siebie, była jeszcze tak słaba, że musiano sprowadzić dla niej i dla córki powóz, który je zawiózł na ulicę de la Colombe. Kazały się zatrzymać przy domu piekarza Le Noir, gdzie jak wiedziały, przygarnięto dzieci z chrześcijańską miłością i oznajmiły dobrym ludziom o swym uwolnieniu. Dzieci były w kościele, więc pani Le Noir prosiła kobiety, aby wysiadły i u niej poczekały na ich powrót. Ale pani Jardinier odrzekła, że matka jest bardzo cierpiąca, więc musi jak najprędzej się położyć i prosiła poczciwą piekarzową, aby przysłała zaraz dzieci, skoro tylko powrócą z nabożeństwa. Podziękowawszy serdecznie za doznaną dobroć, udały się matka i córka do opuszczonego przed miesiącem mieszkania, od którego klucz oddano im przy opuszczeniu więzie- -
nia.

Mieszkanie wyglądało bardzo smutnie. Pani Jardinier zaprowadziła tymczasem matkę do pokoiku i posadziła ją na łóżku. Potem otworzyła dawno już zamknięte okna i okiennice, aby wpuścić światło i powietrze do dusznych izdebek. Pośpieszyła potem do kuchni i rozpaliła ogień, aby ugotować prędko jakiś posiłek, lecz brakowało wszystkiego. W sklepie, który otworzyła również, wszystko leżało jeszcze poprzewracane po rewizji. W kasie było zaledwie parę franków, ze zgryzoty i strapienia nie wiedziała co począć.

Teraz dopiero stanęło jej jasno przed oczyma, w jaką ruinę wciągnie ją nieszczęście, które spotkało jej brata. Kto będzie chciał teraz z nimi utrzymywać kontakty? Kto kupi co od matki i siostry kapłana, skazanego za morderstwo? Jak ona ośmieli się pokazać ludziom?

Potrzeba było kupić mąkę, mleko, jaja, kawę, chleb, cukier itp., a dla matki nieco wina — ale pani Jar-

dinier wstydziła się wyjść za próg domu. Będą ją palcami wytykać! Przy tym maleńka sumka wystarczy zaledwie na najkonieczniejsze rzeczy. A któż teraz da coś na kredyt siostrze zgilotynowanego?

Zrozpaczona biedna kobieta usiadła na krześle w kąciku sklepiku i zaczęła gorzko płakać.

Matka usłyszała szlochanie, zawołała ją do siebie i starała pocieszyć.

— Musimy dźwigać krzyż wraz z Franciszkiem, moje dziecko — rzekła staruszka, gładząc mokry policzek córki. — Pamiętaj, że to dzisiaj Wielki Czwartek. Wielkanocny poranek też nam jeszcze zabłyśnie.

— Ale już nie na tej ziemi! — biadała pani Jardinier.

— Może jednak — odparła matka. — Ale choćby i nie — jakże krótkie jest życie, a wieczność jaka niezmierzona! Cóż z tego, że tu na ziemi wraz z Chrystusem i Jego Świętymi znosić będziemy krzyż i hańbę? To wszystko prędko minie!

— Ach, żebym ja mogła umrzeć razem z nim! Ale wraz z niewinnymi dziećmi całe życie dźwigać hańbę i zgryzotę, którą śmierć jego na nas sprowadza, nie, tego nie wytrzymam! — I znowu popłynęły gorzkie łzy.

Kiedy się wreszcie nieco uspokoiła, otworzyły się drzwi i weszła pani Le Noir wraz z dziećmi, stawiając koło drzwi dobrze zaopatrzony koszyk.

— No, dzieci — rzekła poczciwa kobieta — starajcie się pocieszyć matkę i babkę, a jakby było co potrzeba, to przyjdźcie do mnie.

Potem zwróciwszy się do biednych kobiet, wyraziła im w serdecznych słowach swoje współczucie. W końcu żegnając je po przyjacielsku dodała:

— Niech pani dobrze pielęgnuje matkę, pani Jar-

dinier! Mamy jeszcze w piwnicy kilka flaszek starego Bordeaux i pozwoliłam sobie przynieść jedną z nich. To najlepsze lekarstwo dla pani Montmolin. Czy mogę przyjść jeszcze dzisiaj wieczorem albo jutro rano? No — nie ma za co dziękować! Pobyt dzieci sprawił mi tyle przyjemności, że doprawdy jestem waszą dłużniczką.

Mówiąc to pani Le Noir wysunęła się z pokoju po części dlatego, aby nie robić ambarasu biednym kobietom, ale także, aby ukryć wzruszenie, które nią owładnęło na widok tak ciężko losem dotkniętych. Powrót dzieci w takich okolicznościach przynosił więcej bólu niż radości.

— Mama wygląda tak staro, jak babcia — mówiła Julka do pani Jardinier. — Patrz, te czarne włosy są przetykane siwymi. A babcia miała szpakowate, a teraz są zupełnie białe!

— Ja się tylko dziwię, że i moje w włosy nie zbielały — rzekł poważnie Karolek. — Ludzie mówią, że włosy siwieją od kłopotów, a ja miałem taki wielki kłopot o wuja, o ciebie mamo i o babcię także się strasznie martwiłem.

Mimo całego strapienia obie kobiety musiały się uśmiechnąć, a pani Jardinier zauważyła, że jakby pozbyła się części tego wielkiego kłopotu. Potem podniosła się i z pomocą Julki przyrządziła obiad. W koszyku pani Le Noir znalazło się wszystko, czego było potrzeba. Dzieci spożywały skromny posiłek ze zwykłym młodości apetytem, matka zaledwie mogła coś przełknąć. Nie była przyzwyczajona do jałmużny, a przecież nie mogła uważać za coś innego darów poczciwej piekarzowej. Po obiedzie Karolek opowiedział o swej wizycie u prezydenta, jak ten był dla niego uprzejmy. Dodał, że ma zamiar iść dziś znowu do niego i prosić, aby nie pozwolił ścinać głowy jego nie winnemu wu-

jowi. Ale matka nie chciała o tym słyszeć, twierdząc, że prezydent nie może zmienić raz wydanego wyroku.

Tymczasem w sąsiedztwie i w dalszych kołach rozeszła się wieść, że uwolniono z więzienia matkę i siostrę skazanego kapłana i że powróciły one do domu.

— Zdaje się, że one są niewinne — mówili niektórzy, większość jednak kiwała głowami i twierdziła:

— Nie mogli im tylko niczego dowieść. Niewinne? Matka i siostra mordercy!

Byli tacy, którzy mieli dla nich współczucie, wszyscy jednak byli ogromnie ciekawi zobaczyć i pomówić z sąsiadkami i dowiedzieć się może coś nowego o ich losie i przyszłej egzekucji.

Przychodzili więc do małego domku pod różnymi pozorami. Jedni mówili o współczuciu dla „skazanego niewinnie” albo „dla niewinnie współcierpiących”. Ale oczy ich miały przy tym taki zimny i szyderczy wyraz; choć słowami udawali litość, pani Jardinier i jej matka doznawały jakby ukłucia w serce.

Inni opowiadali, co ta lub owa sąsiadka powiedziała złego o biednym proboszczu i jego krewnych, dodając, że oni i teraz jeszcze wierzą w niewinność skazanego i chcieliby wiedzieć, czy naprawdę ks. Montmoulin ma umrzeć na gilotynie?

Można sobie wyobrazić, co czuła pani Jardinier wobec słów okrutnych lub ciekawych ludzi. Uciekała wreszcie przed nimi do kuchni lub do łoża chorej matki i pozostawiała córeczce obsługę kupujących. Ale wkrótce i Julka dosyć miała ludzkiej natrętności. Wtedy pani Jardinier umieściła na oknie sklepiku napis:

— Chwilowo skład zamknięty — i zamknęła się z dziećmi w tylnej izdebce domku.

— Nasze położenie jest nie do zniesienia — mówiła sobie. — Nie mogę żyć tutaj dłużej, musimy opuścić Akwizgran! Ale gdzież udać się z dziećmi i chorą

matką? Co robić, aby nie żebrać i nie umrzeć z głodu? Miłosierny Ojcze wdów i sierot, ulituj się nad naszą nędzą!

Tak myślała i modliła się udręczona kobieta.

Wieczorem przyszła kolej na wizyty, od których nie można było się uwolnić. Z oczu pani Le Noir wyglądało współczucie i umiała ona pocieszyć, nie używając do tego wielu słów. Rozumiała doskonale ciężkie położenie kobiet i pytała, czy pani Jardinier nie myśli o tym, aby wyjechać gdzieś z dziećmi na pewien czas, póki nie ucichnie trochę ta smutna historia. Ma ona w Lambesc krewnych, dobrych katolików, którzy chętnie dopomogą pani Jardinier, gdyby przenieść tam chciała swój interes. Ze swej strony ona i jej mąż pożyczyliby wdowie paręset franków na niski procent albo i zupełnie bez procentu. Bardzo chętnie też wzięliby za swoje oboje dzieci, które bardzo pokochali, ale uważają za lepsze aby i one przez kilka najbliższych tygodni nie pozostawały w Akwizgranie.

Pani Jardinier dziękowała bardzo za doznaną już i wielkodusznie proponowaną pomoc i mówiła, jak serdecznie marzy o wydobyciu się z tego nieznośnego położenia, jednakże obawia się, że echo tego, co się stało, a zatem i niedola, ścigać ją będzie i w Lambesc i wszędzie, gdziekolwiek by się udała. W tych warunkach nie powinna przyjmować niczyjej pomocy, a tym bardziej pożyczki, która by prawdopodobnie przepadła.

— Jednym słowem — zakończyła smutnie — nie pozostaje mi nic innego, jak pracować na chleb powszedni własnymi rękoma. Matka wycierpiała tyle, że prawdopodobnie długo swego krzyża dźwigać nie będzie. Co do dzieci — widzę, że nie będę mogła mieć ich przy sobie, jeśli będę zmuszona jeść chleb u ludzi obcych, a jednak — wydaje mi się prawie niemożliwym rozstać się z nimi!

Obie kobiety rozmawiały jeszcze, gdy zadźwięczał dzwonek i Karol oznajmił przybycie ks. regensa. Pani Le Noir pożegnała się natychmiast, prosząc, aby wzięto pod rozwagę jej propozycję, a do pokoju wszedł czcigodny kapłan.

Przede wszystkim w sposób serdeczny zaczął dopytywać o zdrowie pani Montmoulin, a usłyszawszy, jak ucierpiała pod tym strasznym ciosem, rzekł.

— Nie spodziewałem się, aby było inaczej. I panią musiało ciężko dotknąć to doświadczenie. Nie ośmieliłbym się nachodzić ją w takim smutku, gdybym nie ufał w Bogu, że uda mi się panią choć trochę pocieszyć, wyrażając szczere współczucie.

Ks. regens chciał, jeśli to możliwe, pomówić z panią Montmoulin. Julka poszła się dowiedzieć, w odpowiedzi ukazała się babka sama, podtrzymywana przez wnuczkę, gdyż jak mówiła, tylko w ostateczności ośmieliłaby się trudzić szanownego gościa chodzeniem do jej izdebki wąskimi schodami, a ona dość już dzisiaj wypoczywała. Czcigodny kapłan wyraził gorącymi słowami swoje i kolegów mocne przekonanie o niewinności ks. Montmoulin. Pewien jest tego i sam ks. arcybiskup. Wszyscy więc współczują gorąco nad losem nie tylko niewinnie skazanego, ale i jego matki i siostry.

— Co więcej — dodał ks. regens — moje osobiste przekonanie jest takie, że biedny ksiądz Montmoulin nie tylko jest zupełnie niewinny, lecz pewien jestem prawie, że skazany został dlatego, ponieważ jego święty obowiązek kapłański uniemożliwił mu w jakiś sposób skuteczną własną obronę. Jak to być mogło, przeczuwam raczej, niż coś o tym wiem, ale sądzę, że jeżeli mój przyjaciel, a pani syn rzeczywiście umrze wskutek tego wyroku to otrzyma koronę męczennika. Gdyby

go ludzie uważali nawet za mordercę — nadejdzie dzień, kiedy Bóg zamieni mu tę hańbę na wieczną chwałę, a krwawą śmierć na wieczny żywot.

Bogobojny kapłan wspomniał jeszcze o niewinnie skazanym i haniebnie ukrzyżowanym Zbawicielu, którego pamiątkę śmierci dzisiaj właśnie, w Wielki Piątek, cały Kościół obchodzi uroczyście, a słowa jego, pełne miłości i wiary, padały na zbolałe serca, jak balsam kojący. Ze łzami dziękowała matka i siostra czcigodnemu gościowi i obiecywały, że myśl o Ukrzyżowanym dopomoże im czerpać siłę do zniesienia wraz z synem i bratem ból i hańbę.

Teraz ks. regens naprowadził rozmowę na przyszłość obu kobiet i kiedy pani Jardinier wypowiedziała swe troski i obawy, rzekł, kiwając głową:

— Właśnie tak, jak sobie myślałem! Wyrok musiał uczynić pani dotychczasowe położenie niemożliwym. Ale odwagi! Może da się coś na to poradzić. Widzi pani, mówiłem o niej z proboszczem z La Grange, który przed sądem złożył tak chlubne świadectwo o naszym drogim ks. Montmoulin, swoim dawniejszym wikarym. Kazał mi panią zapytać czyby nie zechciała prowadzić mu jego małego gospodarstwa i chętnie przeznaczyłby także jej zacnej matce jaki pokoik na swoim obszernym probostwie. Mam nadzieję, że to byłoby odpowiednie dla pań. Trzeba zastanowić się nad tym projektem; nie potrzebuje pani decydować dzisiaj. Zapewne, że musiałaby pani rozstać się z dziećmi, ale to spotyka wszystkich rodziców, którzy oddają swe dzieci do zakładów naukowych. Dla dziewczynki myślę, że uzyskam bezpłatne umieszczenie u sióstr w Zakładzie św. Józefa w Arles, gdzie Julka otrzyma wychowanie i opiekę. Co do Karola, o którym nauczyciele dają bardzo dobre świadectwo, ten zapewne będzie rad, gdy umieszczony zostanie w szkole apostolskiej w Mar-

sylii. Jest on co prawda trochę jeszcze za młody, ale za wstawieniem się arcybiskupa, zrobią chętnie wyjątek. Jak się panie na to zapatrują?

Cóż innego mogły na to odpowiedzieć, jak tylko dziękować całym sercem? I dzieci, gdy im powiedziano o tym projekcie, okazały wielkie zadowolenie. Julka zgadzała się chętnie na wszystko, byle tylko jak najprędzej opuścić Akwizgran, gdzie wstydziła się pokazać na ulicy, a Karol mówił:

— W ten sposób mogę prędzej zostać misjonarzem skoro tylko moi nauczyciele osądzą, że na to zasługuję.

Ks. regens chciał się właśnie pożegnać, kiedy oznajmiono przybycie pana Meunier. Nowo przybyły poprosił kapłana, aby zatrzymał się na chwilę, gdyż chciałby usłyszeć i jego zdanie co do kwestii, jaką chciał obu kobietom przedstawić.

Adwokat oznajmił wpierw, że po naradzie z ks. Montmoulin i kilku kolegami, zrezygnował z wniesienia apelacji, gdyż takowa nie ma widoków powodzenia i spowodowałaby tylko niepotrzebne koszty.

— Rozstrzygająca była tu dla mnie wola naszego drogiego proboszcza, który ani słuchać nie chciał o apelacji — mówił p. Meunier. — Gdyby doszła ona do skutku — mówił — musiałbym stawać jeszcze raz przed sądem, a tego nie chcę. Już jest wielki czas, aby zaprzestano mówić i pisać o zgorszeniu, w które wplątana jest moja osoba. Nowa rozprawa sądowa, która prawdopodobnie zakończyłaby się również skazaniem mnie, rozniosłaby dalej jeszcze wiadomość o tej smutnej sprawie i upamiętniłaby ją jeszcze silniej. Nie chcę już nawet mówić o udręczeniu, jakie rozprawy sądowe sprawiają oskarżonemu. Nie, skoro nie danym jest mi dowieść mej niewinności, to już wolę umrzeć, niż apelować. Być może, że uwierzą prędzej ostatnim słowom umierającego!

— Tak mówił biedny nasz męczennik i trudno nie przyznać mu pewnej słuszności. Pytałem go potem, czy nie chciałby podać prośby o ułaskawienie — nie byłoby trudno zebrać podpisy na jego korzyść w mieście i okolicy. Nie chciał nawet o tym słuchać, więc przyszedłem tutaj, aby zapytać o wasze zdanie i bardzo się cieszę, że zastałem regensa, do którego także byłbym się udał.

Ks. regens poprosił, aby matka skazanego wypowiedziała pierwsza swoje zapatrywanie. Po krótkim namyślę pani Montmoulin zapytała:

— A gdyby go ułaskowiono, jaki los spotkałby mego syna?

Adwokat wzruszył ramionami i rzekł:

— No, w każdym razie minęłaby go gilotyna i może dożyłby chwili, w której jakimś szczęśliwym przypadkiem ujawniłaby się jego niewinność. Wszystko lepsze niż śmierć!

— Czy pozwolono by mu dokonać życia zamkniętemu w więzieniu? — pytała dalej matka.

— Tego nie mógłbym pani obiecywać — odrzekł smutno pan Meunier. — Możnaby się spodziewać, że z najcięższej kary ułaskawią go na mniej ciężką — na dożywotnie ciężkie roboty, albo na deportację!

— Mój syn w więziennym ubraniu, w kajdanach na rękach i nogach, miałby w towarzystwie galerników spełniać uwłaczające jego godności roboty na publicznych drogach — a ludzie pokazywaliby go sobie palcami i mówili: — Patrzcie, to jest kapłan! — Nie, tego ja radzić nie mogę! To byłoby dla Franciszka gorsze, niż śmierć! To w moich oczach nie jest łaska, Co ty o tym myślisz, moja córko? Czy chciałabyś ujrzeć swojego brata na ulicy w takim otoczeniu?

— Nie, matko, myślę tak, jak ty! — odrzekła pani Jardinier.

— Nie złożymy prośby o ułaskawienie, tym więcej, że Franciszek sam nie życzy sobie tego.

— Na jego miejscu i ja bym z tego zrezygnował — rzekł regens. — Jak już mówiłem, uważam jego śmierć za rodzaj męczeństwa. Któż miałby ubiegać się o to, aby odsunąć męczeńską koronę, która może uwieńczyć jego skronie.

— O ile mogę sądzić ks. Montmoulin kieruje się tym samym pytaniem, co jego matka, podzielanym również przez waszą wielebność — rzekł z powagą adwokat. — Dobrze! Zrezygnujemy więc ze starań o ułaskawienie i nie przeszkadzajmy męczeńskiej śmierci, której poddać się chce szlachetny, niewinny pani syn.

ROZDZIAŁ XX
Jeszcze cięższy krzyż.

Minęły święta Wielkanocy. Skazany przygotował się na śmierć i co godzinę oczekiwał wiadomości, że nazajutrz wyrok na nim zostanie spełniony.

Los swój znosił mężnie i spokojnie. Dozorcy twierdzili, że nie widzieli jeszcze skazańca, który by tak nieustraszenie oczekiwał ostatniej swej godziny. Nie było w tym udawanej odwagi wobec śmierci, niespokojnego przechadzania się po celi, małodusznego strachu i rozpaczy, wygadywania na sędziów i przysięgłych, biadań lub skarg. Skazaniec był poważny i modlił się wiele, ale nie był smutny; przeciwnie, chwilami

malowała się na jego twarzy dziwna radość i pogoda, czego sobie dozorcy nie umieli wytłumaczyć. Gdyby mogli zajrzeć mu do duszy, byliby się przekonali, że istotnie natura jego wzdrygała się przed gwałtowną śmiercią skazańca, jednakże przyczyna tej śmierci napełniała go otuchą.

— Umieram, jako ofiara kapłańskiego obowiązku — mówił sobie. — Śmierć moją Kościół uważać będzie, jako męczeńską, tak, jak św. Jana Nepomucena. Kościół uczy, że taka śmierć gładzi wszystkie grzechy i kary za nie, a dusza takiego człowieka otrzymuje zaraz koronę męczenników i przechodzi do wiecznej radości. Zatem w świetle naszej wiary nie ma człowieka szczęśliwszego nade mnie i obawiam się tylko, czy godzien jestem tego najwyższego szczęścia.

W takim nastroju duszy znajdował się ks. Montmoulin od chwili skazania go na śmierć. Złożył Bogu ofiarę ze swego życia i modlił się o jej przyjęcie. Do odrzucenia propozycji adwokata, o apelację skłaniała go więcej nadzieja owej męczeńskiej korony, niż obawa przed hańbiącym życiem galernika. Pan Meunier, któremu oczywiście nie wyjawił głównego powodu swej stanowczej odmowy, przeniknął jednakże, jego myśli.

— Rozumiem cię — mówił mu też ksiądz regens w czasie odwiedzin — i na twoim miejscu postąpiłbym tak samo. Nie jesteś w istocie obowiązany do czynienia kroków w celu odwrócenia śmierci, jeśli z nią połączone jest większe dobro.

Te słowa sędziwego kapłana pocieszyły bardzo skazańca i uwolniły go od skrupułu, który go niepokoił. Jeszcze większej pociechy doznał, otrzymując kilkakrotnie z ręki ks. regensa Komunię św. Ucieszyła go też wiadomość, że matka i siostra zostały zwolnione z więzienia i znalazły przytułek w domu ks. proboszcza

z La Grange. To też ze spokojem oczekiwał godziny, która zaprowadzić go miała na szafot i stawić przed sądem Chrystusa, znającego jego niewinność.

Tymczasem zbliżała się niedziela, kiedy miały przystąpić do pierwszej Komunii św. dzieci, przygotowane do niej przez ks. Montmoulin.

Ze smutkiem myślał o tym, że już ich więcej nie zobaczy. A co one o mnie pomyślą, lub moi parafianie? Czyż rzeczywiście wierzą, że mieli za duszpasterza zabójcę?

Poprosił o papier i napisał do tych dzieci oraz do wszystkich parafian wzruszający list, dodając prośbę, aby za zezwoleniem ks. arcybiskupa odczytano go w niedzielę po egzekucji. Napisał też słowa podzięki i pożegnania do samego ks. arcybiskupa, do ks. regensa i do swego obrońcy.

Na koniec napisał do matki i siostry, żegnając się z nimi i prosząc, aby oszczędziły sobie i jemu bólu i nie starały się widzieć go jeszcze przed śmiercią. Niech zamiast pełnego udręki pożegnania w murach więziennych, pocieszą się nadzieją radosnego spotkania po śmierci.

Ks. Montmoulin prosił, aby ten ostatni list wysłano zaraz, pozostałe wręczyć miano po egzekucji.

Następnego poranka zaprowadzono skazańca do jednej z większych sal więziennego gmachu.

— Czy idę na śmierć? — zapytał bledszy, niż zwykle dozorców, którzy mu towarzyszyli.

— Zaraz będzie wiadomo — brzmiała odpowiedź.

W sali zebrany był personel sądowniczy. Na znak prezydenta, sekretarz przeczytał raz jeszcze wyrok śmierci. Potem dodał, że skoro minął termin apelacji,

z której nie skorzystano, wyrok staje się prawomocny.

Prezydent zapytał, czy zaniechanie apelacji jest dowodem, że skazany uznaje karę za zasłużoną?

Przeciwko temu kapłan zaprzeczył stanowczo i znowu zapewnił o swej niewinności. Przyznał jednak, że sąd działał w dobrej wierze i wprowadzony został w błąd nieprzyjaznymi okolicznościami. Teraz wszakże, skoro nie ma już nadziei uratowania życia i stanąć ma wkrótce przed wiecznym Sędzią, prezydent powinien uwierzyć jego uroczystemu zapewnieniu, że umiera niewinny.

Te słowa, wypowiedziane ze spokojem i powagą, uczyniły wrażenie nawet na prokuratorze. Po pewnej przerwie, prezydent wyjął pismo i oświadczył, że w porozumieniu z sędziami, których większość w przeciwieństwie do orzeczenia przysięgłych, nie została przedstawionymi dowodami przekonana o winie a zważywszy na nieskazitelne dotąd życie skazanego uważał za swój obowiązek starać się o ułaskawienie. Prośbę prezydenta uwzględniono i zamieniono karę śmierci na dożywotnią deportację do Nowej Kaledonii. Sekretarz odczytał ułaskawiający wyrok, który z tą chwilą staje się prawomocny.

Ks. Montmoulin, który wysłuchał wyroku śmierci bez drżenia, teraz zachwiał się i byłby runął na ziemię, gdyby go nie podtrzymał jeden z żandarmów. Musiał usiąść i odpocząć chwil kilka, zanim odzyskał tyle siły, aby mógł podziękować prezydentowi za jego w najlepszym zamiarze powzięte działania.

— Bóg widzi, panie prezydencie, że mi pan wywiadczył tym ułaskawieniem złą przysługę. Myślałem, że złożę krzyż swój dziś lub jutro, a teraz dźwigać będę

musiał jeszcze cięższy i to może nie jeden rok — zakończył.

Prezydent spojrzał na sędziów prawie z niepokojem i rzekł:

— Nie zdarzyło mi się jeszcze, aby skazany na śmierć odrzucił ułaskawienie. Nie muszę tego przyjmować. Jeśli jednak skazany woli śmierć...

— Myślę, że powinienem przyjąć ułaskawienie, ponieważ jestem niewinny i nie wolno mi rozporządzać swym życiem. Gdybym był winien, wtedy prosiłbym o śmierć, jako większą karę pokutną. Sądzę, że nie wolno mi odrzucić ofiarowanego sobie życia, jakkolwiek wielkim będzie ono dla mnie ciężarem.

Prezydent i sędziowie naradzali się nad tą odpowiedzią. Przekonanie o niewinności skazanego na nowo wzbudziły wątpliwości w słuszność wyroku. Człowiek winny byłby przyjął ułaskawienie z radością — myśleli. Jednakże ich osobiste przekonanie nie mogło werdyktu odmienić. Wyrok obalony mógłby być tylko przez nowe sądowe dochodzenie, a tego nie można było rozpoczynać, nie mając nowych przekonywujących dowodów. Zatem prezydent zapytał go po raz ostatni:

— Czy skazany przyjmuje ułaskawienie, czy nie?

— Sądzę, że muszę je przyjąć.

— Zatem w imię prawa, oddaję skazanego w ręce dyrektora więzienia, aż do chwili deportacji.

Sekretarz napisał rozkaz i prezydent podpisał go. Opatrzony pieczęcią sądową dokument wręczono dyrektorowi, który rozkazał zaraz sierżantowi żandarmerii, aby towarzyszył skazanemu do Marsylii, skąd jeszcze w bieżącym tygodniu wyruszyć miał okręt, wiozący deportowanych do Nowej Kaledonii.

Ks. Montmoulin skłonił się przed sądem i chwiejnym krokiem podążył za sierżantem do celi, gdzie natych-

miast kazano mu się przebierać w obecności sierżanta i jednego z dozorców w więzienny strój. Ze łzami w oczach zdjął sutannę, oznakę kapłańskiego stanu. Sierżant wrzucił ją do kąta i rzekł, śmiejąc się szyderczo:

— No, zamiast tego czarnego stracha na wróble, damy śliczny drelichowy kaftan w paski!

Odzież, w którą musiał się ubrać ks. Montmoulin, nosiła stempel deportowanego i numer, który mu odtąd miał zastąpić nazwisko.

— Odtąd nie nazywacie się Montmoulin, tylko numer 5348 i abyście lepiej pamiętali, ubranie jest nim oznaczone — oświadczył ironicznie żandarm. — Mieliśmy raz jednego nicponia z Paryża, który zapytany o nazwisko, ściągał kaftan i mówił: „— Parbleu! Nie mam pamięci do liczb, niech pan sam przeczyta!" — A co tam macie na ciele?

— Szkaplerz.

— Precz z tym! Nie widziałem niczego podobnego u żadnego z deportowanych!

I brutalny człowiek zerwał z szyi kapłana poświęcony wizerunek Matki Najświętszej.

— Tak! — teraz wdziać ten kaftan! — No, jakiego mamy zgrabnego jegomościa! Broda tylko jeszcze nieco za krótka i kłująca, ale to wszystko nastąpi z czasem! — Co jeszcze potrzeba?

— Jestem obowiązany odmawiać codziennie brewiarz, proszę bardzo o pozostawienie mi go.

— Hahaha! Nieźle! Może by ksiądz chciał też odprawiać co dzień mszę św. i prawić kazania swoim zacnym kompanom? Przydałoby im się! Ale proszę uspokoić swe tkliwe sumienie. Do końca życia nie potrzebuje już ksiądz żadnego brewiarza i w ogóle skończyło się

wszystko, co ma związek z całym tym księdza rzemiosłem.

— Proszę, aby się pan wyrażał z większym poszanowaniem o powołaniu kapłańskim — odrzekł oburzony ks. Montmoulin.

— Trzeba było samemu traktować je z większym szacunkiem! — Czy gotowy?

— Muszę przyznać, że wszelkie pozory świadczą przeciwko mnie — rzekł ze smutkiem ks. Montmoulin; potem dodał z pokorną prośbą:

— Może będę mógł zabrać chociaż ze sobą mój różaniec, który od dnia pierwszej Komunii św. towarzyszył moim codziennym modlitwom?

— Nic z tego! Przepis zabrania, aby deportowany zabierał ze sobą cokolwiek, prócz ubrania więziennego.

— Ten różaniec jest przy tym pamiątką od mej matki...

— Ach, panie sierżancie! — ośmielił się wtrącić dozorca, który polubił i nauczył się szanować więźnia, — niech mu pan pozwoli zabrać to, nie może tym przecież uczynić ani sobie, ani nikomu żadnej krzywdy.

— Co was to obchodzi? Raz na zawsze mówię, że tego nie ma zabierać! Załóżcie mu ręczne kajdanki i na nogi przepisowe łańcuszki. Tymczasem pójdę zobaczyć, czy zajechała kareta po tego pana.

Sierżant wyszedł. Dozorca wziął różaniec i wsunął go skazańcowi do kieszeni.

— Choćbym miał utracić przez to pracę, nie mogę odmówić księdzu tej pociechy — rzekł poczciwy człowiek i dodał jeszcze:

— Jestem zupełnie przekonany, że ksiądz nie popełnił tego czynu, za który go skazano. Proszę mi wybaczyć, że muszę założyć kajdany. Myślę, że nie będzie mi poczytane za grzech takie postępowanie z kapłanem, skoro to, niestety, należy do mego obowiązku.

— Bądź o to spokojny, poczciwy człowieku i niech ci Bóg nagrodzi twoje ludzkie serce — odparł ks. Montmoulin. — Jeśli się da, to proszę pożegnać ode mnie moją matkę i siostrę przy ulicy de la Colombe, numer 21. Zdaje się, że nie dadzą mi już sposobności, abym to sam uczynił. Ale to i lepiej. Jak by to zabolało moją matkę, gdyby ujrzała mnie w takim ubraniu! Powiedzcie im, że co dzień za nich modlić się będę.

Powrót sierżanta zakończył tę rozmowę. Zaprowadzono ks. Montmoulin do dyrektora więzienia, który przeczytał mu przepisy prawne i zaznaczył, że w razie ucieczki i pochwycenia na terytorium francuskim, deportowany podlega napiętnowaniu i skazany zostaje dożywotnio na przymusowe roboty. Potem żandarmi zaprowadzili kapłana do karetki więziennej, jeden z nich wsiadł razem z nim, drugi na koźle obok woźnicy i pojechali ulicami miasta na stację kolei.

Po mieście rozeszła się szybko wiadomość o ułaskawieniu ks. Montmoulin i o odesłaniu go do Marsylii. Na dworzec pośpieszyły tłumy ludzi, aby proboszcza, którego tak chętnie ujrzeliby na szafocie, wyszydzić przynajmniej przed odjazdem.

Kiedy więzienny ekwipaż stanął na dworcu, powitano go wyciem i gwizdaniem. Z trudem udało się żandarmom przeprowadzić więźnia do budynku stacyjnego.

— Na latarnię z nim — wył motłoch, a kamienie latały ze wszystkich stron. Rzucony ręką jakiegoś ulicznika kamień, trafił ks. Montmoulin w twarz, z której pociekła krew. Prędko przeprowadzono kapłana bocznymi drzwiami przez zamknięty peron do wagonu, który go miał zawieść do Marsylii. Musiano przynieść wody, aby obmyć księdzu skrwawione oblicze i przypadkiem uczynił to ten sam konduktor, który na sądzie na jego niekorzyść zeznawał, że zakrystian odjeżdżał nocnym pociągiem.

Człowiek ów wystraszył się, poznawszy kapłana.

— Panie — rzekł — sądziłem, że mówię to, co mi nakazuje sumienie, później jednak nachodziły mnie wątpliwości, czy się nie omyliłem. Proszę mi wybaczyć, jeżeli źle uczyniłem.

— Wszystkim wam dawno przebaczyłem! — rzekł ks. Montmoulin i uścisnął rękę konduktorowi.

Wkrótce pociąg ruszył. Przez zakratowane okienko przedziału, przeznaczonego do transportu więźniów, proboszcz ujrzał raz jeszcze wieże Akwizgranu, a poza nimi skały S-te Victoire, u podnóża których leżała jego parafia i pomyślał smutnie:

— Nie zobaczę was już nigdy.

Zdawało mu się, że serce pęknie z bólu. Dopiero po ułaskawieniu przyszła świadomość smutnego położenia. Sierżant, siedzący naprzeciwko i palący fajkę, nie przeszkadzał w rozmyślaniu. Ks. Montmoulin tak sobie wszystko w myśli ułożył: Krótka droga na szafot, ostatnie rozgrzeszenie udzielone na jego stopniach przez kapłana, oświadczenie o swej niewinności wobec zgromadzonego ludu, a wreszcie prędka, być może bezbolesna prawie śmierć, po której, według nauki Kościoła mógł liczyć z pewnością na wieczną szczęśliwość: A tymczasem to nieszczęsne ułaskawienie wyrzuciło go znów z portu spokoju na burzliwe fale życia. I jakiego życia.

— Ja nieszczęsny! Nie byłem godzien szczytnej korony, po którą w zarozumiałości serca wyciągałem rękę — skarżył się sam przed sobą.

Nigdy dotąd nie odczuwał tak silnie ciężaru ofiary, poniesionej w imię kapłańskiego obowiązku. Teraz wydawała mu się ona nie do zniesienia i ogarnęła go rozpacz. Zaczął się przed nią bronić całą siłą wiary, lecz chociaż wola jego nie zachwiała się, nie miał jednakże siły oprzeć się uczuciu goryczy. Odczuwał znie-

chęcenie i wstręt, a w duszy obudziło się nieokreślone jakieś pragnienie:

— Gdybyż ten całą siłą pary pędzący pociąg uderzył o jakąś przeszkodę, wszystko raz by się już skończyło!

Bogobojnego kapłana przestraszyła ta zła myśl i począł błagać ze św. Piotrem:

— Panie, ratuj mnie, bo tonę!

Zaczął się modlić. Wśród mroków graniczącego z rozpaczą smutku i uczucia opuszczenia, wołał wraz z psalmistą przenikającym głosem zasmuconej śmiertelnie duszy:

— Z głębokości, wołam do Ciebie, Panie! Panie, wysłuchaj mego głosu. Niech będą uszy Twoje nakłonione na głos błagania mego! (Psalm 129). Ratuj mnie, o Panie, gdyż ginie w odmętach dusza moja! Staczam się ku przepaści i nie znajduję oparcia. Płynę po morzu, a burza chce mnie pogrążyć w jego głębinach. Walczę i wołam, głosu mi już nie staje, ale ufam Panu mojemu!

Stopniowo w duszy jego zapanowywał spokój. Mijały pokusy, zwyciężała łaska; w niej znajdował ks, Montmoulin siłę, aby dla Boga ponieść i tę ofiarę. Wydawała się ona ciężka i nad miarę gorzka, łatwiej jednak spodziewał się ją znieść przez pamięć na Zbawiciela, który spełnił za nas gorzki kielich udręczeń i dźwigał ciężki krzyż,

ROZDZIAŁ XXI
Nowa Kaledonia.

Ks. Montmoulin widział swoją przyszłość w bardzo ciemnych barwach, rzeczywistość zaś przeszła jego oczekiwanie.

Już w więzieniu w Marsylii, gdzie oczekiwać musiał

na odjazd okrętu, doznał przedsmaku tego co wycierpieć miał w podróży. Dotychczas kapłan miał osobną celę, gdzie nikt nie przeszkadzał mu w rozmyślaniach i modlitwie. Tutaj wpakowano go razem ze stu towarzyszami niedoli i ani w dzień, ani w nocy nie był na chwilę sam. A w jakież dostał się towarzystwo! Otaczały go wyrzutki społeczeństwa: złodzieje, oszuści, mordercy, handlarze dusz, anarchiści — prawdziwy stek moralnej zgnilizny! Już sam widok tych twarzy, napiętnowanych najgorszymi występkami były męką dla człowieka szlachetnego. Wielu cierpiało wskutek swych występków na najwstrętniejsze choroby. Dodawszy do tego ohydne rozmowy, okropne bluźnierstwa i przekleństwa, w których dawali upust swojej nienawiści ku Bogu i ludziom, będziemy mieli straszliwy obraz piekła, w którym znalazł się ks. Montmoulin.

Z właściwą występnym przenikliwością, spostrzegli zaraz więźniowie, że nowo przybyły, gdy go bladego i wystraszonego wepchnięto do ich grona, nie jest taki, jak oni — uznali go więc za nieprzyjaciela.

— Hola! — zawołał doń jakiś pijak z Lugdunu, który w stanie nietrzeźwym zadusił swą żonę. — Cóż to za paniczyka mamy między nami? Przypatrzcie się tym delikatnym rączkom, które pewnie jeszcze nigdy nie zarobiły nawet na kieliszek wódki! A ta buzia — ani chybi, to jakiś dewot!

— Niedobrze mi się robi jak tylko spojrzę na niego — mówił włamywacz z Tulonu — pachnie woskowymi świecami i kadzidłem! Niech mnie licho porwie, jeśli to nie jest jaki zakrystian, albo...

— Naturalnie, że to jest klecha! — krzyknął bandyta paryski który stał za ks. Montmoulin. — Patrzcie na jego tonsurę! Hahaha! Będzie nam wesoło, bracia! Proboszcz musi nam prawić kazania i zaśpiewać pięknie mszę!

— Proboszcz! Ksiądz! — ryczała i szydziła tłuszcza. Zaraz zaczęli niektórzy zawodzić Requiem, a jeden nędznik ukląkł przed kapłanem i wśród śmiechu bandy zaczął dla drwiny spowiadać się, że przerażony duchowny zasłonił sobie uszy. Inni chcieli się dowiedzieć, co on takiego uczynił, że doznał „zaszczytu" znajdowania się w ich towarzystwie?

Jednym słowem rozlegały się takie szyderstwa i bluźnierstwa, że biedny proboszcz z S-te Victoire pomyślał mimo woli o udręczeniu, jakie cierpieć musi dusza zatracona w strasznym towarzystwie potępieńców.

— To jest piekło na ziemi — pomyślał ze zgrozą.

Musiał czekać pięć dni w więzieniu w Marsylii, potem przeprowadzono deportowanych na pokład kanonierki „Durance". Skuci parami, prowadzeni byli przez ulice pod strażą silnego oddziału żandarmów. Po drodze ujrzał ks. Montmoulin znajomego kapłana wychodzącego z kościoła. Kapłan przeglądał smutnym wzrokiem długi szereg skazańców i widocznie szukał proboszcza z S-te Victoire, o którego zbrodni i ułaskawieniu pisały wszystkie gazety. Poznał go nareszcie, więcej po skromnym, onieśmielonym zachowaniu się, niż po rysach, które po nieszczęściach ubiegłego miesiąca postarzały go o wiele lat. Ze zgrozą podniósł w górę dłonie.

Zarumieniony ks. Montmoulin spuścił oczy; to była ostatnia oznaka współczucia, której długi czas nie zaznał potem.

Gdy znaleźli się na pokładzie ,,Durance" zaprowadzono zaraz skazańców na dół statku i stłoczono na twardych pryczach. Dopóki statek stał na kotwicy, nie wolno im było wyjść na pokład.

Możemy sobie wyobrazić tych ludzi, pełnych nienawiści i złych namiętności, stłoczonych w ciasnym i pra-

wie ciemnym miejscu! A kiedy wreszcie po wielu godzinach maszyna ruszyła i okręt zaczął się kołysać, wystąpiły objawy okropnej morskiej choroby, podwójnie wstrętnej w przepełnionym miejscu i między brutalnymi zbrodniarzami. Trudno opisać udręczenia, jakie teraz znosić musiał ks. Montmoulin...

Na szczęście, po kilku okropnych dniach, powietrze uspokoiło się i pozwolono skazańcom spędzać na górnym pokładzie przynajmniej po kilka godzin dziennie.

Tymczasem „Durance" przebyła kanał Sueski i płynęła przez Morze Czerwone na południe. Upał wzrastał i na przepełnionym pokładzie było wprost nie do wytrzymania.

Wydawało się ks. Montmoulin, że nie zniesie dłużej swojego losu, ilekroć dozorcy spędzali tłum więźniów po schodach na dół, do źle przewietrzonego, obrzydliwymi wyziewami morskiej choroby przenikniętego miejsca.

Już trzech jego nieszczęsnych towarzyszy rzuciło się do morza, aby uniknąć męki i gdyby kapłan nie był tak silnie ugruntowany w wierze w Boga, jedynego Pana życia i śmierci i w życie przyszłe — i on byłby zapewne uległ pokusie samobójstwa.

Gdy statek dosięgnął Oceanu Indyjskiego i kierował się ku południowym wybrzeżom Australii, wszystkie te przejścia wstrząsnęły tak silnie zdrowiem ks. Montmoulin, że lekarz okrętowy kazał przenieść numer 5348 do nieco lepszej osobnej kabiny. Tygodnie całe leżał tu w gorączce, pomiędzy życiem a śmiercią.

Lekarz, który go obserwował, nie mógł się wydziwić bogobojnym i czystym obrazom, jakie w napadzie gorączki przesuwały się w umyśle chorego. Wygłaszał w gorączce kazania w swoim kościele i szczególnie rozwodził się nad tajemnicą spowiedzi; tłumaczył dzieciom zasady katechizmu i znowu mówił o spowiedzi

i tajemnicy spowiedzi, lub też rozmawiał ze swą matką, pełen dziecięcej miłości i prostoty.

Pewnego razu wydawało mu się, że stoi przed sądem i był bardzo podniecony.

— Oni mnie skarżą — bełkotał — a ja im przecież nie mogę powiedzieć, kto to zrobił.

Lekarz nabrał przekonania, że chory cierpiał niewinnie i powiedział to kapitanowi. Kapitan wzruszył ramionami i rzekł:

— Numer 5348, to jest proboszcz z S-te Victoire, o którego procesie czytałem przypadkiem bardzo obszernie w „Figaro". Nie miałem wątpliwości, że to on dokonał przestępstwa. Jak ten człowiek może odgrywać rolę niewinnego nawet w gorączkowych majaczeniach? Ale przypuśćmy nawet, że jest niewinny, to i tak nie możemy zmienić jego losu. Pańskie psychologiczne dowody nie skłonią żadnego sądu we Francji, ani na całym świecie, aby zaczęto proces na nowo.

— Ale możemy przyczynić się do tego, aby mu ten los uczynić nieco lżejszym — odparł lekarz.

— Ja nie. Mam tylko komendę nad swoim statkiem, a do czego innego się nie mieszam. Pomów pan z komendantem zakładu karnego, do którego odstawić mam skazańców, jeżeli nie obawiasz się, że zostaniesz wyśmiany.

Mówiąc to, kapitan odwrócił się i udał do swojej kajuty.

„Durance" zbliżała się teraz do Cieśniny Bess, która oddziela południowy brzeg Australii od Tasmanii. Na wprost Przylądka Wilsona, który wrzyna się głęboko w cieśninę, mógł już ks. Montmoulin wyjść nareszcie na pokład, wsparty na ramieniu lekarza.

— Czy to już brzeg mojej nowej ojczyzny? — zapytał, uśmiechając się smutnie.

— Jest to południowy kraniec Australii; od Nowej

Kaledonii jesteśmy jeszcze dość daleko. Myślałem długi czas, że ksiądz nie dojedzie do miejsca przeznaczenia, ale natura zwyciężyła. Jak się ksiądz czuje na tym orzeźwiającym powietrzu?

— Dobrze, dziękuję, gdyby nie pańska wielka troskliwość, leżałbym już na chłodnym dnie oceanu.

— I myśli ksiądz, że byłoby dla niego lepiej, gdyby był umarł? Pojmuję to.

— Ja myślę, że tak jest lepiej, jak Bóg zarządził; nie zaprzeczam jednak, że wolałbym śmierć od swego losu, gdybym słuchał tylko głosu natury — odrzekł kapłan.

— A jednak cieszę się, że udało mi się uratować księdza — odparł lekarz. — Wierzę w jego niewinność i ufam, że wyjdzie ona kiedyś na jaw.

Z oczu więźnia wystrzelił błysk radości:

— Niech Bóg wynagrodzi to panu! — powiedział. — To pierwsze słowo ludzkiej pociechy, jakie usyłszałem po wielu tygodniach. Nie śmiem wprawdzie spodziewać się sprawiedliwości tutaj, na ziemi, ale tym pewniej oczekuję jej na tamtym świecie.

Doktor opuścił rekonwalescenta, aby nie zdradzić wzruszeń, które te słowa wywołały w jego sercu. Jak wielu innych lekarzy, tak i on utracił wiarę na wyższych uczelniach, dzięki zatrutym naukom niewierzących profesorów. Teraz jednak musiał sobie powiedzieć:

— Jest jednak coś wzniosłego w tej odwadze, którą napełnia duszę człowieka wiara w sprawiedliwego Boga i nieśmiertelną duszę! Chciałbym ujrzeć niedowiarka na miejscu tego kapłana. Dawno z rozpaczy odebrałby sobie życie! A jeśli się nie mylę, to przyczyną jego smutnego losu jest jakieś poczucie obowiązku.

Gdyby ks. Montmoulin przeczuł, że pokora jego była początkiem nawrócenia się tego człowieka, co zresztą

nastąpiło o wiele później, byłoby to dla niego znacznie większą pociechą, niż jego przyjazne słowo.

„Durance" pędziła dalej w północno-wschodnim kierunku i wreszcie z fal wyłoniły się góry Nowej Kaledonii. Pięćdziesiątego dnia podróży ujrzano białe korony koralowych raf, okalających wyspę. Na dany sygnał, podpłynął do statku na wątłej łodzi przewodnik i wskazał mu drogę przez niebezpieczny przejazd. Nareszcie statek zawinął do portu pomiędzy półwyspem Ducos a wyspą Nu. Skazańcy musieli stanąć rzędem na pokładzie, między nimi i ks. Montmoulin, skuty w łańcuchy tak, jak inni. Wzdłuż wybrzeża ciągnęły się baraki zakładu karnego, na prawo i na lewo sterczały groźne armaty fortu, a na dalszym planie wysepki widniały nagie wzgórki. Dalej na lewo, za zatoką, przy której leży Port-de-France, stolica Kaledonii, wznoszą się wysoko ku chmurom dzikie skały tej wielkiej wyspy.

Palące, podzwrotnikowe słońce rzucało oślepiające blaski na obcy krajobraz i myśl:

— Tak daleko od ojczyzny! — musiała nasuwać się i najzatwardzialszemu ze złoczyńców.

Ks. Montmoulin doznał jakby ukłucia w serce, gdy wspomniał sobie daleką Francję i ukochane istoty. Oddalony był od nich prawie o połowę kuli ziemskiej i nie mógł mieć nadziei, że ich jeszcze kiedyś zobaczy.

W tej chwili jednak nie było czasu oddawać się długo tym smutnym myślom. Komendant wyspy Nu zjawił się na pokładzie, aby odebrać skazańców. Obejrzał każdego człowieka jednego po drugim, a raczej numer po numerze, między innymi i numer 5348.

— Ten skazaniec chorował bardzo w czasie podróży — zauważył lekarz okrętowy. — Zdaje mi się, że nie był też przyzwyczajony do ciężkiej roboty. Zalecił-

bym, aby chociaż na początek wzięto go do posług przy szpitalu.

Potem ciszej dodał:

— To jest ksiądz i uważam, że cierpi niewinnie.

Komendant ściągnął niechętnie brwi i odparł sucho:

— Numer 5348 traktowany będzie tak, jak inni. Kogo nam sądy francuskie przyślą, jako winnego, musimy go za takiego uważać. Ksiądz, który nie uszanował swojego stanu, najmniej zasługuje na łagodniejsze obchodzenie się. Polecę zbadać go głównemu lekarzowi i według tego z nim postąpię.

Po tych, półgłosem wypowiedzianych słowach, które ks. Montmoulin dosłyszał, komendant zwrócił się do zesłańców i zawołał:

— Uważać! Nie przysłano was tutaj nam z Francji po to, abyście żyli na koszt państwa w słodkiej bezczynności i zapowiadam, że kto nie podda się surowemu regulaminowi, ten będzie miał psie życie u mnie. Takiego związanego każę położyć na słońcu, niech myśli, że leży na brytfannie. Zrozumiano? Kto się zastosuje do regulaminu i będzie chętnie pracował, temu będzie znośnie. Wybierajcie więc! Jeszcze jedno: mogłaby przyjść któremuś na myśl ucieczka; bo to się zdarza. Dobrze, ale zwrócę wam uwagę, że: 1. Straże mają broń i rozkaz zastrzelenia zbiega. 2. Najbliższy ląd, wybrzeże Australii, leży przeszło 1.000 km na zachód; jak przebyć tę przestrzeń bez łodzi i żywności, to już rzecz zbiegów. 3. Pozostaje jeszcze głąb Nowej Kaledonii, dokąd chroniło się już kilku dobrych pływaków. No, szczęśliwej podróży! Większość została pożarta przez drapieżniki, pozostali powracali na wpół nieżywi z głodu na wybrzeże i oddawali się sami w ręce francuskich straży. Zapewniam was, że zawsze przyjmowano ich w taki sposób, iż odeszła im ochota próbowania

po raz wtóry wycieczki wakacyjnej. Zrozumiano? Na prawo, marsz!

„Durance” przybliżała się teraz do pomostu i skazańcy pod strażą żołnierzy przechodzili jeden po drugim koło komendanta, udając się do baraków, otoczonych wysokimi palisadami. Miało tam pomieszczenia na twardych pryczach przeszło 1000 skazańców. Ci, co się tam właśnie znajdowali, przywitali przybyszów ponurymi spojrzeniami i przekleństwami. A cóż dopiero. gdy wieczorem powróciła gromada więźniów, którzy w dzień pracowali oddziałami w ogrodach i przy budowlach pod dozorem wojska! Kiedy ujrzeli niebożądanych gości, którzy zabierali ograniniczone już i tak miejsce wybuchł gniew i złość w sposób, znamionujący takie surowe, zbrodnicze natury.

Nastąpiły znów sceny, przypominające przyjęcie w Marsylii, a lwia część szyderstw i klątw dostała się księdzu.

Nawet pomiędzy dozorcami znaleźli się ludzie, którzy nienawiść swą przeciwko kapłanom i religii wylali na niewinnie skazanego.

I takie straszne życie miało teraz teraz trwać ciągle — Bóg wie, ile lat?!

Naczelny lekarz, który zbadał numer 5348, nie znalazł powodu, dla którego zwolnić by go miał od obowiązującego regulaminu. Więc już następnego ranka ks. Montmoulin z motyką na ramieniu przyłączyć się musiał do oddziału, jaki pracować miał nad uporządkowaniem drogi, wiodącej na szczyt wysokiego pagórka, na którym znajdował się punkt obserwacyjny. Ciężka praca pod promieniami palącego, podzwrotnikowego słońca, była prawie nie do zniesienia nawet dla silnego robotnika, którego ręce przywykły do motyki.

Ks. Montmoulin upadał ze znużenia już pierwszego dnia; ciężko dysząc, okryty potem, z pokrwawionymi

rękami, powracał wieczorem do baraku. Czuł się tak niedobrze, że zaledwie spróbował nędznej strawy, którą mu dozorca wrzucił do garnuszka. Jak zbity, rzucił się na twardą pryczę, a pomimo to godziny całe nie mógł zasnąć. Jedyną jego pociechą był różaniec, który odmawiał potajemnie, podczas, gdy dokoła niego bluźniono straszliwie. Następnego poranka, na odgłos bębna, musiał znowu podnieść się i iść do roboty wraz z innymi, nie bacząc na pokrwawione ręce. Pomyślał sobie:

— Długo tego nie wytrzymam! Litościwa gorączka wyzwoli mnie wkrótce z tej nędzy!

Ale przeciwnie, wytrzymał! Z każdym dniem przywykał do nowego położenia. Silna jego natura przyzwyczaiła się do klimatu i ciężkiej pracy, lepiej nawet, niż wielu jego towarzyszy, silniejszych z pozoru, ale ze zdrowiem podkopanym przez złe namiętności.

Gdy nadeszła pora deszczów, miał kilka ataków febry i musiał się udać do szpitala, gdzie pielęgnowały chorych siostry św. Józefa. Prędko jednak powrócił do zdrowia, tak prędko, że nie spełniło się nawet jego gorące życzenie, aby mógł przyjąć komunię św. Wyznał jednej z sióstr kim jest, ale nieboraczka tak często była oszukiwana przez skazańców, że mu nie wierzyła.

— Czy to możliwe, żeby ksiądz dostał się między najgorszych deportowanych? — pomyślała i oburzona odwróciła się od spalonego słońcem, z powichrzoną brodą skazańca.

Proboszcza zabolała głęboko ta nieufność zakonnicy.

— Należysz przecież do wyrzutków społeczeństwa — tłumaczył sobie. — Przyzwyczaj się do tego i tu na ziemi wyrzecz się wszelkiej nadziei.

Minął rok. Wysłano wraz z innymi numerami i numer 5348 na wschodnie wybrzeże Nowej Kaledonii, do kopalni miedzi w Balaad.

Tydzień za tygodniem i miesiąc za miesiącem prze-

żył ks. Montmoulin razem z innymi i drugi rok. Trzeci rok posunął się też znacznie naprzód. Nie myślał więcej o tym, że mogłoby się coś zmienić w jego losie.

Iluż współskazańców pomarło już i zostało pochowanych na skraju pobliskiego lasu, bez wszelkich ceremonii! Kiedyż i jego złożą wreszcie na wieczny spoczynek pod olbrzymim drzewem, ocieniającym pozbawiony krzyży cmentarny pagórek?

Jedno mu tylko życzenie pozostało: aby w godzinę śmierci znajdował się przy nim jeden z misjonarzy z Balaad i udzielił mu świętych sakramentów.

Ale i co do tego mało miał nadziei. Z pewnością misjonarze z chęcią pośpieszyliby mimo odległości do łoża śmierci każdego ze skazańców, ale dozorcy i straż nie zadawali sobie trudu, aby posyłać kogoś z tym życzeniem do misji. Chcąc jednakże jeśli się da, nie stracić tej ostatniej pociechy, ks. Montmoulin poprosił jednego z ochrzczonych Kanaków, którzy pracowali jako robotnicy w kopalni, aby mu potajemnie dostarczył ołówek i kawałek papieru. Więcej za pomocą gestów, niż słów, wytłumaczył krajowcowi swoje życzenie i skłonił go do jego spełnienia, ofiarowawszy mu kilka sou, jakie posłuszni skazańcy otrzymywali na tytoń.

Na otrzymanym w ten sposób papierze napisał parę słów po łacinie do przełożonego misji w Balaad, zaklinając go w imię Chrystusa, aby przybył z ostatnią pomocą ciężko choremu kapłanowi, który znajduje się w kopalni miedzi, pomiędzy zesłańcami, jako numer 5348.

— Teraz, gdy zachoruję na febrę — mówił do siebie — znajdzie się może ktoś taki, kto za moje oszczędzone pieniądze zaniesie tę kartkę misjonarzom, a wtedy ze spokojem będę mógł oczekiwać ostatniej godziny. A może ofiara, którą ponieść musiałem dla tajem-

nicy spowiedzi, sięga tak daleko, że nawet przy śmierci będę pozbawiony pociechy ostatnich sakramentów?! — Jak Bóg zechce!

ROZDZIAŁ XXII
Niespodziewane odwiedziny.

Tymczasem w Akwizgranie zapomniano już prawie o ks. Montmoulin. Trzy lata, to długi termin, w czasie którego jedno zdarzenie pozwala zapomnieć o drugim. Nawet antyklerykalne pisma przestały już wspominać sprawę z S-te Victoire.

Było to w lutym, r. 1891, dnia bardzo niepogodnego. Adwokat Meunier pracował jeszcze przy lampie w swoim biurze nad zawiłym procesem, który w tych dniach miał prowadzić. Spojrzał na okno, na które wiatr pędził śnieg, połączony z deszczem i chciał właśnie złożyć akta, gdy ukazał się służący, meldując, że ktoś obcy chce się z nim widzieć w ważnym interesie.

— O tej godzinie i w taką pogodę przychodzi interesant? — rzekł zdziwiony adwokat. — Jak się nazywa?

— Nie chciał mi powiedzieć — odrzekł służący. — Panie, jeśli mi wolno coś powiedzieć: to prosiłbym, aby go pan nie przyjmował. Jest on co prawda ubrany porządnie, ale ma w sobie coś dzikiego, niespokojnego.

Pan Meunier zażył tabaki i rozważał przez chwilę. Zdecydował się jednak przyjąć nieznajomego.

— Ale ty, Janie, bądź w pobliżu — powiedział i stanął plecami zwrócony do kominka.

Nieznajomy wszedł i z widocznym podnieceniem zbliżył się do prawnika. Zaledwie adwokat zauważył twarz nieznajomego, mimo woli wzdrygnął się.

— Pan jest tym adwokatem, który przed trzema laty bronił przed sądem proboszcza z S-te Victoire? — zapytał nieznajomy, gniotąc niespokojnie w ręku swój szary, filcowy kapelusz.

— Tak! Wydaje mi się, że pana znam, pomimo, że o ile wiem, nigdy w życiu pana nie widziałem — odrzekł Meunier.

— Słusznie. Po tym cięciu szabli na twarzy łatwo mnie można poznać. Jestem zakrystian Loser, którego pan niegdyś poszukiwał na próżno.

Adwokat zamilkł. Po bladej twarzy gościa, na której widniała gwałtowna walka wewnętrzna, poznał, że ten chciałby mu złożyć jakieś zeznanie. Przez jakiś czas słychać było syczenie ognia na kominku, tykotanie zegara i plusk deszczu o szyby.

— Panie Loser — rzekł wreszcie poważnie prawnik — pan chciałby mi coś powiedzieć?

— Tak. Dlatego odbyłem długą podróż z Valparaiso, w południowej Ameryce. A teraz, kiedy stoję przed panem, nie chce mi to przejść przez usta.

Urwał i otarł sobie pot z czoła. Potem rzekł chrapliwym głosem:

— Proboszcz jest niewinny — ja to uczyniłem!

Straszny wysiłek, jaki Losera to wyznanie kosztowało, znalazł teraz upust w nerwowym płaczu. Adwokat podsunął mu krzeszło i były zakrystian upadł na nie prawie bezsilnie. Trwało dość długo, zanim nabrał tyle siły, aby móc rozmawiać z prawnikiem.

— A więc pan przybył z południowej Ameryki po to, aby złożyć to wyznanie? — zapytał wreszcie pan Meunier, który zaczynał powątpiewać, czy jego gość znajduje się przy zdrowych zmysłach.

— Co pana do tego skłoniło?

— Zadośćuczynienie. Chcę pokutować — wyjąknął nieszczęsny. — Nie mam chwili spokoju.

Adwokat pomyślał o tym, jak wszelkimi sposobami starał się odmienić smutny los proboszcza i jego rodziny, a nie mógł tego uczynić, ponieważ nie udało się znaleźć śladów człowieka, siedzącego teraz przed nim, a który zrobił wszystko, co było w jego mocy, aby podejrzenie krwawego czynu skierować na niewinnego. W sercu prawnika obudziła się odraza. Po chwili jednakże, gdy spojrzał na dręczonego wyrzutami sumienia Losera, który gotów był odpokutować za swą zbrodnię, poczuł nad nim litość. Obydwa te uczucia walczyły w jego sercu. Wreszcie bez goryczy, ale z wyrzutem rzekł:

— Niestety, za późno pan przybywasz, aby się oskarżyć. Jak pan teraz chce wynagrodzić to nieszczęście, które pan sprowadził na biednego proboszcza i na jego sędziwą matkę?

Loser zerwał się z krzesła i załamał ręce.

— Mój Boże! — zawołał — otóż to właśnie powtarzam sobie i w dzień i w nocy! Zmiłuj się pan nade mną. Zapewne, że nie będę mógł zadośćuczynić za przewinienia, ale chcę chociaż odpokutować, złożyć swoją głowę na szafocie!

W sercu prawnika zwyciężyła litość. Podał Loserowi rękę i rzekł:

— Daruj mi pan, nie chciałem panu uczynić przykrości. Zresztą może pan w części naprawić zło. Na szczęście ks. Montmoulin nie ścięto i o ile wiem, żyje on jeszcze w Nowej Kaledonii. Żyje także matka i siostra. Zgorszenie, które łączy się z imieniem biednego proboszcza z S-te Victoire, może być też usunięte dzięki pańskiemu wyznaniu. Szkoda tylko, że pan nie zdobył się na ten szlachetny postępek wcześniej, gdy toczył się jeszcze ów nieszczęsny proces.

— Ani na chwilę nie przypuszczałem, że podejrzenie o przestępstwo może spaść na ks. Montmoulin i nie

myślałem wcale o tym, siadając na okręt, mający mnie zawieść do Buenos Aires, wtedy, gdy tutaj zaczęły się już dochodzenia sądowe — mówił były zakrystian. — Przy tym, byłem pewien, że kapłan powie chociaż to, że mnie widział, albo ,że się u niego spowiadałem. Uważałem też za prawdopodobne, że w ogóle nie będzie się poczuwał do obowiązku milczenia wobec penitenta, który uratował się ucieczką. Myślałem, że to, co księża prawili o tajemnicy spowiedzi, to tylko była czcza gadanina, a spowiedź wynaleziono po to, aby kościół mógł z tego ciągnąć pożytek, jak się o tym naczytałem w książkach i gazetach. Tak wówczas sądziłem i miałem się za głupca, że w pierwszej chwili trwogi wyspowiadałem się ze swego nieszczęsnego czynu.

— A więc jednak było tak, jak przypuszczaliśmy z regensem — zawołał prawnik. — Ksiądz Montmoulin skazany został, jako ofiara tajemnicy spowiedzi!

— Jako ofiara tajemnicy spowiedzi! — powtórzył poruszony przestępca. — To spowodowało także moje nawrócenie się i postanowienie, aby według możności zadośćuczynić i odpokutować swoje grzechy.

I Loser zaczął opowiadać, w jaki sposób udało mu się wówczas ujść do Buenos Aires. Obawiał się, że przy wylądowaniu poznają go po szramie na twarzy i zaaresztują, gdyż pewien był, iż ks. Montmoulin zdradzi pośrednio lub bezpośrednio, że to on jest mordercą. Jednakże ku wielkiemu zdziwieniu nic takiego nie nastąpiło; przyłączył się więc do gromadki Włochów, którzy udawali się do kopani srebra w Potosi, w Boliwii. Dopisywało mu bajeczne szczęście i wkrótce pomnożył swój majątek dziesięciokrotnie, nie zaznawszy jednak ani spokoju, ani zadowolenia. Nareszcie po wielu wędrówkach, przebył Andy i zeszłego roku kupił so-

bie w Chile, w pobliżu Valparaiso farmę, sądząc, że zapomniano już o jego przestępstwie, o którym nie doszły go żadne wieści i że teraz nareszcie może pod zmienionym nazwiskiem w spokoju używać swego majątku. Nie znalazł jednak zadowolenia na swoim prześlicznie położonym kawałku ziemi, z widokiem na czarującą zatokę i śnieżne szczyty Andów. Nie cieszyły go szlachetne rumaki, które hodował na swoich łąkach, ani pieniądze, które znosili mu zarządzający, ani wielkie procenty, jakie otrzymywał z kapitałów, umieszczonych w kopalniach saletry w Tarapaca.

Wreszcie przyszła mu do głowy myśl, że pozbędzie się wewnętrznego niepokoju, jeśli dowie się coś pewnego o skutkach swego czynu i napisał pod swoim zmienionym nazwiskiem do znajomego handlarza południowymi owocami w Akwizgranie z żądaniem, aby mu przysłał partię suszonych prowansalskich śliwek, a zarazem prosił, przy tej sposobności o przesłanie na jego rachunek ostatnich trzech roczników gazety ,,Provensal". W ten sposób, prócz słodkich owoców swojej ojczyzny, w odległym Chile przeżywać jeszcze będzie mógł dawne miłe wspomnienia — dodawał w owym liście. — Kupiec spełnił chętnie to życzenie, zadowolony, że może rodakowi wyświadczyć podwójną przysługę.

— Owa przesyłka nadeszła z Akwizgranu na dwa dni przed Bożym Narodzeniem — opowiadał dalej Loser. — Zamknąłem się w pokoju ze stosem gazet i po krótkim szukaniu znalazłem datę owego nieszczęsnego 20 lutego. W następnym numerze był opis morderstwa w S-te Victoire i wiadomość o uwięzieniu ks. Montmoulin. Byłem jak rażony piorunem.

Numer po numerze zawierał relacje, przepełnione jadem i nienawiścią przeciwko gorliwemu duszpasterzowi w S-te Victoire. Cytowano najdrobniejsze dowody

winy, donoszono o uwięzieniu matki i siostry księdza. Wreszcie znalazłem opis głównej rozprawy! Drżąc cały, szukałem wyroku. Znalazłem go i myślałem, że oszaleję: skazany na śmierć!

— Panie, pan nie uwierzy, jakie te słowa wywarły na mnie wrażenie! Nie wiem, jak długo biegałem po pokoju tam i spowrotem zanim odzyskałem tyle spokoju, że mogłem czytać dalej opis całej sprawy. Była już północ, kiedy doczytałem do końca. A więc ksiądz Montmoulin nie wspomniał ani jednym słowem o tym, że się u niego spowiadałem, ani nawet, że mnie widział, gdyż w delikatności swego sumienia i w tym już obawiał się uchybienia kapłańskiemu obowiązkowi. Nawet nie próbował zrzucić z siebie podejrzenia, aby je na mnie skierować! Milczał, chociaż to milczenie było dla niego wyrokiem śmierci, a dla wielu strasznym zgorszeniem! To wszystko przytłoczyło mnie nieopisanym ciężarem — byłem formalnie zdruzgotany, kiedy nareszcie skończyłem czytać te nieszczęsne opisy. Zacząłem płakać, jak dziecko.

— Potem wziąłem znowu gazety, aby dowiedzieć się ostatecznego końca. Były długie artykuły o procesie, pełne szyderstwa o panu, jako obrońcy, o nieukanej próbie, ratowania kapłana wzmianką o zachodzącej tu możliwości zachowania tajemnicy spowiedzi, jaki to fakt podobny zdarzył się w Polsce. A jednak pan odgadł prawdę! Następowały jeszcze rozprawy, które starały się wykorzystać skandal w S-te Victoire do antyklerykalnych celów, które obrzuciły Kościół i jego sługi zjadliwymi i złośliwymi uwagami. Wreszcie w jednym numerze ujrzałem wydrukowane dużymi literami:

— Ułaskawienie zbrodniarza z S-te Victoire.

— Na chwilę odetchnąłem, — ale niestety, ułaska-

wienie to było deportacją do Nowej Kaledonii. Opis, jak kapłan zamieniał sutannę na kaftan skazańca i odjazd jego na statku „Durance” do miejsca wygnania, zakończył moje czytanie. Było już rano, kiedy nareszcie odłożyłem gazety.

— Powziąłem nieodwołalne postanowienie. Wybrałem między gazetami ten numer, w którym opisywano główną rozprawę, oraz drugi z ułaskawieniem i złożywszy starannie w kopertę, ukryłem na piersi. Potem wyjąłem z szafy 2.000 pesetów, dałem swemu zarządcy odpowiednie rozporządzenia i pojechałem konno do Jezuitów w Valparaiso, których przełożony rozumiał po francusku. Wyznałem mu swoją zbrodnię i poprosiłem, aby mi dopomógł w mej trosce. Zajął się mną z wielką serdecznością i współczuciem, dopomógł w rachunku sumienia i przygotował do spowiedzi z całego życia. Trwała ona długo, ale w nagrodę przyniosła mi nadzieję, że mi Bóg wybaczy i ta nadzieja utrwaliła mnie mocniej jeszcze w zamiarze, aby pokutować, o ile tylko będę mógł za swe straszne przestępstwo. Oczywiście, musiałem przyrzec swemu spowiednikowi, że zrobię wszystko, co będzie w mojej mocy, aby zmienić niesprawiedliwy wyrok, przywrócić kapłanowi wolność i dobre imię, zwrócić zrabowaną sumę, wynagrodzić rodzinie proboszcza poniesione straty i naprawić uczynione zgorszenie. Otrzymałem rozgrzeszenie dopiero wtedy, kiedy na piśmie złożyłem zeznanie o popełnionym zabójstwie i położyłem swój podpis, potwierdzony przez notariusza. Święta Bożego Narodzenia spędziłem u ojców, potem robiłem starania o sprzedanie swej własności. Skoro to przeprowadziłem, napisałem testament, rozporządzając na wypadek śmierci swoim mieniem na rzecz poszkodowanych z powodu mojego przestępstwa. Potem wyjechałem, nie tracąc ani dnia. Przybyłem do Buenos Aires właśnie w chwili, gdy miał:

odejść parostatek do Bordeaux. Wczoraj wylądowałem i natychmiast kurierem udałem się tutaj. Przede wszystkim zapytałem o pańskie mieszkanie, panie adwokatcie, gdyż zapamiętałem pańskie nazwisko, jako obrońcy nieszczęśliwego proboszcza. A zatem jestem tu, aby zadośćuczynić i pokutować za grzechy, o ile tylko będę mógł.

Pan Meunier przysłuchiwał się z natężeniem długiemu opowiadaniu Losera. Gdy ten skończył, wzruszony podał mu rękę i rzekł:

— Pomimo wszystko, coś pan uczynił, muszę pana za ten ostatni krok szanować. Uważam pana za swego klienta i pańska tajemnica jest u mnie bezpieczna. Z pewnością, jest pan winien zadośćuczynienie, ale nie więcej, jak potrzeba. Kiwa pan głową z niedowierzaniem. Niech pan wpierw posłucha. Zwrot zrabowanej sumy i odszkodowanie rodziny Montmoulin może pan załatwić przeze mnie, wystarczy dać odpowiednie wskazówki bankowi w Valparoiso. Dalej cofnąć można i unieważnić wyrok, przywrócić ks. Montmoulin wolność i cześć i naprawić publiczne zgorszenie, chociaż się pan osobiście przed sądem nie stawi. Wystarczy, jeśli pan podpisze piśmienne przyznanie się do winy, które ja przygotuję. Dla ostrożności podpis pański potwierdzą świadkowie, którzy nie potrzebują nic wiedzieć o treści pisma.

Skoro pan to uczyni, odjedzie pan z powrotem do Chile pierwszym statkiem i uda się pan pod innym nazwiskiem do Ameryki Północnej albo do Australii.

Postaram się o to, aby pan zdołał ujść szczęśliwie, zanim sąd otrzyma pańskie zeznanie, po którym nastąpić musi wznowienie procesu księdza Montmoulin i jego uniewinnienie.

Loser uśmiechnął się smutno i rzekł:

— To wszystko mówił mi już mój spowiednik w

Valparaiso. Powiedział mi wyraźnie, że nie jestem obowiązany stawiać się osobiście przed sądem i narażać na karę śmierci. Wystarczy, gdy pozwolę wysłać podpisane przez notariusza zeznanie. Ale to wydawało mi się zbyt mało. Ksiądz Montmoulin postąpił ze mną tak wspaniałomyślnie, spełniając swój święty obowiązek. Przy tym wydaje mi się, że okrutne zamordowanie tej poczciwej, starej, bezbronnej kobiety, wymaga innej pokuty. Zresztą moje osobiste przed sądem świadectwo na korzyść niewinnie skazanego uczyni z pewnością silniejsze wrażenie i więcej przyczyni się do przywrócenia mu dobrego imienia, niż piśmienne oświadczenie. Powiedziałem to spowiednikowi i on zgadzał się ze mną. Prosiłem go więc, aby w razie, gdybym w drodze pożałował swego postanowienia, albo gdyby mnie spotkał jakiś wypadek, po pewnym czasie posłał zeznanie do prezydenta sądu w Akwizgranie i wyjechałem.

— I od tej chwili nie żałował pan nigdy swego postanowienia? — zapytał adwokat.

— Otwarcie mówiąc — kilka razy się zachwiałem, ale odczytywanie rozprawy sądowej umacniało mnie na nowo w moim zamiarze.

— Nie ulega wątpliwości, że skazany pan zostanie na karę śmierci.

— Nie spodziewam się, aby było inaczej.

— W najlepszym razie zamienią panu tę karę na smutny los deportowanego.

— Ksiądz Montmoulin znosi go z mojej winy już prawie trzy lata — jest najwyższy czas, abym zamienił z nim kajdany, więc nie traćmy ani jednego dnia.

— Więc taka jest pana wola po dobrej rozwadze?

— Miałem w czasie podróży dość czasu, aby się namyślić. Proszę, niech pan nie wystawia mego postanowienia na nową, trudną próbę i niech pan nie zwleka ani godziny z uwolnieniem księdza Montmoulin.

— Ma pan słuszność. Niech tak będzie! Oby Bóg dał panu siłę do zniesienia pokuty, którą pan sobie naznaczył.

Pan Meunier towarzyszył osobiście skruszonemu przestępcy do urzędu policyjnego i oddał go w ręce zdumionego komisarza, mającego dyżur. Dziwnym trafem był to ten sam, który był w S-te Victoire sędzią śledczym i prowadził do więzienia ks. Montmoulin.

— Panie komisarzu — rzekł do niego prawnik — sądzę, że tego pana, który przybył z Południowej Ameryki, aby dobrowolnie stanąć przed sądem, będzie pan traktować ze względnością, na jaką tylko pozwolą panu przepisy.

— Niech pan postępuje ze mną tak, jak postępowano z niewinnym księdzem Montmoulin — zauważył z poddaniem Loser.

Adwokat ścisnął mu dłoń i pośpieszył do domu Peultier prezydenta sądu.

— Dzisiaj środa — pomyślał — spotkam u niego prokuratora i niektórych kolegów przy grze w karty. Właśnie bije dziewiąta godzina, mam nadzieję, że nie będzie jeszcze za późno.

Przyszedł w sam czas. Właśnie odkładano karty i wstawano, aby się pożegnać, gdy służący zameldował pana Meunier. Panowie spojrzeli ze zdziwieniem na siebie i na wchodzącego. Adwokat usprawiedliwił się w kilku słowach, że ośmiela się o tak późnej porze trudzić pana prezydenta, i prokuratora, ale sprawa, która go sprowadza, jest wielkiej wagi i zbudzi ich zainteresowanie.

— Proszę i resztę kolegów, aby zechcieli posłuchać o tym niezwyczajnym wypadku — mówił dalej i powtórzył to, co usłyszał od Losera.

Panowie słuchali z natężoną uwagą, zaledwie zdobył się czasem ktoś na pytanie.

Dla prokuratora, który przypomniał sobie swoje ostre wystąpienia w sądzie, była to sprawa oczywiście bardzo nieprzyjemna.

— Czy ten człowiek jest przy zdrowych zmysłach? — zapytał wreszcie, kiedy pan Meunier zakończył swoje opowiadanie.

— Przy najzdrowszych — odparł adwokat.

— Dzięki Bogu, że wówczas postarałem się o ułaskawienie księdza Montmoulin! — zawołał prezydent — tym sposobem może da się choć w części zło naprawić. Oby tylko biedak nie uległ tymczasem klimatowi i okropnym warunkom, na jakie wystawieni są deportowani skazańcy.

— W każdym razie, skutkiem tego samooskarżenia, trzeba będzie wznowić proces — rzekł jeden z sędziów.

— Naturalnie. Jutro wysłucham natychmiast Losera i wniosę sam o rewizję — powiedział prokurator.

— A ja zwrócę się bezpośrednio do ministra sprawiedliwości, aby telegraficznie odwołano skazanego z Nowej Kaledonii. Jak prędko może on być tutaj z powrotem? — zapytał prezydent.

— W każdym razie potrwa to parę miesięcy — objaśnił pan Meunier. — Telegraf dochodzi tylko do Brisbane w Australii, stamtąd trzeba depeszę dostawić okrętem do Port-de-France. Być jeszcze może, że biedny proboszcz znajduje się w jakimś odleglejszym punkcie wyspy i powrót jego wskutek tego się opóźni.

— Mamy więc dość czasu przygotować wszystko, aby zaraz po jego przybyciu nastąpić mogła druga rozprawa sądowa, która naprawi według możności wyrządzoną mu, niestety krzywdę. Na nieszczęście, przy pierwszej rozprawie, dowody przemawiały tak silnie przeciwko niemu, że nawet mimo dzielnej obrony naszego szanownego kolegi, nie można było mieć nadziei uwolnienia księdza Montmoulin — zauważył prezydent.

— Gdyby nieszczęśliwy chociaż jednym słówkiem wspomniał podczas przesłuchania lub przed sądem, że zakrystian był u niego, byłby uwolniony! — zawołał prokurator.

— Z powodu odbytej przed nim spowiedzi, uważał, że mu tego uczynić nie wolno tak, jak wówczas przypuszczałem i głośno wypowiedziałem — odpowiedział pan Meunier. — Ksiądz Montmoulin jest rzeczywiście ofiarą tajemnicy spowiedzi.

ROZDZIAŁ XXIII
Znowu w ojczyźnie.

Następnego poranka Loser powtórzył swoje zeznanie prokuratorowi i jeszcze w ciągu dnia wysłano sprawozdanie o tym do ministra sprawiedliwości. Ten kazał natychmiast telegrafować do gubernatora w Port-de-France, aby wykreślono zaraz z listy skazańców numer 5348, ks. Montmoulin i z powodu rewizji procesu wysłano go pierwszym okrętem, otaczając pełnym szacunkiem do Francji. Zbrodniarz, którego przestępstwo skutkiem pomyłki złożono na barki kapłana, oddał się dobrowolnie w ręce sądu.

Telegram doszedł rąk gubernatora Nowej Kaledonii dopiero w dwa tygodnie później, gdyż wcześniej nie odchodził żaden okręt z Brisbane do Port-de-France. Rozkaz przesłano natychmiast komendantowi zakładu karnego w Nu, ale numer 5348 znajdował się w kopalni miedzi w Balaad, w północno-wschodniej stronie wyspy, oddalonej od Nu prawie 200 km.

Wprawdzie wysłano zaraz nadbrzeżny statek, jednakże trwało kilka tygodni, zanim więzień otrzymał radosną wieść, że powołują go z powrotem do Francji, aby mu powrócić cześć, wolność i możliwość spełniania nadal obowiązków kapłańskiego powołania.

Z początku trudno mu było pojąć, że to jest prawda i z radości płakał jak dziecko.

Przełożony misji w Balaad pośpieszył wkrótce z misjonarzami, aby winszować szczęśliwego obrotu sprawy kapłanowi, o którego pobycie pomiędzy skazańcami dopiero teraz się dowiedział. Zabrano też ze sobą sutannę, którą ks. Montmoulin z radością włożył na siebie po zdjęciu więziennego ubrania.

Jakież uczucie wdzięczności ku Bogu owładnęło proboszczem, gdy ujrzał się znowu w kapłańskim stroju i po tylu latach odprawił mszę św. w misyjnej kaplicy. Poczciwi misjonarze dzielili jego radość, a nowonawróceni Kanacy, którym wytłumaczono, o ile się dało, jakie ciężkie doświadczenia zniósł świątobliwy człowiek, otoczyli go kołem, całowali zgrubiałe w ciężkiej pracy ręce i prosili o błogosławieństwo.

Potem żegnany serdecznie przez misjonarzy i ich wychowanków, udał się ks. Montmoulin w daleką podróż powrotną przez Morze Południowe, Ocean Indyjski, Morze Czerwone, a im bliżej był Europy i ojczyzny, tym większa tęsknota wzbierała w jego sercu i mieszała się z radosną nadzieją ujrzenia znów ukochanych.

Zaraz budził się też niepokój, jak się to wszystko skończy? Czy tym razem niewinność jego dowiedziena zostanie niezbicie?

Tymczasem znajdował się jeszcze, jako skazany, pod nadzorem komisarza policji, który mu towarzyszył.

Czy stara jego matka dożyje tej radosnej chwili, aby uścisnąć swojego Franciszka, przywróconego do czci? Czy może tymczasem strapienia położyły koniec jej życiu?

Nie, żyła ona i z niemniejszym utęsknieniem oczekiwała przybycia okrętu, który wiózł jej syna.

Zaraz na drugi dzień po przybyciu Losera, pan Meunier pojechał do La Grange i oznajmił radosną wieść

sędziwemu proboszczowi, pod którego dachem znajdowały się matka i siostra ks. Montmoulin.

Natychmiast proboszcz wezwał panią Jardinier i powiedział jej, że niewinność jej brata wyjdzie teraz na jaw wobec całego świata. Potem poszli wszyscy do pokoiku pani Montmoulin, aby po uprzednim przygodowaniu i jej udzielić szczęśliwej wiadomości.

Już sam widok rozpromienionych twarzy wystarczył, aby matka odgadła o co chodzi, gdyż o jakiejże radości mogli jej powiedzieć, jak nie o takiej, która tyczyła syna, o którym myślała dzień i noc, modląc się wciąż o jego uwolnienie?

— Przynosicie mi wieść o Franciszku? — zawołała.

— Tak i to dobrą! — powiedziała córka.

— Nareszcie przekonano się o jego niewinności? — pytała matka, blada ze wzruszenia.

— Tak jest — przyświadczył pan Meunier — zbrodniarz oddał się sam w ręce sądu. Jak sądziliśmy, zakrystian Loser był tym złoczyńcą. Teraz nie tylko dowiedziono zupełnej niewinności syna pani, ale w oczach wszystkich jest on męczennikiem swojego kapłańskiego obowiązku, ofiarą tajemnicy spowiedzi.

— Niech Bogu będą wieczne dzięki i chwała — zawołała stara kobieta ze łzami wdzięczności, wznosząc ręce ku niebu. — Gdybym nawet nie miała już ujrzeć swego syna, niech będzie błogosławione miłosierdzie Twoje! Franciszek odzyska swoje dobre imię, a straszne zgorszenie, które wynikło z tej smutnej sprawy, zamieni się w triumf kapłańskiego stanu.

Minęły jednak tygodnie, zanim pani Montmoulin otrzymała nową wieść o synu, o którym w ogóle nie wiedziała dotąd, czy żyje jeszcze. Nadszedł telegram od gubernatora Nowej Kaledonii, donoszący o wyjeździe ks. Montmoulin na pokładzie parostatku „La Liberté”.

Może być na miejscu za 40—50 dni — pisał jej pan Meunier.

Gdy zbliżał się ten termin, matka pośpieszyła do Marsylii, gdzie dzięki listowi proboszcza, przyjęta została gościnnie w żeńskim klasztorze. Widywała tam codziennie swego wnuka, który wyróżniał się w szkole apostolskiej pilnością i dobrym sprawowaniem. Miał już teraz dwanaście lat i przygotowywał się do pierwszej komunii św. Modlił się on zawsze gorąco na intencję dobrego wuja i stale powtarzał:

— On jest niewinny i przyjdzie dzień, gdy Bóg tę niewinność ujawni.

Jakże się chłopiec ucieszył, gdy się dowiedział, że jego modły zostały wysłuchane!

Nareszcie zasygnalizowano, że „Liberté” znajduje się już w kanale Sueskim i za 4—5 dni może być w Marsylii.

Na tę wiadomość pośpieszyła też do Marsylii pani Jardinier wraz z córeczką, którą w tym celu zabrała z Arles, pan Meunier, ks. regens i wielu znajomych duchownych, tak, że w porcie znalazła się spora gromadka starych przyjaciół, gdy „Liberte” przybiła do brzegu.

Skoro tylko okręt stanął na kotwicy, udano się na jego pokład i natychmiast kapitan zaprowadził kapłana do jego przyjaciół. Ze czcią trzymali się wszyscy z daleka, póki ks. Montmoulin nie przywitał sędziwej matki, siostry i jej dzieci. Nie było oka, którego by nie zwilżyła łza na widok tego powitania.

Z radością mieszał się i ból, gdyż na pierwsze wejrzenie matka i syn poznali, co wycierpieli przez te trzy lata: matka stała się zgrzybiałą staruszką, a synowi zmartwienia i udręczenia przedwcześnie pobieliły włosy.

— Cóż to szkodzi — odrzekł, gdy matka ze smut-

kiem zwróciła mu na to uwagę — że osiwiałem: dziesięć lat prędzej, lub później?

— Za to ramiona moje stały się silniejsze — dodał uśmiechając się.

Matka uścisnęła mu ręce zgrubiałe w ciężkiej pracy i rzekła:

— Masz rację, cóż to szkodzi? Bóg dobrze wszystkim pokierował, Jemu dziękować winniśmy!

— A nie bądź zbyt dumny wobec tych wszystkich pochwał i wyróżnień, które teraz obficie zlewać się będą na ciebie, tak jak przed trzema laty hańba i wstyd!

Teraz kapłan pośpieszył do starego ks. regensa, którego oko promieniało radością, do przyjaciół i znajomych. Każdemu z nich ściskał rękę, ale na ich serdeczne słowa z powodu wzruszenia odpowiadać mógł tylko urywkowo.

Pan Meunier wręczył mu pismo sądu akwizgrańskiego, które wzywało go w najbliższy poniedziałek na rozprawę sądową i równocześnie wracało wolność.

Komisarz policyjny, który otrzymał podobne zlecenie, cofnął się zaraz, usprawiedliwiając grzecznie i ks. Montmoulin mógł opuścić okręt w gronie przyjaciół.

Wszyscy udali się wraz z nim pieszo na wzgórek „Notre-Dame-de-la-Garde”, miejsce, słynące z łask, gdzie żeglarze marsylscy zwykli dziękować Matce Najświętszej za szczęśliwie odbytą podróż i kapłan zawiesił przed obrazem kawałek swych okowów, zabrany z Nowej Kaledonii na pamiątkę kaźni. Potem, pełni radości, udali się do Akwizgranu.

W poniedziałek odbyło się posiedzenie sądowe.

Ks. Montmoulin, na zaproszenie ks. arcybiskupa, stanąć musiał w arcybiskupim pałacu i przed sądem ukazał się w otoczeniu dostojnego arcypasterza i licznego orszaku duchowieństwa. Wielka sala zapełniona była,

o ile się dało, jeszcze więcej, niż przed trzema laty. Przede wszystkim starano się o to, aby znaleźli miejsce dawni parafianie ks. Montmoulin. Znajdowali się tam także mer Grandjean, na którego zdarzenie to wywarło wielkie wrażenie i dr Corbillard. Pierwszy uścisnął nawet rękę Zuzanny z prośbą o przebaczenie, co wzruszyło do łez starą pannę.

— Tak, tak! — mówił. — Mieliśmy wszyscy bielmo na oczach. Któż mógł przypuszczać, że Loser spowiadał się proboszczowi i że się kiedyś nawróci! Sam pan prokurator wolał wówczas uwierzyć raczej w to, że go diabeł przeniósł w powietrzu na plebanię.

Dla matki i siostry ks. Montmoulin zachowano specjalne miejsca; obok nich siedzieli Karolek i Julka, w pobliżu państwo Le Noir.

Piekarzowa nie mogła się powstrzymać od uczynienia mężowi uwagi, jak bardzo się omylił co do zakrystiana Losera i że jak zawsze, ona miała słuszność.

— Bogu dzięki — rzekł dobroduszny małżonek — że jak zawsze, ty miałaś rację. Ale teraz jeśli można, na pół godziny powstrzymaj swój język, gdyż wchodzą panowie z sądu. Potem cały wieczór będę cię słuchał cierpliwie.

Rozprawa nie trwała długo. Formalnie ks. Montmoulin musiał raz jeszcze zasiąść na ławie oskarżonych. Potem prezydent otworzył posiedzenie krótką przemową, w której wspomniał o omylności ziemskiej sprawiedliwości i wyraził radość, że niesłuszny wyrok, wydany, niestety, skutkiem fałszywych pozorów, dzisiaj choć w części może być naprawiony.

Wprowadzono teraz Losera, przeczytano jego samooskarżenie i przesłuchano go. Spokojnym głosem wyznał swoje przestępstwo i mówił szczegółowo, w jaki sposób wyspowiadał się z niego przed ks. Montmoulin.

Między słuchaczami powstało żywe poruszenie, gdyż

winny to ostatnie opowiadał ze szczególniejszym naciskiem. Gdy skończył, prezydent zapytał, jakie powody skłoniły go do samooskarżenia.

Loser odrzekł:

— Wyrzuty sumienia, a przede wszystkim bohaterska obowiązkowość duchownego, który wolał być skazany niewinnie zamiast mnie, niż choć trochę naruszyć obowiązek tajemnicy spowiedzi.

Teraz podniósł się prokurator i w krótkiej mowie wniósł o uwolnienie niewinnie zasądzonego kapłana, wyrażając swój żal, że omylił się przy pierwszych rozprawach i przez to przyczynił się do niesłusznego wyroku.

Pan Meunier nie miał nic do nadmienienia ze swej strony, wskazał tylko na bohaterski przykład chrześcijańskich cnót, jakich dowód dał jego klient. Przysięgli wyszli na chwilę i powróciwszy zaraz do sali, zawyrokowali: niewinny.

Prezydent zniszczył uroczyście wyrok poprzedni i ogłosił kapłana wolnym i posiadającym pełnię praw obywatelskich. I on krótko, a w taktowny sposób uczcił ofiarę, którą kapłan poniósł tak bohatersko dla spełnienia swego obowiązku i żałował, że nie dane jest sędziom prawo przyznania doczesnego wynagrodzenia za niewinne skazanie. Jest to jedna z niedoskonałości ziemskich sądów. Takiego poświęcenia, jakie ks. Montmoulin znosił przez trzy lata, ludzka sprawiedliwość nigdy godnie wynagrodzić nie zdoła.

— Właśnie takie wypadki dowodzą, że ponad słabym i omylnym ludzkim sędzią, znajdować się musi wszystkowiedzący, wszechmocny Sędzia i to najwyższe źródło wszelkiego prawa i sprawiedliwości wynagrodzi ci, czcigodny kapłanie to, coś dla niego wycierpiał — zakończył prezydent.

Przemówienia pana Peultier były sławne, ale nigdy

jeszcze nie brzmiały tak pięknie i porywająco. Sędziów i słuchaczy wprowadziło ono w prawdziwie uroczysty nastrój.

Prezydent podszedł do ks. Montmoulin i podał mu rękę, za nim uczynili to pozostali członkowie sądu.

Prokurator przy tej sposobności poprosił kapłana o przebaczenie, że podczas pierwszej rozprawy traktował go, tak szorstko; proboszcz udzielił go nader chętnie.

Następnie wśród owacji słuchaczy, prezydent zaprowadził ks. Montmoulin do matki, która ze łzami w oczach uściskała swego Franciszka.

Arcybiskup, ks. regens i obecni duchowni otoczyli go też i winszowali swemu koledze.

W prawdziwie triumfalnym pochodzie prowadzono kapłana wraz z matką i siostrą do arcybiskupiego pałacu, gdzie na przyjęciu na cześć uwolnionego, arcypasterz zgromadził wszystkich jego przyjaciół.

Był tam też Karolek i Julka, państwo Le Noir, którzy w czasie deportacji księdza tak dzielnie zajęli się nieszczęśliwymi, nawet stara Zuzanna. Początkowo czuła się ona nieswojo w takim towarzystwie i na wszystkie strony kłaniała się i uśmiechała, pokrywając zmieszanie, wkrótce jednak odzyskała apetyt i pod koniec obiadu, zakosztowawszy słodkiego, muszkatelowego wina, stała się bardzo wymowna i szumiało jej nawet trochę w głowie z winy sąsiada, pana Le Noir. Ale jego małżonka zapobiegła złemu w samą porę i zabrawszy Zuzannę do domu, uśmierzyła jej podniecony nieco, świąteczny nastrój, filiżanką mocnej, czarnej kawy.

Następnego dnia stanął Loser przed sądem.

Oczywiście wyrok przysięgłych musiał brzmieć, że winny, nie mogli nawet uwzględnić okoliczności łagodzących. Skazano go więc na śmierć. Jednak ze względu na pełne skruchy samooskarżenie, tak przysięgli,

jak i sędziowie, wnosili o ułaskawienie i poparli to swą prośbą obywatele Akwizgranu, z ks. Montmoulin na czele. Przeto wyrok ten zmieniono na deportację.

Według swego życzenia, Loser spowiadał się raz jeszcze przed ks. Montmoulin i przyjął z rąk jego komunię św., po czym ze spokojem w sercu udał się w podróż do Nowej Kaledonii, gdzie dotąd może pokutuje za swój krwawy czyn, który sprowadził na niewinnego proboszcza z S-te Victoire tak smutne, a w następstwie tak podniosłe skutki.

Na tym kończy się właściwie nasze opowiadanie.

Należy jeszcze dodać, że ks. Montmoulin otrzymał znów dawne probostwo i to na swoje gorące prośby, gdyż ks. arcybiskup miał zamiar dać mu lepsze. To w wysokim stopniu pozyskało mu serca parafian, z których wielu zwątpiło niegdyś w niego.

Mer kazał na własny koszt odnowić i umeblować mieszkanie proboszcza i pokoje, przeznaczone dla matki. W ogóle na życzenie gminy, całemu klasztorowi nadano wygląd jaśniejszy i weselszy, a przez przebudowę z zakrystii usunięto zupełnie ponurą komórkę, z którą wiązało się krwawe wspomnienie.

Gdy wszystko było gotowe, przyjmowano księdza Montmoulin po raz drugi nader uroczyście.

Ustawiono triumfalne bramy, dom ubrano girlandami, w powietrzu powiewały różnobarwne chorągiewki, droga wysłana była wonnymi rozmarynami i różami, a uroczysty dźwięk dzwonu mieszał się z hukiem moździerzy, ustawionych na pobliskich pagórkach.

Na granicy wioski mer serdeczną mową powitał między swymi wiernego im duszpasterza. Mówił, że parafianie starać się będą naprawić zło, którym zawinili wobec swego proboszcza, a ton głosu zdradzał, że wierzył w to, co wyrażał słowami.

W istocie szlachetne poświęcenie, jakie ks. Montmoulin złożył w ofierze kapłańskiemu obowiązkowi, tak merowi, jak i wielu jego przyjaciołom, duchowieństwo i religię katolicką w innym przedstawiało świetle, niż wrogie Kościołowi pisma, z których dotąd czerpali swoje wiadomości.

Przyjęcie to sprawiło naszemu kapłanowi wielkie zadowolenie i całą duszą, stanąwszy u ołtarza, wtórował uroczystemu Te Deum. Większa jednak jeszcze była jego radość, kiedy w dniach następnych, z merem i dr Corbillard na czele, wielu z jego parafian, którzy z dawna już zaniechali przyjmowania św. sakramentów, przybyli do spowiedzi i w następną niedzielę, ku zbudowaniu całej gminy, przystąpili do Stołu Pańskiego. Wtedy dopiero ks. Montmoulin z całego serca wielbił i dzięki składał mądrości i dobroci Boskiej, której miłosiernym zrządzeniem z gorzkiego drzewa krzyża słodkie wyrastają owoce.

Matka i siostra proboszcza zamieszkały naturalnie u niego i skończyły się dla nich dni smutku i trudów. Karol przyjął pierwszą komunię św. z rąk wuja i powrócił do szkoły Apostolskiej, gdzie przygotowuje się do pełnego poświęcenia zawodu misjonarza; Julka wyrasta na dobrze ułożoną i ładną dziewczynkę. Jednakże, ku zmartwieniu poczciwych sióstr z Zakładu św. Józefa, zdradza mało powołania zakonnego.

Według życzenia Losera, pan Meunier oddał 12 tys. fr. wraz z procentami Zgromadzeniu św. Józefa, przez co można było zrealizować zamierzoną rozbudowę szpitala, a pani Jardinier otrzymała także pewne odszkodowanie, które ułatwiło troskę o utrzymanie swoje i dzieci. Cóż jeszcze? Stara Zuzanna otrzymała u proboszcza łaskawy chleb, a pan i pani Le Noir parę razy do roku przybywają do S-te Victoire i w przyjacielskim kółku wspominają dawne czasy.

KONIEC

NOTA WYDAWCY

Powieść Józefa Spillmanna: „Tajemnica spowiedzi” była najbardziej popularna z dzieł tego autora, urodzonego w 1842 roku w Szwajcarii i zmarłego w 1909 roku w Luksemburgu. W 1862 roku wstąpił do zakonu jezuitów, a w 1875 roku przyjął święcenia kapłańskie. Odbywał studia zakonne w Niemczech i Anglii, przebywał w Holandii i Luksemburgu. Napisał 5-tomowe dzieło: „Geschichte der Katholikenverfolgungen in England 1535—1681” („Dzieje prześladowania katolików w Anglii 1535—1681”), szereg książek podróżniczych, powieści historycznych (m.in. „Lucius Flavus”, „Tapfer und Treu”, „Kreuz und Chrysanthemum”), książek dla młodzieży („Die beiden Schiffsjungen”).

„Tajemnica spowiedzi” („Ein Opfer des Beichtgeheimnisses”) Józefa (Josepha) Spillmanna ukazała się w 1896 roku, miała do 1937 roku (wg „Lexikon fur Theologie und Kirche”, tom IX str. 723) łącznie 40 wydań i była przełożona na 10 języków. Zdobyła popularność także w Polsce, o czym świadczy m.in. jej adaptacja sceniczna (Zbigniew Kaczorowski: „Tajemnica spowiedzi. Dramat religijny w 4-ch aktach (8 obrazów) według powieści X. Spillmanna”, wydanie II, Potulice 1939, nakł. Seminarium Zagranicznego).

W 1931 roku powieść ta ukazała się w przekładzie Stelli K[ozłowskiej] w Warszawie (nakład i druk „Księgarnia Polak — Katolik”). Na tej edycji oparte jest obecne wydanie „Tajemnicy spowiedzi”. Wyeliminowano z tekstu liczne niedostatki przekładu i druku i dostosowano go do aktualnych wymogów ortografii i interpunkcji. Zachowano jednak specyficzny język i styl właściwy czasom i powieściom tej konwencji.

„SOMIX”

SPIS TREŚCI

